

JANINA GRAŁA

Kwiaty miłości



TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ OSTROŁĘKI

Kwiaty miłości

JANINA GRAŁA

Kwiaty miłości



TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ OSTROŁĘKI

Ostrołęka 2013

Wydawca
Towarzystwo Przyjaciół Ostrołęki
Ostrołęka, 2013

Redaktor
Alfred Sierzputowski

Korekta
Alfred Sierzputowski

Redakcja techniczna i opracowanie graficzne
Tomasz Kalinowski

Za pomoc w ukazaniu się drukiem książki *Kwiaty miłości* wydawca
składa serdeczne podziękowania Prezydentowi Miasta Ostrołęki

138. publikacja Towarzystwa Przyjaciół Ostrołęki

ISBN 978-83-64200-00-7

Wydanie drugie

Nakład: 300 egz.

Druk
Drukarnia Gnatowski, Ostrołęka

SPIS TREŚCI

Od wydawcy	7
Zamiast wstępu	9
Tomik II (lata 1938—1940)	15
Tomik III (lata 1941—1945)	83
Tomik IV (rok 1945)	157
Zamiast epilogu	177
Ślad istnienia	183
Alfred Sierzputowski (***) <i>A ciężar życia przyszło...</i>	191
Posłowie do wydania drugiego (<i>Alfred Sierzputowski</i>)	193
Fotografie	197

Pierwsze wydanie *Kwiatów miłości* ukazało się ponad dziesięć lat temu. Ta wspomnieniowa proza spotkała się z bardzo życzliwym przyjęciem czytelników oraz znawców tego typu piśarstwa. I jedni i drudzy wysoko ocenili pamiętnik Janiny Grali tak pod względem treści, jak i walorów językowych.

Krytyk literacki, Jan Zdzisław Brudnicki podziwiał niewyobrażalny patriotyzm kobiety, jej siłę i energię w najgorszych próbach, jakich dostarczała wojenna rzeczywistość. Zwrócił też uwagę na bogactwo form i niezwykłość języka pamiętnika Grali. Brudnicki stwierdził, że autorka trafia tym językiem w centrum doświadczeń swego tragicznego pokolenia.

Ostrołęcki pisarz i kronikarz, Czesław Parzych, w swojej wypowiedzi na temat *Kwiatów miłości* podkreślił, że splata się tu młodzięcza miłość, delikatność uczuć z brutalnym czasem wojny, pogardą i poniżeniem ludzkiej godności.

Kwiaty miłości ze względu na pokazaną w nich rzeczywistość stanowią dokument historyczny. Ze względu na towarzyszące przedstawionym faktom uczucia, dramatyczne przeżycia, tęsknotę duszy za pięknem i dobrem pamiętnik zawiera bogaty materiał do refleksji. Wielość form językowych może stać się tworzywem do badań językoznawczych.

Bogactwo treści bliskiej wielu czytelnikom oraz walory artystyczne pamiętnika zainspirowały nas do podjęcia decyzji

o ponownym jego wydaniu. Zaznaczamy, że do drugiego wydania nie wprowadziliśmy zmian, jedynie zamieściliśmy kilka fotografii i fragmenty rękopisów autorki, udostępnione przez redaktora tego tomu.

Książka nie ukazałaby się bez wsparcia życzliwych osób. Dziękuję redaktorowi wydania, Panu Alfredowi Sierzputowskiemu za najwłaściwszy wybór fragmentów z całości pamiętnika Janiny Grali.

Podziękowanie szczególnie serdeczne kieruję do Prezydenta Miasta Ostrołęki, Pana Janusza Kotowskiego, mecenasa kultury i twórczości literackiej, za docenienie potrzeby ukazania się tej książki i sfinansowanie jej wydania.

Wielce Szanownym Czytelnikom życzę przyjemnej i pożytecznej lektury.

Jadwiga Nowicka
Prezes Towarzystwa Przyjaciół Ostrołęki

Kwiaty miłości to wybrane fragmenty pamiętnika z lat wojny. Wybrane, by nie rozpraszać uwagi od głównej treści przekazu — od tego, co było i pozostaje najistotniejsze aż po dzień dzisiejszy. Dlaczego dopiero teraz, gdy nawet echo jej przebrzmiało? — pytacie. Sama autorka miała za życia poważne obiekcje, czy warto „dmuchać przeciw wiatrom”, które jednak zagłuszają głos sumienia. A tu — powtarzając za Miłoszem zostały spisane czyny i rozmowy. Swoją rozterkę tak wyraża w wierszu z czerwca 1979 roku:

Skarżyć się nie ma po co
i mówić nie ma komu
i tylko — bezsenną nocą
w samotnym cudzym domu

Pisać... o tym co boli
wraz ze mną cały naród
kreślić tak — mimo woli —
dla czytelników paru

Może nikt nie przeczyta?
Czytając nie zrozumie?
Bo kto szaleńców pyta
kto ich zrozumieć umie?

Głuchy ból na ich piersiach
jest wiernym towarzyszem
a myśli — w takich wierszach
jedynie Pan Bóg słyszy

Jan Zdzisław Brudnicki — krytyk literacki, a więc osoba przywykła do „trawienia” różnych zapisów z racji uprawianego zawodu, przesyłając mi swój rys krytyczny pamiętników — „Psalmy kurpiowskie”, napisał w liście: „Nie tylko przeczytałem pamiętnik, ale, że tak powiem metaforycznie, duchowo go odchorowałem. Dwa razy przerywałem lekturę, by ochłoniąć od nadmiaru wrażeń”.

Kwiaty miłości nie są więc zwykłym czytałem dla wszystkich. Uzmysławiają one stan naszego — ogólnoludzkiego! —
c z ł o w i e c z e ń s t w a .

Z pewnością dotkną i rozdrażnią przywykłych do wybierania mniejszego zła w miejsce większego dobra. Tu widać i czuć przysłowiową łyżkę dziegiu w beczce miodu, która zawsze ma dobre mniemanie o sobie.

Pamiętnik, to zarazem swoista forma zaproszenia do konfesjonatu, który czeka — jak zwykle — cichy i wyrozumiały, gdzie nikt nie pyta jakiego wyznania jest Bóg. Bo moc zła — jak stwierdził Seneka — nie kryje się w jego popełnianiu, ale w trwaniu w nim.

W czasie wojny budzą się wszelkie demony. Wtedy wyraźnie widzimy jak cierpi człowieczeństwo nasze. A przecież wojna jest niczym innym jak owocem sianej niezgody, wyrastającej w nienawiść. W czasie pokoju zanika wyrazistość obrazu, co zwodzi... uwodzi... że znowu jesteśmy gotowi wykopać topór wojenny w obronie Naszego Dobrego Imienia. Tak margines zajmuje miejsce treści.

Przez 50-lecie PRL-u nauczyliśmy się obwiniać faszystów, hitlerowców, komunistów... za lata cierpień, nie obciążając бага-

żem krzywd całych narodów — Niemców i Rosjan. W dalszym ciągu jednak skaczą sobie do oczu dwa nieszczęścia tej wojny — Żydzi i Polacy, Polacy i Żydzi.

Bo Polacy to są... słyszymy.

Bo Żydzi to są... mówimy.

Przecież nie ma złych narodów, są tylko źli ludzie. Lecz... czym jest antysemityzm, antypolonizm, anty... to uprzedzenie do innego narodu?...

Jest s k u t k i e m pewnych postaw i zachowań, trudnych lub wręcz niemożliwych do przyjęcia, do zaakceptowania, jako normy ogólnoludzkiej, przez inne nacje. Tę przyczynę skutku krzewią w sercach tak hiposemici jak i hipopoloniści. Hipo... o mentalności Kalego, którzy myślą, mówą, uczynkiem czy zaniedbaniem urągają sobie i życiu, zapominając o podstawowych normach człowieczeństwa. Widać to, choćby i w rozpowszechnionym twierdzeniu, że „tam, gdzie nie ma antysemityzmu, tam nie ma ani jednego, prawdziwego Żyda”. Z tego powodu boleje i autorka „Kwiatów miłości”, kiedy oddając Stasia spodziewała się — przede wszystkim — okazania serca za serce. Może warto upowszechnić te zwroty, bo — jaki człowiek, takie i jego dzieło.

Dlatego też, zbyt popędliwym w osądach czytelnikom polecam — dla zachowania równowagi ducha! — książkę Piotra Matywieckiego *Kamień graniczny*, stanowiącej fragmenty pamiętników Żydów z warszawskiego getta, gdzie autor się urodził, a wychował... już poza jego granicami. Czytając *Kwiaty miłości* warto, a nawet trzeba zajrzeć i do tej książki, by się przekonać, że tylko człowieczeństwo — w przeciwieństwie do zła — ma jedno imię.

Autorka, w miarę upływu lat, aż nadto zdawała sobie sprawę, że po publikacji pamiętników euforii nie będzie. Że... najwyżej, ktoś w skrytości serca porozumiewawczo klepie po ramieniu, by nie gasić ducha. Lecz wierzyła głęboko, że to ziarno prawdy kiedyś wyda owoc. I wreszcie nadszedł czas siewu, który

jej słowom otworzy usta. Niech zstąpi Duch Twój... wypada powtórzyć za Janem Pawłem II. A — kiedy w ludzkich sercach zakwitną k w i a t y m i ł o ś c i zbędne będą drzewka „Sprawiedliwym wśród narodów świata”. Ach... ci idealisci! — westchnie niejeden. Wciąż budzą sumienie, obnażając nędzę ducha. Już lepiej stawiać im pomniki... Wrażliwość jednak ucłowiecza. Zakończę więc wywód trzema wierszami autorki zawartych w tomiku *Z marzeń i pragnienia*, którym dzisiaj dałbym tytuły: Wiara, Nadzieja, Miłość.

Alfred Sierzputowski
Ostrołęka w marcu 2002

* * *

Przeminie chmura czasu
wojna obrośnie pleśnią
bandyci się powaśnią
świat wyjdzie znów z chaosu

Krzyż światłem promienistym
przodziwną ducha mocą
otuli tych co nocą
przyszli w ubraniu czystym

grudzień 1940

* * *

Otwartych serc niewiele
ludzie materią syci

I — głuche moje trele
głuche jak życie

Zgasną jak iskra na wietrze
jak nieuchwytny promyk

Czas słowa moje zetrze
z kamienia na kamyk

Zostanie miał tej ziemi
z myślą pomieszany

Aż — kłos się zazieleni
u Boga wyżebrany

maj 1980

* * *

Ten co kocha to przebaczy
ten co wierzy to zrozumie

Dobro dobrem się uraczy
jeszcze zło zrozumieć umie

Czyńmy dobro w swej dobroci
bez zapłaty — bezimiennie

Kiedy oczy patrzą w oczy
widzą co jest w tobie — we mnie

czerwiec 1970

Tomik II
(lata 1938—1940)

Szary, mglisty, majowy dzień. Wokoło rozpościera się ponętna, uroczą wiosna. Przyszła w blasku przepychu i piękna. Dziś jednakże, słońce skryło się za ciżmę szarych chmur. Tęskno mi do jego promieni. Wydaje się, że w powodzi tych światła natura ożywa, kwitnie jeszcze wytworniej. Ten mglisty wygląd dnia napędza mnie jakąś zadumą. Przypomina wiecznie dręczące pytanie: Czy dobrze wybrałam?... Sądzę, że tak. Jest istotą godną zaufania i wiary. Myślę, że cechy charakteru, które u niego są tak widoczne, nie mogą być maską. Bo przecież niemożliwe, żeby to kochane, dobre dziecko, mogło tak wyrafinowanie żyć. Mam więc nadzieję, że i moje uczucie nie ulegnie zmianie. Chce mi się czasami z radości płakać, że wreszcie znalazłam skarb, którego tak mozolnie szukałam. Wierzę, że gdy posieję na tej niwie ziarna cnót, wydadzą plon stokrotny. A... by nie zanikły zalety charakteru, będę je podsycać ustawicznym ogniem miłości. Jakież to będzie wyśnione...

Korytkowska, 4 V 38 r.

Wierzbowo, 13 V 1938 r.

Czyż naprawdę zdolna byłam pokochać tego chłopca? Pytam siebie i nie umiem znaleźć odpowiedzi. Różnorodne myśli płaczą mi się w głowie. Widzę jego w różnych kolorytach a istotnej jego wartości nie znam całkowicie. Najczęściej jednak zdaje mi się, że jestem u kresu poszukiwań, że wreszcie znalazłam to, czego pragnęłam. Jednak nie na długo zatrzymują się tego rodzaju myśli, bo zjada je niemiłosiernie szydlerczy pesymizm. Czar pryska jak

spłoszone stado ptasząt. Wstydzę się sama siebie, swych zmienne-
nych uczuć i pojęć. Próbuję uciec od tych myśli, od wspomnień
związanych z jego osobą, od niego... Na próżno! — Nie mogę.
Pasjami chciałabym patrzeć w jego aksamitne, dziecinne oczy,
czuć pragnę na swych ustach rozpalone jego wargi... Czasami jak
mała dziewczynka tulę się w jego silnych ramionach i słucham
jego głosu jak cudnego echa melodyjnej pieśni. A gdy mi powie:
Kocham Cię... zapominam o wszystkim innym prócz treści tego
słowa. Wloką się podobne do siebie wieczory, w których żyjemy
wyłącznie naszym życiem młodości. Noce są przeważnie jasne.
Dziś siedzieliśmy na miedzy wśród łąków zbóż. Wkoło rozlewała
się bezszelestna cisza. Mała kula bladego księżyca brodziła przez
wełniste chmury. Ogarnęła mnie znowu dziwna rozterka. Sta-
sio zasnął przy mnie przemęczony całodzienną, fizyczną pracą.
Położyłam jego ciemną głowę na swych kolanach i delikatnie
gładziłam zwichrzone, dawno nie czesane włosy. Wariatka je-
stem — pomyślałam... przecież to nie dla mnie mąż. Patrzyłam
na jego bose, duże stopy, wytarte ubranie, zgrubiałe ręce... Cóż
mogę od niego żądać? Czyż ma on o czymkolwiek pojęcie? Czy
nie ulęknie się życia ze mną? — myślałam. Ach! Gdybym mogła
uwierzyć, że nie zawiodę się na nim, że da mi siebie bez reszty,
poszłabym z nim na dolę i niedolę życia. Co mnie u niego się
podało? A — wreszcie — ja już raz kochałam... Pytam siebie,
a rozum nie umie dać odpowiedzi. Serce szepcze: weź go, on
twój. Zdaje mi się, że Stasio zaczyna mnie lekceważyć, a może
okłamuje, wreszcie... co mnie to obchodzi.

Łzy napływają mi do oczu... Biorę jego zgrubiałe ręce do
swych rąk i tulę do szorstkich palców usta.

— Kocham Cię, biedny mój Stasiu — szepczę do śpiącego
chłopca — i będę twoją na zawsze. Nie boję się niczego: ni
nędzy, ni złości ludzkiej, ni poniewierki... Tak! Nie boję się ni-
czego. Tylko tego... żebyś Ty nie przestał mnie kochać. Pamiętaj
Stasiu! Ja bez miłości to jak życie bez wiary.

Stasio zamiast odpowiedzi — oddychał. Może śnił o naszym życiu?...

Wierzbowo, 13 VI 1938 r.

Leżymy na leśnej polanie pod konarami starej sosny. Jesteśmy tacy szczęśliwi. Zaufaliśmy już sobie bezgranicznie. Prastary las zda się nas rozumieć, przyśpiewując naszej miłości rozgwarem ptasząt i szmerem listowia. Owiany tajemniczymi fragmentami historii, wydaje mi się poważny i majestatyczny. Jesteśmy sami. Dwoje nas tylko. Tu nas nikt nie widzi, poza Bogiem. Tu nie dosięgną nas oczy przeciwnych nam ludzi i ich złośliwe słowa. Mam wrażenie, że jestem małą dziewczynką, taką rozpieszczoną, a Stach z subtelną umiejętnością mnie bawi. Mówimy sobie, że nigdy nie nasycimy się swym widokiem. Nigdy nic wypijemy do dna nektaru, zawartego w naszej, miłosnej czarze.

Rzeczywistość, jak nieubłagana wyrocznia przeznaczeń, wraca do nas. Stoi bezczelna, nielitościwa i drwi: miłość nie dla was. Nie macie pieniędzy na zbudowanie rodziny, nie potraficie nic, zdepczą was przeciwni ludzie. Jeśli potraficie zwalczyć i te przeszkody, przyjdą nowe: głód, choroby, rezygnacja. Wy nie dla siebie. Lecz jesteśmy za młodzi, by długo nad realną prozą się zastanawiać. Nieważne nic, tylko należeć już do siebie, wobec nieba i prawa. Reszta na potem zostanie. Że ludzie będą ze mnie drwić, a matka przeklnie — to rzeczy podrzędne. Że Stach ma śmieszne nazwisko i mówi gwarą, to może czas przyjdzie nam z pomocą, wreszcie... bardziej mi dlatego bliski, myślę optymistycznie. Wreszcie... Wszystko inne maleje, ginie. Niczym nie ogarniona fala miłości ciągnie nas w swe nurty. W rozmodloną duszę płynie niebiańska słodycz, która zalewa całe jestestwo. Zmysły gasną, serce zamiera, a bezwiednie szepczą usta: Kocham... Kocham... melodyjnie szumi prastary las. Kocham... mówi nam cała natura i wszelaki twór Boży.

Słońce bawolim ruchem opada na horyzont. Wyruszamy ze Stachem na rowerach w jego rodzinne strony. Ponieważ głośno mówią o wojnie, przeto chciałabym poznać jego wieś rodzinną, środowisko w jakim wyrósł. Kto wie co nastąpić może. Mamie powiedziałam, że jadę do Czartorii, do siostry Jadwigi. Jedziemy jak szaleni. W przydrożnych, napotykanym chatach kręci się pełno wojska. Zapada mrok. Drogi piaszczyste, niepodobna jechać dalej, wobec tego brniemy po sybkim piasku pieszo. Jestem przemęczona. Mało do siebie mówimy. Stach jest coś rozdrażniony, ja smutna. Wjechaliśmy w wielki bór, ogarnęły nas zupełne mroki. Nie wypadało w nocy przyjeżdżać do siostry w towarzystwie młodego chłopca, więc postanowiliśmy nocować w lesie. Wybraliśmy sobie wygodną polankę w pobliżu bagnistej łąki. Rozrosłe brzozy i inne liściaste drzewa okalały naszą polankę. Stach, z gałęzi usłał nam zielone łódeczko. Po rozgwieżdżonym niebie sunął smętnie tułacz księżyc. Przytuleni do siebie zasnęliśmy snem młodości. Gdy ocknęliśmy się nazajutrz, słońce już wysoko wisiało nad ziemią. Co prawda, może spalibyśmy nadal, lecz wytrzeźwił nas zupełnie, tuż w pobliżu gromadny śpiew. Był to orszak pogrzebowy. Prowadzono zmarłego do kościoła. Mimo woli, odcień zadumy osiadł w mych myślach. Człowiek umiera mimo że pragnie żyć, a gościnna ziemia obficie karmi go swym płodem. Odwieczne prawo przeznaczenia, nie pomne na nic i nikogo. Stasio pocałunkiem przypomniał mi o celu podróży. Pojechaliśmy dalej, zostawiając w mrocznej polance kilka chwil błogiego spokoju. W kilkanaście minut byliśmy u mojej siostry. Przywitała nas z pewnym kłopotliwym zdziwieniem. Pod jakimś pretekstem odwołała mnie na bok i rzekła:

— Przynosisz mi wstyd, że ciągle w towarzystwie służącego przyjeżdżasz do mnie...

— Jadziu! — odrzekłam — jest to ostatni raz.

Za chwilę pojechaliśmy dalej. Znowu nie mieliśmy odpowiednich dróg do jazdy rowerowej, więc po większej części brnęliśmy pieszo po żwirkowatym piasku. W całej wspaniałości letniego stroju podziwiać mogłam kurpiowską ziemię. Poza sosnowymi borami, które przeszliśmy, rozciągały się szmaty zielonych łąk, przeważnie porośniętych wysoką rzeżuchą. Porozrzucane chaotycznie domy szarzeją słomianymi strzechami, niby snopami. Dymne, kurne chałupy stanowią większość. Na rozdrożach wsi kapliczki ze statuami świętych. Częściej spotyka się krzyże, przeważnie drewniane. Ludziska chodzą boso, albo w dziwnym z łyka obuwiu. Gdzieniedzie widać zuchowatych, krępych parobczaków w polu, czy też wokół zabudowań. Oczywiście — zapracowanych. Czasem wylękle dziecko w długiej, zgrzebnej sukieneczynie zagapi się na nas, albo rześka, krępa dziewczyna przebiegnie drogę machając długimi warkoczami. Wszystko mnie interesuje i chciałabym poznać każdy szczegół życia tych ludzi. Tylko dziwny żal i bunt powstaje w mej duszy na widok jakiegokolwiek nędzy. Żal do tych, co nie myślą o bliźnich, co żałują sił dla innych. Bunt przeciwko tym, co oddali w ponad stuletnią niewolę naszą Ojczyznę.

Stasio ocknął mnie z zamyślenia słowami:

— Nina, tu odpoczniemy.

Zatrzymaliśmy się nad mętłą rzeczką zwaną Szkwa. Siadłam na bujnej, soczystej trawie. Krajobraz wokoło nader malowniczy. Tu, w pobliżu tych łąk, mieści się ubogie gospodarstwo Stachowego ojca. Tu, wśród szumu puszczy, szelestu łąk i mętnej wody Szkw, wyrósł Stasio... Prosty i bogaty w piękno jak ziemia, która go wykołysała. Zdaje mi się, że nie ma siły, która zdoła nas rozdzielić.

Po krótkim spoczynku i posiłku z białego, suchego chleba (który kupił Stach w sklepiku okolicznej wsi), pojechaliśmy dalej. Aż wreszcie, dobrnęliśmy przed wieczorem do kresu podróży. Na piaszczystym wzgórku wznosiło się zabudowanie jego ojca.

Usiadłam w pobliżu krzewów jałowcowych, których tam było mnóstwo i czekałam na Stacha, który poszedł do mieszkania. W pobliżu bawiła się hałaśliwa gromadka umorusanych dzieci. Dzieciaki zobaczywszy mnie, poczęły powoli się zbliżać. Jedna, najmniejsza dziewczynka, przyszła zupełnie blisko. Zawołałam ją do siebie i ucałowałam. Była to najmłodsza siostrzyczka Stacha. Za chwilę zjawił się Stasio w towarzystwie ojca (którego już przedtem gościłam u siebie) i drugiej jego żony. Macocha przypominała istotnie macochę. Twarz miała niekształtną, o szeroko rozciętych wargach. Dwa długie, cieniutkie jak bicz warkocze spadały jej na pasiastą grubą spódnicę. Obydwoje byli dosyć zdziwieni moim przyjazdem. Traktowano mnie lekko. I dziwiłam się sama sobie, że ojciec Stacha, w naszym domu, sprawił na mnie miłe wrażenie. Drażnił mnie sposób ich zachowania, poufałość grubiańska, wyrażenia gwarowe i w ogóle wszystko. Odjechaliśmy za chwilę. Niby to ja miałam zajechać na leśniczówkę, a Staszek miał wrócić do domu.

Skoło zniknęła z oczu ta jego rodzinka, odetchnęłam z ulgą. Czułam wyrzuty sumienia, starałam się skarcić, lecz mimo to, do ludzi tych nie zdołałam wykrzesać w swym sercu odrobiny sympatii. Pragnęłam porwać z tej dziury Stacha i nie wracać do nich...

*

W oddali odbijał się głuchy łoskot dział. Rozbitkowie polscy pierzchali w nieładzie. Byliśmy osaczeni wrogim wojskiem, z trzech stron: od Nowogrodu, Ostrołęki i Ostrowi. Łomża, ze swą dzielną garstką zuchów broniła się jeszcze. Niemieckie samoloty strącali dzielni łomżyniacy, lecz nikt nie miał już nadziei widząc nieprzeparte siły niemieckie. Armia nasza wyglądała śmiesznie przy zmotoryzowanych i uzbrojonych nowoczesnych potężnych siłach wroga. Obce samoloty szybowały w przestworzach

polskiego nieba, by nie wyczerpanie sypać pociskami i bombami. Ludzie strwożeni, w nieopisanym lęku uciekali w popłochu.

W naszej wsi było na pozór spokojnie. Zjawiały się jedynie grupy uciekających, zarażając trwogą mieszkańców. Sypały się straszne opowieści, że rozhukani gestapowcy masowo rozstrzelują całe wsie, nie oszczędzając nawet dzieci. Mnie, szczególnie od innych, wstrząsały te opowiadania.

Była sobota. Nie pamiętam którego to września. Całymi tłumami cisnęli się ludzie do naszej wsi. Na drogach panował nieopisany ruch. Ludzie uciekali nie wiedząc gdzie i po co. Twarze ich wystraszone, przedstawiały tragiczny wyraz. Prawie wszyscy byli brudni i obdarci, prawdziwi wygnańcy. Byli to przeważnie Kurpie. W okolicy był już nieprzyjaciel. Krążyły pogłoski o zdradzie rządu. Ja osobiście nie wierzyłam niczemu. Wierzyłam, że Bóg nas nie opuści. A — gdyby włożył krzyż niewoli, musimy mężnie go nieść. Tylko dokuczała mi myśl, co dzieje się z moimi siostrami. Pamiętam, tego właśnie dnia mówiliśmy litanie do Matki Najświętszej i gdy odmawialiśmy „Królowo Korony Polskiej” zrobiło mi się dziwnie słabo, aż do zamroczenia. Pewna kobieta o cudnej twarzy, pochylała się nade mną. Zdziwiły mnie łzy w jej czystych oczach. Podziękowałam jej po chwili i pokochałam. Zresztą, ja kochałam wszystkich. Gościłam czym mogłam, pocieszałam, dodawałam odwagi, zachęcałam do spokoju. Czułam się wśród nich jakoś dziwnie dojrzała i rozumna. Nawet starcze twarze były w mojej wyobraźni niemowlęcymi. Chciałam im wszystkim, choć na chwilę, zastąpić matkę. Moja mama była na mnie zdenerwowana. Zdawało się jej, że ja zamiast ogarniać, tylko rozpraszam wszystko. Rozpacz ponosiła ją, ponieważ najdroższego syna — Piotrusia, nie było przy niej. Sołtys nakazał mu furmankę i kilka dni już go nie było. Mama głośno płakała. Słuchając tego rozpaczliwego krzyku, ciągnącego się godzinami, ludzie trwożyli się jeszcze bardziej. Żał mi było mamy, żał brata, ale drażnił mnie ten jej nieludz-

ki, ciągły wrzask. Myślałam, że jest półdziki, egoistyczny... Ja cierpiałam inaczej, po swojemu, za ojczyznę całą. Poszczególne jednostki były mi tylko cząsteczkami spojonymi na wspólnym stosie ofiarnym.

Tego dnia ucieszył mnie bardzo przyjazd ciotki z liczną rodziną i siostry Marysi z mężem i trojgiem dzieci. Kamień spadł mi z serca, wszak pomyślałam, że tłumaczeniem, pocieszeniem i pomocą przy gospodarstwie zajmą się inni, a mama lepiej z nimi niż ze mną się zrozumie. Zbliżał się wieczór. Ludzie zaczęli krzyczeć: Pali się... pali! Wybiegłam na gościniec. We wściekłe galopującym pędzie koni przejeżdżały całe szeregi polskiej kawalerii. Zbite kłęby kurzu na wysuszonych drogach unosiły się niby słupy dymu. Pożaru jednak w pobliżu nie było widać. Tylko w dali płonęło sklepienie nieba ognistą luną. Ludzie, jak зараżeni jakąś magnetyczną siłą, zaczęli uciekać. A z mężczyzną — co żyło, kryło się do dziur, opuszczając nawet żony i dzieci. Okropnie ryczało spłoszone bydło. Stałam spokojnie z siostrą Marysią i śmiech mnie łapał na widok całej ciotczynej rodziny, kręcącej się przy obładowanych wozach. Wszyscy byli wystraszeni i zatroskani, bo zawieruszyła się im chustka z głowy. Lamentowała ciotka, wyliczając zalety pluszowej chustki: „Taka ciepła, tyle kosztowała, jak ja bez niej się obejdę... prawdziwa kuśnierówka, jeszcze na ruble było...”. A córka jej znowu: „O ludzie! O narody! Co za narody!... Ukradli kuśnierówkę...”. Aż wuj przerwał: „Baby! Bo prosiaki uciekły...”. I wszczął się popłoch i gonitwa za prosiakami.

Wreszcie ocknęłam się jak ze snu, na wspomnienie o Stachu. Gdzie on jest? Czemu go nie widać? Przecież niedawno jeszcze zakopywał różne rzeczy w skrzyniach do ukrytych w pobliżu dołów. A może uciekł wraz z innymi? Ale tak bez słowa?... Nawet się nie pożegnał? Nie prosił o drobną pamiątkę, nie wyszeptał: Kocham cię, ale wzywa mnie Ojczyzna... Serce zaczęło mi walić jak młotem. Okropna tęsknota ogarniała mą duszę.

Przecież jeszcze przed południem zapewniał że kocha i jeśli będzie zmuszony odejść, odejdzie z moim błogosławieństwem. Biegałam po różnych zakątkach zamarłej wsi, szukając go jak dziecka, niestety — nigdzie go nie było. Odszedł.

Okazało się, że wziął rower brata i uciekł wraz z innymi. Pocieszała mnie tylko myśl, że wzięli go do ochotniczej armii. I znowu złowróżbne myśli napływały do głowy: zginie, wezmą go za szpiega, nie ma dokumentów... A demon ironii szczyrzył zęby, mówiąc: głupia. Ślepo uwierzyłaś człowiekowi, który nie rozumie co znaczą wyższe uczucia. Rzucił cię, bo go znudziłaś. On młody, ładny, pełen życia, chce żyć by użyć, a ty mu zakładasz hamulce...

Długo, w cichą noc błąkałam się samotnie, smutna, spokojna i dziwnie uduchowiona. Nad ranem ludzie wracali do porzuconych domów. Ożyło wszystko.

N I E D Z I E Ł A

Przez naszą wieś toczą się wolno umajone zielenią wozy, wiozące rannych. Niektóre z nich są okropnie zbryzgane krwią. Leżą na nich w spazmatycznych skurczach żołnierze, ofiary wojny. Jęk nieludzki wyrywa się ze spieczonych warg. Zdaje mi się, że ów jęk jest jakby krzykiem modlitwy... „co niby promień przejrzysty odbija się łuną skargi w niebie”. Zdruzgotane piersi, okaleczone głowy, połamane ręce, nogi, rozdarte brzuchy oblepione skrzeplą mazią krwi, wyglądają dziwnie uroczyście. Rannym, którzy byli przytomni, dawaliśmy herbatę. Niektórzy już konali na naszych oczach. Za rannymi zjawił się oficer w stopniu podporucznika, z garstką zuchów. Pytałam go o przebieg wojny, ale bez pytań i odpowiedzi widziałam prawdę obrazową. Oskarżał ów oficer cały rząd, zarzucał zdradę narodu, przepowiadał doszczętny upadek Ojczyzny. Uroczyście wyrzekł: nie poddam się. Powiedziałam mu, że żołnierz prawdziwy powinien

wierzyć w zwycięstwo. Jeśli nie dziś, przyjdzie ono po latach, w przepychu chwały. Roześmiał się gorzko. Entuzjazm mój wypalił się w okopach — rzekł, a prawdę moich słów stwierdzi pani wkrótce. Tak, wiedziałam że mówi prawdę. Twarz miał tak bolesną, iż niepodobna uwierzyć w nieszczerłość, w brak uczuć do Ojczyzny. Skinął głową na pożegnanie i odjechał w gronie swych żołnierzy.

Znowu pojawiły się wozy z rannymi. Na jednym z nich leżały zastygłe już zwłoki. Wyciągnięte sztywne członki przypominały posąg, pokryty wapienną martwością. Sucha, ponura twarz, patrzyła rozwartymi w niebo oczyma. Przekłęci bądźcie faszyści, plemię krzyżackie...

PONIEDZIAŁEK

Spaliśmy na sianie w stodole ze swoją stryjeczną siostrą Stasią. Przebudziły nas głośnie wystrzały. Wyrzalam na podwórko. W popłochu przez pola uciekali nasi żołnierze. Przypominali stado spłoszonych piskląt, które drapieżny ptak rozpedził. Zakurzeni, bladzi ze zmęczenia, padali bezsilnie w bruzdy, by się skryć.

Dookoła rozlegały się huki wystrzałów wiwatnych. Niemcy oznajmiali swój triumfalny pochód. Strwożona ludność tutejsza i uciekinierzy kryli się po piwnicach i innych zakamarkach. Nagle, nieoczekiwanie zagrały całą piekielną kanonadą armaty. Nad czystym lazurem nieba pojawiło się żelazne ptactwo samolotów. Po przeciwległej stronie z trudem dawało się odróżnić stukot karabinów ręcznych i maszynowych. Tak. To garstka naszych niedobitków broniąc się rozpaczliwie, drogo sprzedawała życie. Ale i to powoli ucichło. Wieś nasza i ludność w niej, ocalała.

Na linii pobliskiego gościńca ukazała się zmotoryzowana armia nieprzyjaciela. Żelazny łańcuch czołgów, armat, samochodów i najróżnorodniejszej, nowoczesnej motoryzacji ciągnął, zda się, bez końca. Nigdy nie zapomnę tego widoku i tego bólu

bezsilnego, jaki szarpał me młode serce. Zrozumiałam aż nadto dobrze, że żaden wysiłek nadludzki naszej młodej Ojczyzny nie zdolny byłby oprzeć się tej nawałnicy.

A przecież — nie jesteście narodem rozsądnym.

Nas odwiecznie pędził entuzjazm, brawura, zapal, bez logicznego obrachunku. Zrozumiałam, że taka wojna jak dzisiejsza, powinna być całkiem inną metodą rozgrywana. Wreszcie... co ja mogę dużo rozumować, jeśli widzę już koniec. A przecież... mimo to wierzyłam, że stanie się cud... że Polska, ta moja Święta... ta najdroższa po Bogu... zmartwychwstanie.

*

Godzinami ciągnęła armia niemiecka na wschód. Do naszej wsi żadna patrol nie zajeżdżała. Ludziska jednak nieufnie i bojaźliwie czekali. Przeważnie posmolone kobiety i dzieci, bo mężczyźni się poukrywali. Przez pola, bruzdami, czołgając się na brzuchu, przypęzłło do wsi kilku naszych niedobitków błagając, by ludzie przebrali ich po cywilnemu. Ucieszyłam się, że mogę w czymś pomóc. Przebrałam jednego w robocze ubranie Stacha. Następnie przebrałam jeszcze dwóch, którzy siedzieli w stercie. Pomagała mi siostra Stasia, która stała na warcie. W razie gdyby patrol niemiecki zajechał do wsi, to miała mi dać umówiony znak. Mundury ich, karabiny i inną broń skryłam na klepisku pod słomą w stodole. Przebranych już przyprowadziłam do mieszkania, by mogli umyć zadymione prochem twarze i ręce. Sama brudziłam im stopy, by nie rzucały się w oczy swoją bielą. Były przecież odparzone od butów, a to łatwo odróżnić od opalonych stóp wieśniaków. Obuwia nie miałam, a i nie było czasu na szukanie. Napili się tylko po szklance mleka i niepostrzeżenie wycofali się w pole. Chcieli mi dziękować ale nie pozwoliłam. Pocałowałam ich w zmęczone czoła i rzekłam: Ja, drodzy bracia, dziękuję Wam za wszystko, coście dali Ojczyźnie. Idźcie z Bogiem

A najwyższy był czas, bo Stasia oznajmiła zbliżający się obóz niemiecki, który przyjechał do wsi obiadować. Paniczny strach ogarnął wszystkich. Co stanie się z ludźmi, jeśli znajdą w stodole broń i mundury? — Przekleństwa i narzekania były zwrócone do mnie. Co było robić?...

Wyszłam pierwsza powitać Niemców. Byłam uśmiechnięta i na pozór wesoła, że nikt z wrogów nie odgadłby prawdy, którą kryłam w duszy. Kilka słów zrozumiałam w ich języku. Pytali się o mężczyzn i siano. Wszystkich kierowałam do naszej stodoły po paszę dla koni, by nie szukali niczego w stodole sąsiada, w której była broń i mundury.

Obóz niemiecki rozstawiwszy posterunki na rogatkach wsi spokojnie obiadował, nie wyrządzając cywilnej ludności żadnej krzywdy. Za kilka godzin wojsko wycofało się ze wsi na gościńiec, podążając za swą armią na wschód. Z wszelkich zakątków powychodziło wszystko co żyło, nawet mężczyźni. W tej właśnie chwili zjawił się mój szwagier z okolicznej wsi. Przybył po swoje dzieci — Franię i Tadzia. Pocieszyłam się jego widokiem i jednocześnie mogłam oddać już dzieci, które utrudniały mi wszelkie działanie. Powiedział mi, że u nas na łączkach leży zabity żołnierz, a niedaleko w rowie — jeszcze trzech żołnierzy, którzy czołgają się do wsi. Nie pytając o nic więcej pobiegłam do Stasi, a następnie powoli poszliśmy we wskazanym kierunku. Powoli, ponieważ nie chcieliśmy, by wróg na gościńcu o coś nas podejrzewał. Mialiśmy w fartuchach chleb i owoce, które nieznacznie rzucaliśmy do rowu wygłodniałym żołnierzom mówiąc, by czołgali się do wsi zostawiając tu karabiny i mundury dając im słowo, że ich przebierzemy. Następnie poszliśmy do poległego. Obok wysokiego kopca i przekopanego rowu zieleniła się gęsta trawa. W trawie tej, niby brunatna smuga, kreśliła się kilkumetrowym paskiem zakrzepła krew. O kilka kroków dalej, wśród kwitnących niezapominajek, leżał martwy człowiek. Odmówiliśmy krótką modlitwę za jego duszę i ze smutkiem wróciliśmy do wsi.

Nazajutrz przyszli mężczyźni i pochowali żołnierza obok kopca, przy którym leżał. Z trudem udało mi się zebrać trzy jakieś takie łachy, tak zwane parciaki z paku! i letniaki — jak nazywają po chłopsku. Gdy szczęśliwa niosłam swój skarb w dużym koszu, biegnąc z Dużego Wierzbowa do naszego pędem, aż tu nagle, jakby spod ziemi wyrasta przede mną niemiecka konnica, ale przejechali tylko obok mnie. We wsi roilo się już od wojska. Na szczęście, żaden z nich nie starał się mnie zatrzymać i skontrolować zawartość kosza. Moi żołnierze byli już w stodole, pozostawiając po drodze wszystko, co było wojskowe.

Moja mama denerwowała się na mnie, gdzie ja się włóczę, ale nie mogłam jej powiedzieć, bo i trudno byłoby jej to zrozumieć. Może się jeszcze na noc do wojska powleciesz — rzekła na mój widok. Zapewniałam jednak, że już nigdzie nie pójdę i położyłam się spać obok niej. Ale gdy zasnęła, wyskoczyłam przez okno i przeczłgałam się do stodoły, gdzie ukryłam mundury i karabiny. Przecież niewinni ludzie nie mogą odpowiadać za moje czyny. Człgając się, wyciągnęłam wszystko daleko za stodołę i zakopałam. Byłam zmęczona. Drogą okrężną, niby błądzący cień wracałam do domu. Zbliżałam się już do naszych zabudowań, gdy ujrzałam wylaniającą się zza gumien sylwetkę Niemca. Stanęłam. Zbliżył się do mnie. Był uzbrojony. Spytał się po niemiecku dlaczego nie śpię. Odrzekłam, że nie rozumiem i chciałam go ominąć, ale oniemiałam ze strachu gdy on groźnie coś krzyknął i chciał mnie przemocą przytulić do siebie. Szarpnęłam się gwałtownie i zaczęłam uciekać. Niemiec krzyknął znowu i słyszałam jego kroki tuż tuż za sobą.

— Jezus Maria! — wrzasnęłam na całe gardło, gdy ręka jego dotknęła mej sukienki. Ostatkiem sił szarpnęłam się rozpaczliwie. Pół omdlała usłyszałam, jak z trzaskiem rozwarły się drzwi naszego domu, jak matka moja krzyknęła:

— Cóрко! — i tuż tuż kilka strzałów. Co potem nasłuchiwałam się od mateczki... trudno powtórzyć.

Kiedy wojsko niemieckie opuściło naszą wieś, uciekinierzy zaczęli rozjeżdżać się każdy w swoją stronę. Między innymi odeszły i moje przyjaciółki duchowe z Łomży. Przy pożegnaniu łzy popłynęły nam z oczu. Pani Pytel nazwała mnie córką i pocałowała w czoło, błogosławiąc jak własne dziecko, a młoda, szczupła nauczycielka płakała. Po ich odejściu było mi smutniej jeszcze niż zwykle.

*

Za kilka dni przyszła do nas Jadwiga, moja siostra. Była identycznie, wszechstronnie podobna do mamy, toteż całkowicie się zgadzały na jedną myśl. Lamentowały za brata Piotra, że pewnie zginął skoro nie wraca, zarzucały mi że się cieszę, ponieważ go nie żałuję itp. Nie tłumaczyłam się, nie chciałam przeczyć, odeszłam od nich i uklęknęłam przed obrazem ukrzyżowanego. Byłam aż nadto przybita wszystkim co przeżyłam. Przyszła do mnie Jadzia okazując współczucie i wtedy wróciły mi siły.

Tęskniłam niewymownie za Stachem i żał mi było Piotra. Dlatego słowa matki i siostry piekły mnie, lecz nie chciałam im tego wypowiadać. Tak myśląc, przypominałam sobie o siostrze Rózi. Ją kochałam naprawdę. Jej wierzyłam, do niej czułam coś więcej niż głos krwi. Ona była ze mną spokrewniona sercem. Kochałam również jej małą córeczkę Krysię. Nie wiem dlaczego, ta dziecina tak dziwnie w moje serce wrosła. Myśląc o nich uważałam za swój obowiązek przekonać się o ich obecnym losie. Postanowiłam sobie że — pójdę... Ale jak?... To pytanie mnie dręczyło. Na krótko jednak. Byłam krańcowa. Nigdy nie obliczałam co będzie potem. Skoro uważałam coś za konieczne, rzucałam swe karty losu w chaos przeznaczeń. Dziwne, tak bez planu. Ale mój plan mieścił się w sercu i duszy, a rozum był tylko narzędziem wykonawczym.

Nazajutrz odeszła Jadwiga do własnego domu, a ja ucałowałam matkę i poszłam do Rózi. Ostrołęka była zajęta przez

Niemców i do miasta nie wolno było obcym wchodzić, więc nie było innej rady jak przeprawić się przez Narew. Po długich usiłowaniach udało mi się przekonać tamtejszego rybaka, który za wynagrodzeniem przewiózł mnie łódką na przeciwległy brzeg. Siostrę z dziećmi zastałam w domu. Była spokojna, pomimo że męża jej wzięto na wojnę i nie było od niego żadnej wiadomości. Spokój jej udzielił się jakoś i mnie, tak że wracając do matki byłam zupełnie zrównoważona. Siostra obdarowała mnie wędliną, co została jej jeszcze po zlikwidowaniu sklepu, tak że idąc trzydzieści kilometrów pieszo było mi dość ciężko. Przyszedszy do domu uradowałam się niezmiernie, bo zobaczyłam siedzącego przy stole brata. Z radości wyciąłowałam go, może aż zanedo czule. Mama była szczęśliwa.

No i — po dawnemu rozpoczęło się życie.

Matczynsko wynajdywała co raz to coś nowego pod moim adresem, a Piotr dokuczał, że nie wzięłam nawet żołnierskich mundurów, które wzięli inni. Bo gdy Niemcy opuścili wieś, ludzie je zabrali włącznie z karabinami. A mnie o żadne rzeczy się nie rozchodziło i nie doceniałam tego. Lekceważyłam wszystko poza życiem ludzi. Taką już byłam i nauki starszego rodzeństwa ani matki nie mogły mnie odmienić. Zapragnęłam więc uciec z domu i przypomniałam sobie o pani Matjaszowej. Co się z nią, biedaczką, stało? Miałam znowu czterdzieści kilometrów pieszego drogi. W dodatku, nie wzięłam ze sobą nawet chleba i byłam lekko ubrana, tak że chłody jesienne dawały się we znaki. Do tego noc zastała mnie w szczerym polu. W pobliżu jednak stały trzy sterty zboża. W jednej z nich zanocowałam. Na domiar złego w nocy padał ulewny deszcz. Rankiem jednakże wstało dobroczyńne słońce i osuszyło mi ubranie, a jednocześnie pokrzepiło ducha.

Prawie wesół przyszłam do domu swej przyjaciółki. Niestety, dom był pusty i opieczętowany przez władze niemieckie. Poszukałam jej przyjaciół, których na szczęście zastałam w domu. Opowiedzieli mi o przeżyciach własnych i pani Matjaszowej,

a także podzielili się ze mną skromnym śniadaniem. W drodze powrotnej chciało mi się bardzo jeść i gdy przypominałam sobie o chlebie, to robiło mi się słabo, ale prosić nie mogłam. Szłam coraz wolniej. Dopiero późną nocą dowlokłam się do domu i mogłam już coś przegryźć.

Młodość jednak ma nadludzkie siły.

Kopiemy z mamą kartofle. Dzień jest jasny, pogodny i przypomina bardziej lato niż jesień. Tylko fruujące nici babiego lata i kraczące wrony przypominają o październiku. Mama jak zwykle źle ustosunkowana do mnie, że zupełnie nie chce mi się pracować. Rozglądam się co chwila i nie mogę uwierzyć, że my we dwie mamy wykopać ten bezkresny szmat kartofli. Ale żal mi matki, wreszcie i Piotr by mnie po swojemu poprosił, więc chcąc uniknąć jednego i drugiego, męcę się tu bez chęci. Mama koniecznie chce się ze mną sprzeczać, szuka wszelakich okazji, ale udaję że nie słyszę. Wreszcie zeszło na temat rządu polskiego. Rozgadała się na całego. Być może, że miała trochę racji, ale ja tej racji nigdy dostrzec nie mogłam. Byłam przesycona innym duchem i nic nie przeżyłam z jej udrękiem. Mnie nauczono w szkole wierzyć i kochać, wreszcie... ja swojej mamie prawie nic nie wierzyłam. Tak się już utarło. Wpłynęło na to wiele powodów — właściwych i urojonych, ale nie mogłam się przekonać. Teraz myślę, że jesteśmy z innej gliny i dlatego ten brak zrozumienia. Polskę natomiast wielbiłam. Przesycona byłam tak Jej ideą, że bez analizy oddawałam się całej. Nic więc dziwnego, że kiedy mama przeklinała rząd z jego prawami, ja nastawiona byłam wojowniczo. Nie mogąc matki ukarać ani walczyć z nią, rozbeczałam się jak dziecko. Wtedy ogarnęła mnie złość. I nie myśląc wiele uciekłam z pola. W domu znowu nie mogłam usiedzieć, było mi wstyd. I za chwilę wróciłam do kartofli. Tym razem wzięłam już swoje kosze i nie rozmawialiśmy ze sobą. Kopałam prędko, nie chcąc myśleć o niczym.

Było już po południu gdy zobaczyłam na drodze trzech mężczyzn. Drgnęłam. Poznałam bowiem naszych uciekinierów:

Jemielitego, jego syna Janka i Stasia. Serce waliło mi jak młotem z radości. Rozgrzeszyłam go zupełnie. Czy przyjdzie do nas — myślałam, ale nie, nie przyszedł i aż wieczorem go zobaczyłam. Kiedy wróciłyśmy z mamą od kopania kartofli, razem z Piotrem wykopywali rzeczy, które Stach ukrył w czasie ucieczki. Były tam obrazy, ubrania, bielizna, no i co najważniejsze — ich pieniądze. A byli ci trzej aż na Ukrainie. Na szczęście przetrzymano ich tylko i puszczono cało. Stachowi było nieprzyjemnie. Zapewniał Piotra, że kiedyś mu rower zwróci. Matkę udobruchał i został. Ja ucieszyłam się niezmiernie. Radość swoją okazywałam za bardzo naocznie, bo na oczach mamy i Piotra. Dziś, gdy pomyślę, to widzę pewien nietakt z mojej strony, ale stało się. Zachowanie moje pogorszyło jedynie naszą sytuację. Mama widząc, że ja go przy niej całuję, wpadła w gniew. Ale Boże mój, byłam takim draniem...

2 XI 939 r.

N I E D Z I E Ł A

Jest u mnie Tereska. Ze Stasią spotykam się mniej bo Tereskę bardzo lubię. Jest to córka zmarłej stryjecznej siostry Henryki. Rozmawiamy o jakichś głupstwach i na pozór jest wesoło. Dzień dzisiejszy jest chłodny ale jasny. Gotuje się śniadanie. Mama jakaś dziś dobra, śpiewa godzinki. Stach grał wczoraj w Uśniku na zabawie i jeszcze nie wrócił, a Piotr krząta się przy inwentarzu. Nastrój jest świąteczny. Przerywa nam rozmowę Piotr, bo wchodzi do mieszkania dość głośno. Jest czymś rozdrażniony. Nie zwracając na nas uwagi podszedł do łóżka i położył się na nim. Ogarnęła mnie złość. Łóżko sama starannie i czysto uścieliłam, a on położył się z butami.

— Piotruś! — powiedziałam — naprawdę byś się wstydził.

— Twoje? — odrzekł podniesionym głosem.

— Wszystko twoje — odrzekłam. — Jesteś chciwy i brudas.

On tylko na to czekał. Wyskoczył z łóżka, chwycił motykę i bez namysłu uderzył mnie w głowę. Zrobiło mi się ciemno w oczach i mdło w ustach. Złapałam się za oko. Miałam straszny siniak nad okiem, a na głowie guza. Na pewno biłby mnie więcej gdyby nie Tereska.

Gdy wyszłam na podwórko, ogarnął mnie straszny żal. Zaczęłam spazmatycznie płakać jak skrzywdzone dziecko. Przypomniiał mi się zmarły ojciec. Gdyby On żył, na pewno nie byłabym tak samotna. A tak, jestem gorsza od podrzutka. I im ze mną źle i mnie jeszcze gorzej.

Płakałam długo i rzewnie pod obcym płotem. Zatrzymał się przy mnie jadący drogą krasnoarmiejec, pytając:

— Skażyj! Kto tak ciebia i za szto?

— Spasiba — odrzekłam i odwróciłam głowę. Wstyd mi było płakać. Zobaczyłam zbliżającego się do mnie Stacha. Był onieśmielony. Poszliśmy za naszą stodołę i siedliśmy koło kopczyka na miedzy.

— Stasiu! — szepnęłam — widzisz moje bogactwo? Jeśli kiedykolwiek liczyłeś na moje wiano, to zobaczysz je tylko w postaci guzów, sińców i łez. Dlatego, że Ci nic dać nie mogę, a bez tego miłość moja dla Ciebie byłaby mniej ważna, oddając Ci całkowitą swobodę. Zapomnij, że znałeś mnie. Ja jutro odejdę za granicę do Rózi i nie wrócę tu prędko. Ty w tym czasie uleczysz się i zapomnisz.

Stasio płakał. Był taki bezradny i taki dziecinny, że po prostu śmieszny. Miałam wrażenie, że on nie zdaje sobie nawet z niczego sprawy, tym bardziej z miłości. Ogarnęła mnie litość. Wiedziałam doskonale, że brat celowo wywołał sprzeczkę by nas rozłączyć. Sąsiedzi go pewnie ostrzegali żeby złemu zaradził zawczasu, a on po chłopsku zaradzał. Garbować skórę było radą chłopską. Piotr znał mnie doskonale z tych cech charakteru, że ja wyrzeknę się wszystkiego po złemu, no i użył tych łatwych środków. Zresztą, ja nie lubiłam zabierać — pragnęłam raczej

dawać, choć nie miałam nic. Przekleństwo jakieś mnie opanowało czy co, że tych swoich dręczycieli i nienawidziłam i kochałam jednocześnie. Była to walka serca z rozumem i — serce wygrało. Znano mnie już z tych słabostek, więc postanowiono łatwym sposobem się pozbyć. Byłam ofiarą, lecz Stasiowi nie chciałam wyrządzić najmniejszej krzywdy. Kiedy więc zobaczyłam łzy w jego oczach, spytałam:

— Stasiu! Dlaczego płaczesz?...

— Kocham Cię — powiedział. — Czemu mnie odpychasz? Ja bez Ciebie żyć nie chcę.

Po jego słowach spłynęła mi i samotność, i rozterka, i ból.

— Kochasz Stasiu? — spytałam.

— Kocham Cię — odrzekł. — Rozkochalaś mnie sama w sobie, nauczyłaś tęsknić, całować i wierzyć, dlatego tylko, by mnie dziś samego zostawić? Ja też nie mam nikogo i Ciebie nie chcę drugiemu oddać.

Mówił w uniesieniu. Zmęźniał i spowaźniał. Słuchałam jego słów i było mi jakoś ciepłej na duszy. Miałam znowu dla kogo żyć. Rozstaliśmy się wkrótce bo byliśmy głodni i zmarznięci. Nie chciałam powtórnie przeżywać podobnych nocy, jaką wtedy przeżyłam. Chciało mi się jeść i nie mogłam zasnąć. Płakać też nie mogłam. Oko miałam zapuchnięte i zbolałą głowę. Rano coś przegryzłam, zebrałam swoje listy, zdjęcia, ubrałam się w najlepsze rzeczy, resztę zostawiłam i odeszłam.

Stach czekał na mnie w umówionym miejscu. W jego oczach podarłam na drobne strzępy wszystkie listy od chłopców, których znałam. Masz Stasiu dowód, że zrywam całkowicie z przeszłością. Umówiliśmy się, że ja pójdę do mojej siostry Marysi, do Młynika i jej mąż podwiezie mnie pod granicę, przez którą miałam jakoś się przedrzeć na drugą stronę. Po tamtej stronie była Ostrołęka, a na jej przedmieściu mieszkała z dwojgiem dzieci moja siostra Różia. Mąż jej nie wrócił z wojny, był w niemieckiej niewoli, to jakoś byśmy żyły. Stasio za kilka dni miał przyjść za mną i tam

mieliśmy wziąć może ślub. Taki mniej więcej był nasz plan. Rozstaliśmy się w dobrej myśli, ufni w swe powodzenie.

Tymczasem — los zupełnie inaczej zrządził. Siostra Marysia przyjęła mnie niegościnnie i sucho. Była całkowicie po stronie Piotra. Złękła się, że przyszedł do niej mieszkać.

Mąż jej podwiózł mnie do siostry Jadzi, ale ona też okazała się niewiele łaskawsza. Miała tego dnia pranie, a ja nie miałam sił by jej pomóc. Odpoczęłam więc i poszłam dalej, choć starała się mnie zatrzymać. Lubiałam ją, ale zostać nie mogłam. Do trzeciej siostry Rózi szłam z zupełnym zaufaniem. Byłam pewna, że ona mnie przyjmie z otwartym sercem. Niestety... przez granicę przeprowadzić się już nie mogłam. Była bardzo obstawiona sowieckim wojskiem z tej strony, a niemieckim z przeciwległej. Wróciłam wymęczona znowu do Marysi. Chciałam jedynie u niej odpocząć i wrócić do domu. Marysia nie zdziwiła się ni okazała obojętności. Po prostu powiedziała:

— Bolek, jedź do Piotra to ją odwiedzisz i coś tam z nim załatwisz.

Bolek lubił przejażdżki ze mną, więc za chwilę już jechaliśmy. Przed wsią wysiadłam i poszłam do stryjów Stasi. U niej byłam tydzień. W tym czasie skontaktowałam się ze Stasiem i opowiedziałam mu swą nieudaną podróż. Stasio mój był w następnej wsi, bo po moim odejściu, wymówiono mu u nas pracę. Było to jednakże na jego korzyść, bo u tego gospodarza dobrze zarabiał. Postanowiliśmy bezzwłocznie dać na zapowiedzi. Decyzja już zapadła. Jednego dnia byliśmy w Łomży u ojca kapucyna, u spowiedzi generalnej. Ten święty kapłan nam błogosławił. Następnie byliśmy w Szczepankowie i daliśmy na zapowiedzi. Młody kapłan radził nam się rozejść, widocznie był dobrym psychologiem. Ale nikt już by nas nie rozdzielił, prócz Boga. W domu powstało istne piekło. Mama z Piotrem używali wszelkich środków by nas rozłączyć, ale bezskutecznie.

18 XI 39 r.

Zbliżała się zima. Pamiętam taki jeden, wietrzny dzień. Niebo było mgliste, zasłane ciężkimi chmurami. Wiatr zawzięcie zdawał się potrzasać nimi, jakby dla zabawy. Wtedy rzęsiście spływał drobny deszczyk. Skoro wiaterek przyczajał się gdzieś w sobie, wyglądało jasne słoneczko. Ale tylko na chwilę, wszak nawałnice wełnistych chmur zakrywały mu czym prędzej roześmianą twarz. Droga była grząska, że trudno było nogi z błota wyciągnąć. Szliśmy oboje ze Stasiem do przedślubnej spowiedzi. Było nam zimno. Ja nie miałam ciepłego palta i on miał tylko wytartą kurtkę. Oboje jednak baliśmy się przyznać do prawdy. Mnie nawet głód od kilku dni dał się we znaki, ale zewnątrz wyglądałam jak zwykle. Staralam się nawet uśmiechać i zapewniałam Stasia że damy sobie radę. Naprawdę, sama już w nic nie wierzyłam. Wiedziałam tylko, że nie mogę cofnąć danego słowa i byłam pewna, że go kocham.

W kościele było dość dużo wiernych, szczególnie przy konfesjonalach. My ze Stachem również klękliśmy przy swoich kolejkach. Miałam wrażenie, że oczy wszystkich zwrócone były w naszą stronę, czułam się trochę onieśmielona, ale Stasio był mi droższy jeszcze. Spojrzałam na jego dziecienną prawie twarz, na wyszarzałą kurtkę, spracowane dłonie i lzy zapiekły pod powiekami. Za skarby świata nie byłabym się jego wstydziła. Bo i czego. Cóż on winien temu? Pragnęłam do niego należeć. Pragnęłam, by święty sakrament połączył nas, byśmy od najmniejszego drobiazgu budowali sobie życie. Będziemy się sami wychowywać, myślałam. Rodzicami naszymi będą ci... co odeszli: Ojciec mój i jego Matka. Bez słów, w myśli, modliłam się całą duszą do Jezusa. Do swojego Boga. Ten Bóg zdawał się mnie rozumieć. Wierzyłam, że słyszy, patrzy, współczuje, pomoże.

Ocknęłam się z zadumy. Ja, będąc w kościele, zamiast modlić się, myślę ciągle o nim! Stwierdziłam, że tylko on i o nim i z nim wszędzie. „Wszędzie i zawsze i o każdej dobie” — przypomniałam sobie Krasińskiego wiersz. Podeszłam do Stasia

i poszliśmy z nim do kapłana z pytaniem, czy nie dałby nam ślubu wieczorem. Ksiądz jednak odmówił, ze względu na nie godzące się z takim porządkiem władze sowieckie. Po przyjęciu komunii św. Stasio poszedł do Uśnika zamówić furmanki na trzeci dzień rano, to znaczy na sobotę drugiego grudnia, a ja przyszedłam do domu. Deszcz rozpadał się na całego. U stryja Czesia muzykant już grał na harmonii. Przebrałam się w suchą sukienkę i tańczyłam z dziewczętami bez opamiętania. Nie dam się! — pomyślałam. Nic mi nie zrobią. Ze mną jest prawda i miłość. Nagle, przypomniałam sobie mamę i jej straszne klątwy. Bałam się jej i tych przekleństw. Bałam się już i tych ścian matczynego domu, i przyszłości.

Kiedy muzykant odjechał było mi znowu smutno. Smutku swego jednakże nie okazałam nikomu. Przeciwnie, chciałam okazać widzom swojego życia, że Stasio jest więcej niż godny mnie, że wiem co uczyniłam, że wreszcie bez matki dam sobie radę. Stasio załatwiał wszystko. Kupował, rowerowe części zamieniał na żywność (u swych kolegów) i nagromadził wszelkiego dobra. Ja dołożyłam trochę własnych oszczędności i jedna z moich kuzynek, żona Jemielitego, miała urządzić przyjęcie weselne. Pomagała mi jeszcze Marysia, jej pasierbica, koleżanka z moich dziecinnych lat. Ona prasowała, gniołła makaron i jak dobra siostra zajęła się wszystkim. Tylko Genia, stryjeczna moja siostra, kręciła się niezadowolona i mrukliwa. Liczyłam przedtem na Genię, a tymczasem spojrzałam w jej dwulicową twarz aż nadto jasno. Wyklęta przez matkę, w cudzym domu, czułam się dziwnie samotna. Uklękałam przed obrazem Najświętszej Marii Panny z otwartym sercem i zapatrzyłam się w jej piękną twarz. Był to ten sam obraz, do którego się modliłam w chwili śmiertelnej choroby śp. siostry stryjecznej — Henryki. Prosiłam wtedy Mateńki Najświętszej o przedłużenie jej życia, do chwili przyjęcia ostatnich sakramentów. Zostałam wysłuchana. Dlatego i w tym czasie z ufnością dziecka zwróciłam się do Niej. Zdawało

mi się, że Matka Boża mnie rozumie. Byłam pewna że słyszy. Zapomniałam się tak dalece, że zrzuciłam maskę spokoju ze swej twarzy i wybuchłam spazmatycznym płaczem. Płakałam długo i szczerze. Wylewałam przed Nią wszystko, co wypełniało me jestestwo. Osierocenie, fałszywą dumę, nieszczerą pokorę, zawiedzione nadzieje, a nade wszystko pragnienie miłości. Matuchno moja, Ty wiedz mnie przez drugi etap życia. Przypomnij o tym, że nikt mnie niczego nie uczył, że wychowały mnie pola i tęsknota duszy, dlatego prosź Syna by mi przebaczył winy i nie odpychał od siebie.

Ze łzami spływał mi ból i lęk, ale siły nie wracały. Marysia zawołała Stacha, który przyszedł i kilku zimnymi słowami chciał wyrazić współczucie. Jakże dziecinny wydał mi się w tej chwili. Widocznie nieprzyjemnie mu było patrzeć na mnie, więc wyszedł za chwilę z mieszkania. Wyczerpana płaczem błagałam Matkę Bożą o męstwo. Przed oczyma przelatały mi jak na taśmie, przeżyte lata. Oczy Bożej Matki były aksamitne i tak dziwnie wilgotne, że ja przyglądając się im uparcie, straciłam rachubę czasu. Potem Marysia kropiła mnie zimną wodą.

Uspokojona zupełnie, skończyłam z Marysią resztę pracy i poszliśmy ze Stachem na chlew spać. Było zimno. Grzała nas słoma i własne oddechy. Był to pierwszy dzień grudnia. Ostatnia nasza noc przedślubna. Przebudziliśmy się przed świtem. Na szczęście ja, jak nigdy przedtem, czułam się szczęśliwa. Wierzyłam, że za przyczyną Bożej Matki odzyskałam wolę, odwagę i siły do walki. Serce było znowu płomienne.

1 XII 39 r.

D Z I E Ń 2 G R U D N I A 1 9 3 9

To dzień naszego ślubu. Ranek był cichy i ciepły. Południowy wiatr dmuchał z lekka, ale podmuchem swym osuszył prawie wszystkie kałuże gościńca. Niebo szare, tylko gdzieniegdzie ry-

sował się jaśniejszy odcień. Szczególnie na krańcach horyzontu przybierało bladawą barwę. Nawet na wschodzie odmalowywało jakieś niewyraźnie ułożone zygzaki złotawego odcienia. Przypominało rozpięty baldachim nad ziemią i myślałam, że właśnie dzięki temu powietrze jest łagodne, prawie ciepłe.

Była sobota, ostatni dzień przed adwentem. Może to wpływało po części na zachowanie się ludzi, bo przypominam, że wszyscy byli poważnie nastrojeni. To znaczy — nawet najbliższe nasze weselne otoczenie. Uzbierało się kilkanaście osób. Przeważnie sama młodzież. Wszyscy ci, jechali z nami do kościoła, tak, że orszak weselny był liczny. Ja ze Stasiem byliśmy również pięknie ubrani. On miał czarny krepowy garnitur, doskonale przylegający do jego figury, śnieżną koszulę z jedwabną kokardką, brązowe pantofle i białe rękawiczki. Wyglądał uroczo. Twarz jego była jakby natchniona, oczy paliły się ognistym żarem. Usta zmysłowe, pół rozchyłone, miały przedziwny czar. Bujne, faliste, krucze włosy układały się wytwornym zarysem nad bladym czołem. Pamiętam, że — jak zahipnotyzowana patrzyłam na jego postać! Był tak piękny, że nigdy przedtem takiego go nie widziałam. Przy tym nieziemskim uroku, przebiegał z jego twarzy dziwny odcień smutku. Wydawał mi się pierwszy raz dorosłym mężczyzną. Jednocześnie zauważyłam w jego ruchach prężność i giętkość. W oczach moich dojrzał zupełnie. Z intuicją, znaną tylko kobietom stwierdziłam, że on przeżył swój przełom wiekowy. Przerodził się z chłopca w mężczyznę. Przerażał mnie jednakże jego smętny wyraz twarzy. Bałam się tego smutku, bo znałam jego przyczynę. Tkwiła ona w przyszłości. Widział to, co i mnie było znane. Widział obraz nędzy. I pewnie panicznie jej się bał, tym bardziej, że brał na swe barki kobietę, na której pomoc nie liczył zupełnie.

A życie nie było matką. Domagało się swych praw. Dlatego, chcąc zagłuszyć choć na chwilę natrętne pesymistyczne myśli, grał namiętnie. Grał oberki i polki. Palce jego rytmicznie

wystukiwały po klawiaturze harmonii, ale wyraz twarzy został ten sam. Potem grał tylko walce i tanga. Nasze tanga. Te, które mu ciągle śpiewałam. Przy których zasypiał zmęczony, na moich kolanach. Chciałam mu dorównać. Długa, artystycznie różowa suknia, sięgała mi do kostek. Na nogach miałam wysokie, czarne pantofelki (które kupił mi Stasio). Włosy ułożone skromnie w drobne fale, do których przypięty był z prześlicznej tkaniny biały welon, lekki niby mgła, aż do samej ziemi. Koło głowy przybrany był misterną zieloną girlandą. Nad czołem przypięto mi wianuszek ze szparagusa. Twarz w tym obramowaniu była prawie dziecinna. Tylko wyraz spokoju podkreślał dorosłą kobietę. Byłam też ładną dziewczyną, ale uroda moja nie rzucała się w oczy widzom jak u Stasia. Była zupełnie inna. Jego południowa twarz przy mojej północnej urodzie, była bardziej oryginalna.

Stasio prawie nie patrzył na mnie, był zamyślony w chwilach, gdy przerywał granie. Przypominam sobie, gdy w takim właśnie momencie zwróciłam się do niego. Spojrzeliśmy sobie głęboko w oczy — nie w głąb serca i duszy. Nie miałam odwagi pytać... Dał mi odpowiedź oczyma. Ta niema odpowiedź była zapewnieniem, była przysięgą. Wierzyłam, że jestem kochana. W spojrzeniu naszym był zenit szczęścia. Serca nasze lgnęły do siebie, pchane magnetyczną siłą przeznaczeń. Kochałam go... jakże kochałam go bezgranicznie. A — mimo to — mogłam zerwać. Szukałam tylko okazji. Chciałam ją znaleźć! Dlaczego? — Otóż dlatego tylko, że rozumiałam siebie. Rozumiałam, że bez wielkiej miłości ja żyć nie potrafię. Gdybym nawet w ostatniej chwili przekonała się, że Stasio gra komedię, odeszłabym nawet od ołtarza. Wierzyłam sobie, że dam wszystko i żądam wszystkiego. To nie był egoizm, to duma kobiety, która pragnie kochać i być kochaną. Wreszcie, byłam zdolna do ofiar, mogłam ze śmiechem na ustach zabić swe szczęście by innym dać wolność. To był charakter, może dziedziczny. Nie wiem. Ale Stasio był czarodziejem. Umiał bez słów wlać mi wiarę do serca.

Zajechały trzy furmanki. Nasze ślubne powozy. Całość była dość bogata. Konie ściągłe, wykarmione, przystrojone szarfami i zielenią wyglądały strojnie. Cieszyłam się, że przepowiednie naszpikowane drwinami o kulawym koniu nie ziściły się. Piotruś, mój brat, tak sobie żartował zgryźliwie i nie mogąc nic poradzić, wyjechał tego dnia na furmankę szarwarkową. Matki baliśmy się pożegnać, ze względu na awanturę wywołaną przez nią. W tym celu jednakże posyłaliśmy Jemieliciną żeby spytała, czy wolno nam przyjść po błogosławieństwo, ale bezskuteczne były jej prośby. Mama była w rozpacz. Okazywała ją na swój sposób. Mnie, jako córki, wyrzekała się zupełnie. Uważała, że ślub nasz będzie fałszywy, że Kurp ze szlachcianką to dwie wiary. Śmieszna była ale i nieszczęśliwa. Uważała się za wyższy twór Boży jako szlachcianka i nie wyobrażała sobie, by przeciętny Kurp zabrał ziemię po Jej mężu. Reszta była podrzędną rzeczą. Rozumiałam mamę i nie dziwiłam się zbyt, bo nie stanowiła ona wyjątku. Wina tkwiła w środowisku jakie ją wydało, w ogólnym poglądzie na życie. Takie były lata i ludzie ci mieli swoją rację. Kto wydzierał się przemocą z tych racji, był wyrzutkiem ogółu. Przypomniałam sobie siostrę Rózię. Wiedziałam, że ona mnie nie potępia. Może nie cieszy się, ale i nie dziwi. Było mi przyjemniej.

Szykowaliśmy się do odjazdu. Jemielicina zastępowała mi matkę. Spływały jej łzy po twarzy, podczas gdy lamentowała i zawodziła swoim zwyczajem. Kiedy przy ślubnym pożegnaniu całowałam jej drobną rękę, pomyślałam o spracowanej matczynej dłoni. Natomiast, kiedy ta obca kobieta błogosławiąc nas całowała mnie w czoło, dwie wielkie łzy spłynęły mi po policzkach. Były to pierwsze i ostatnie łzy tego dnia. Łzy na wspomnienie o matce, która wyrzekała się mnie. Pomyślałam o swej sierociej od dziecka doli, o życiu odrębnym niż moje rówieśniczki, o walce, która mnie czeka. Przypomniła mi się ojca kapucyna twarz, który jedynie nam błogosławił. Jego regularna, szlachetna twarz,

wskazywała mi prosty kierunek: -"wierź i walcz cicho". Wstąpił mi znowu duch męstwa i uśmiechnięta szłam do furmanki ze Stasiem, który mnie lekko na niej posadził. Druhnami moimi były: Marysia Jemielitówna starszą i Genia młodszą. Konie pędziły cwałem. Gdyśmy przejeżdżali koło naszych zabudowań, powiedziałam:

— Zostań z Bogiem mateczko.

W szybkim tempie przyjechaliśmy do Szczepankowa. Po spisaniu aktów ślubnych, w których ja — z Korytkowskiej — byłam Gralową, przyszlismy do kościoła. Stasio zamówił bogaty ślub. W tym czasie ja z Marysią uklękłam przed obrazem Serca Jezusowego. Nie wiedziałam o co dobrego Jezusa błagać, czułam tylko jak wiele muszę Mu dziękować. Byłam pewna że to On, ten mój ukochany Ojciec nas łączy. Czułam, że On mi da serce Stasia na zawsze. Uważałam, że to serce to największy dar, to skarb, któremu nie dorównują żadne dobra ziemskie. Ufnie patrzyłam w otwarte serce Jezusa, oddając Jemu nas w opiekę. Boże mój... bądź Bogiem naszym, prowadź nas przez życie drogą, jaka Ci się podoba, tylko nie pozwól, byśmy sprzeciwili się Twojej świętej idei... A Jezus patrzył na mnie z obrazu, taki jak zawsze, łagodny, a święte Jego oblicze promieniało.

Kroki Stasia przerwały me rozmyślenia. Stanęliśmy w szeregu. Orszak weselny wyglądał dość dobrze. Organista zaintonował *Veni Creator* i organy zawtórowały czystą melodią. Stanęliśmy u stóp ołtarza. Przecudna pieśń rozbrzmiewała melodyjnie w murach świątyni, a do duszy mej wlewała niebiańskie ukojenie. Lampka oliwna przed wielkim ołtarzem migotała przydmłonym światłem. Światelko opromieniało Tabernakulum i padało na kapłana przybranego w białą szatę. Płomienie palących się licznie świec blaskiem dziwnym otulały wszystko. Poważny głos księdza czytającego modlitwy liturgiczne brzmiał cicho i łagodnie. Zdawało mi się, że wszystko jest przystosowane do uroczystej chwili, tylko serce moje bije za głośno. Biło ono gwałtownie, a każde

jego uderzenie wystukiwało wyrazy najcudniejsze. Mówiło o tym, że będzie wierne, że miłość jego nie spopieli się nigdy.

Kiedy usłyszałam, że Stasio cichutko i nieśmiało wymawia za księdzem słowa przysięgi, zadrżałam. Za wiele uczuć i myśli nappełniło mi mózg i serce. Gdy kapłan zwrócił się twarzą do mnie, moc dziwna wstąpiła w mą duszę. „Że Cię nie opuszczę aż do śmierci!... echem odbiły się me słowa o mury świątyni pańskiej. Kapłan włożywszy nam obrączki dopełnił ceremonii. Przeszliśmy po ofierze dookoła ołtarza i wróciliśmy do nawy bocznej. Ubraliśmy się i wsiedliśmy na furmankę. Jechałam już ze Stasiem. Byłam jego żoną wobec ludzi i Boga. Dużo serc zwróconych było w naszą stronę. Gapili się ludziska w kościele i na ulicy. Było to dość głośnie. Na pewno dziwiono się dziewczynie, która będąc córką gospodarską wychodzi za służącego. A może żałowano chłopca, co pocznie z taką „paniusią”. Ja byłam szczęśliwa. Cieszyłam się, że dopięłam celu. Wierzyłam, że mój Stasieniek będzie już równy każdemu. Przeżyte cierpienia zdawały się odrobiną w stosunku do radości, której doznawałam.

Gdy konie nasze zajęchały przed dom stryjów, Jemielicina jak matka podała nam chleb i sól. Muzykanci zagrali marsza. Poszliśmy w pierwszą parę do tańca. Smutek Stasia znikł bez śladu, ciemne oczy patrzyły na mnie z uśmiechem. Tańcząc tango, przytulił mnie mocniej do siebie i wyszeptał:

— Kocham Cię...

Gdy muzyka ucichła podano obiad. Był on naprawdę po mistrzowsku przyrządzony. Każda potrawa była smaczna i było ich dość dużo. Co prawda, Jemielicina to odpowiednia kucharka, a i pomoc miała doskonałą. Ludzie byli zaskoczeni. Nikt się nie spodziewał takiego przyjęcia. My sami byliśmy zdziwieni. Rozmnożyło się nam wszystko tak cudownie, jak ewangeliczne siedem chlebów.

W czasie obiadu odczepiono mi welon i zdjęto wianek. Miałam wrażenie, że zdjęto mi skrzydełka ptaszące, a były

nimi moje dotychczasowe marzenia. Po obiedzie znowu zagrała muzyka. Tańczyłam nawet z innymi chłopcami, lecz najczęściej ze Stachem. Wyszliśmy na chwilę na podwórko. Padał drobny, gęsty deszczyk. Było bardzo cicho. Stasio przyrzekał, że będzie mnie zawsze kochał i mówił, że jest szczęśliwy. Przyszliśmy do mieszkania. Młodzież tańczyła rozbawiona. Jeden ze Stacha rywali śpiewał. Antek miał na imię. Widziałam, że był zdenerwowany. Ale ja nikogo nie kochałam takim uczuciem, co swojego męża. Przypomnił mi się Lusiek. Zadrżałam ze zgrozy. Bałam się spojrzeć w przeszłość. On był dla mnie pokrewny duchem, który nigdy nie ziściłby się w rzeczywistości. Za Luśka cierpiałam... on mnie zawiódł, załamał, zburzył wiarę do ludzi... Stasio mnie wskrzesił. Stasio mój prosty, dobry chłopak. Mój szczerzy brat i przyjaciel...

— O czym myślisz? — przerwał Stasio.

— O Tobie, kochanie — odrzekłam.

— Śpiewaj mi... — szepnął.

Śpiewałam... bardzo dużo i myślę, że bez fałszu. Wkrótce podano kolację. Potem muzyka znowu zagrała. Tańczono tylko do 12-tej, bo rozpoczynał się adwent. Goście rozeszli się do domów, a my ze Stasiem położyliśmy się nie rozebrani na łóżku i zasnęliśmy kamiennym snem. Zbudził nas świt, a z nim szara proza życia. Upojenie minęło, ustępując miejsca codziennym trudom i zawodom.

*

Jestem chora do tego stopnia, iż nigdy nie miałam pojęcia o czymś podobnym. Wycieńczył mnie głód, mróz i zmartwienie. Te trzy wściekłe demony wypijały mi stopniowo krew. Dziś jestem jak zwalony pień drzewa. Matka nie zabrania mi już leżeć u Niej w chałupie. Stasio sprzedał moje ślubne pantofelki i kupił za nie stare łóżko. Sprzedał inne moje robótki i kupił starą koldrę.

Jest mi przynajmniej cieplej. Gdy spaliśmy w słomie nad oborą, było nieznośne zimno, bo za nakrycie służyła nam tylko moja jesionka i jego kurtka. A noce były mroźne. Grudzień rozpanoszył się po swojemu. Dostałam mdłości, wymiotów i temperatury. Co było robić? — przyszedłam do matki. A tak wierzyłam w swe siły. Myślałam, że po ślubie przeprawimy się przez granicę i zamieszkamy u Różyckich. Jej mąż nie wrócił. Mieszkałabym z nią i jej dziećmi, a Stasio by znalazł w mieście jakąś pracę. Przeszłaby w ciszy pożoga wojenna to rozpoczęlibyśmy lepsze życie. A tymczasem... choroba moja przerwała zamiary.

Granica sowiecko-niemiecka na Ostrołęce jest gęsto obstawiona strażą, nie ma mowy o przeprawie z chorym człowiekiem. Ale jest mi już wszystko obojętne. Dziwno mi tylko, że tak krótko przeszła radość i wesele. Ubogie moje marzenia o świętej miłości i spokoju minęły... może na zawsze. Nie żał mi jednak niczego. Może to wielkie opuszczenie wpływa tak na usposobienie moje?...

Całymi dniami prawie jestem sama. Mama zajęta krzątaniem przy gospodarstwie, Stasio u stryjecznego brata Czeška młóci cepami zboże. Pieniądze są nam potrzebne niezmiernie, choćby na lekarstwo. Piotrowi nie chcę mówić, z obawy, że odmówi. Mieszkanie jest tak zimne, że na ścianach, po kątach lśnią szron śniegowy. Okna bez podwójnych szyb, też powleczone grubą, śniegową warstwą. Mama czasami pali słomą, bo torf wypalono, ale od niej nie ma żadnego ciepła. Jeszcze na domiar złego, w kopcach zmroziły się kartofle, którymi karmi się świny. W czasie ich gotowania unosi się mdły zapach pary, od której porywają mnie wymioty. A przy tym — odczuwam bóle serca i zawroty głowy. Jest mi czasami niewymownie przykro, dlaczego u nas widać ten niedostatek. Wiem dlaczego... Dlatego tylko, że Piotr jest zachłanny na wszystko, a najbardziej na robotę i nie ma zdolności do gospodarowania. Dlatego nędza szczyrzy zęby, a jej ofiary cierpią. Pieniądze, zamiast być środkiem poprawy

bytu, leżą gdzieś zasupłane w szpargałach, zboże żrą myszy bo brak rąk do pracy, a chora siostra nie ma lekarstwa. Wydziedziczono mnie jak podrzutka. Może nawet szczęśliwsza byłabym, gdybym nie miała rodziny i domu, bo wtedy nie czułabym tego bólu i rozterki.

20 XII 39 r.

Muszę mieć nadludzkie siły by oprzeć się wszelkiemu złu, które się na mnie skrupiło. Jestem wyczerpana chorobą do tego stopnia, że najłżejsze poruszenie sprawia mi ból. Pragnę świeżego powietrza a nie mam go nigdy, nawet w nocy, bo kilka osób śpi w jednym mieszkaniu. Zimne poty występują na mnie z osłabienia. Prawie nic nie mogę jeść, żywię się tylko pieczonymi ziemniakami i ostrą, pieprzową wodą. Żadnego tłuszczu mój organizm nie znosi, nawet mleka. Już prawie miesiąc tak się męczę, a jak długo jeszcze potrwa choroba boję się pomyśleć. Żyję jednakże, mimo straszego wychudzenia. O Stasiu staram się nie myśleć, ale samo mi się myśli, bo całymi dniami leżę sama. On młóci z Cześkiem zboże. Wraca dopiero wieczorem. A przecież to kilka kroków, mógłby choć na chwilę wdepnąć do mnie. Kupuje mi trochę żywności i lekarstw, a ja jak na złość, brzydnę coraz bardziej. Gdybym go choć mniej kochała, lecz ciągle tęsknię za nim i serce pod wpływem uczuć rozsadza piersi. Czasem zdaje mi się że jestem zdrowa, ale to bywa w chwilach, gdy on jest przy mnie. Wtedy proszę go by nic mi nie kupował, by oszczędzał pieniądze. Obiecuję mu że wyzdrowieję, choć sama już w to za bardzo nie wierzę.

6 I 1940 r.

Dziś jestem zdrowsza. Wygramoliłam się wreszcie z pościeli i usiadłam na ciepłej kuchni. Stasio usiadł przy oknie i gra na swojej pedałowce. Patrzę ciągle na jego twarz, która wydaje mi się nieziemsko piękna. Wydaje mi się, że zrosłam się z nim

w jedno życie, że wspólnie tworzymy dopiero całość. Jest dobry To nic, że nie siedzi przy mnie ciągle, przecież musi pracować, a ja pocierpieć też powinnam, bo to uszlachetni mnie bardziej. Bo ja też, często jestem niezdolna. Stasio bardzo zmizerniał. Twarz ma zupełnie smagłą i cerę ciemniejszą. Dawne rumieńce znikły mu zupełnie. Ale zmężniał i spoważniał. Tylko jest często dziwnie zadumany. Czasami są chwile, że nie słyszy co się do niego mówi, a potem pyta jakby się ocknął. Często zdarza się, że nie jada kolacji czy obiadu, a chleba też nie ma najczęściej. Do tego jeszcze ciągle kłótnie matki wykończają go. Buty mu się rozpadają, musi nosić ostatnie pantofle, a śnieg i mróz duży, to żal mi go, by się nie zaziębił. Mimo wszystko — gdyby mi wróciło zdrowie, dalibyśmy sobie radę. Ja, jakbym się przerodziła. Pójdę z nim do najcięższej pracy i powoli zbudujemy sobie wspólnie życie. Chciałabym nic od matki nie brać. Już mi kością w gardle stają ich kłótnie i chciwość. Błagam Boga o cud, a cudem tym byłoby wyzwolenie od nich. Ciągle, z całej duszy dziękuję Jezusowi za swojego małżonka. Uważam go bowiem za dar niebios. Pragnę tak, bez końca kochać Boga i iść ze Stasiem przez życie.

28 I 40 r.

Śniło mi się, że umarł mój Stasio. Dotykałam jego zwłok w śmiertelnej trwodze. Dusza moja rozpływała się z nadmiaru uczuć, a nie mogłam mu już nic wyrazić słowami. Śniłam, że koło świętych obrazów stoi nasze łóżko. Pościel na nim podarta na strzępy, a na niej śmiertelnie blady, wyciągnięty jak napięta struna leży trup mojego najdroższego Stasia. Ze mną była mama, Róża i jeszcze kilka nieznanych osób. Na kominku przy kuchni, paliła się mała naftowa lampka. Bałam się, że dzieli nas tylko kilka godzin, bo wiedziałam, że skoro zbliży się 12-ta, on musi odejść na zawsze. Jakże bardzo pragnęłam by przedłużyć ten czas, wszak pomimo lęku i grozy, chciałam choćby i zmarłego zatrzymać przy sobie. Położyłam się przy nim i patrzyłam na

martwe zwłoki, a Stach przysunął się do mnie i dotykał zimnymi rękoma. Drżałam ze strachu przy każdym takim dotyku ale odejść nie mogłam. On patrzył na mnie ze smutkiem, a potem zaczął całować jakby na pożegnanie. Pocałunki i pieścizoty jego były tak zimne, że dusza moja kurczyła się, ale starałam się uśmiechać. Uśmiech mój był wymuszony i on jakby się na mnie obraził, bo wstał i chciał odchodzić, ale na moje prośby zatrzymał się jeszcze i przekonywał o swej miłości. Mówił, żebym się nie troszczyła o nic, bo duch jego będzie zawsze ze mną. Ja mu na to odrzekłam:

— Dobrze Stasio, połóż się jeszcze i odpocznij, a ja pójdę do Stasi stryjów i pomyślimy wspólnie o urządzeniu Twego pogrzebu.

On zgodził się, lecz okazał chęć pójścia ze mną. Słyszałam dosłownie, gdy mówił:

— Nigdy sama nie będziesz, zawsze będę z Tobą... pamiętaj!...

W tej strasznej chwili przypominałam sobie, że zbliża się północ i żadna ludzka siła zatrzymać go nie zdoła. Znowu mocno mnie przycisnął do siebie i czułam, że żegna się ze mną w ten sposób. Ze strachu szarpnęłam się mocno i... przebudziłam. Stach leżał przy mnie śpiąc spokojnie. Przebudziłam go i opowiedziałam swój straszny sen.

— Widzisz Nina. to jest dowód, że Cię kocham — odrzekł. — Teraz będziesz wierzyć w moją miłość... — i tulił mnie do siebie i całował.

W tym samym czasie dało się słyszeć głośne stukanie w okno, a potem do drzwi. Piotr wstał z łóżka i otworzył drzwi, a po chwili wprowadził do mieszkania sąsiada, Jemielitego. Był to nasz daleki krewny, mąż kuzynki, co zastępowała nam matkę w dzień wesela. Człowiek ów był świeżo upieczonym urzędnikiem sowieckim, tak zwanym predsiadatelem. Lubiał wódkę i rzec by można, że ze względu na to pijaństwo w życiu jego powtarzały się ciągle

błędy. Był nader przystojny, ale charakter jego, spaczył alkohol. Dziś właśnie, w stanie nietrzeźwym przyszedł do mojego Stacha. Ponieważ w domu jego było kilka osób rozbawionych przy butelce, więc potrzeba im było muzyki. W tym celu mój Stasio miał iść z harmonią by towarzystwo zabawiać. Poza tym żądano, by Stach przyprowadził ze sobą mnie, ponieważ byli tam mężczyźni, którym się podobałam. Stasio mój odmówił, tłumacząc się późną porą. Nie było jednak rady. Pijaczyna był wściekły. Operował brutalnymi wyrazami, groził, przeklinał. Wszystko na zawołanie. Mama wtrącała się jeszcze i zaczęła strofować, a i Piotr radził by pójść. Stasio więc ubrał się, wziął pedałówkę i poszedł. Ja się wytłumaczyłam, że Stasio jest zazdrosny o mnie więc przyjdę później.

Matka rozklekotała się na dobre i wygłaszała wszystko, co miała na języku.

— Przecież to urzędnik — mówiła — i taki chodak mu się sprzeciwia. Straszyla, że nas rozłączy, że go o coś tam oskarży do sowieckich władz by go zabrano i... Bóg wie czego jeszcze nie wygadywała.

Nie odzywałam się żadnym słowem. Chciałam, by wreszcie już nie grzeszyć przeciw czwartemu przykazaniu. Za chwilę znowu Jemielity wtoczył się do mieszkania, tym razem po mnie. Matka, jakby nigdy nic, łagodnie zaczęła do mnie przemawiać, żebym posłuchała starszego człowieka. Na szczęście zjawił się Piotr i grzecznie zaprowadził go do domu. Nad ranem wrócił Stach z Piotrem. Ucieszyłam się ale i zasmuciłam, czując wstrętny odór samogonu.

30 I 1940 r.

Wojna wre w całej pełni. Niemcy zagarniają coraz to nowe kraje. Ze Związkiem Radzieckim na razie żyją w przymierzu. Polskę rozdzieliły te dwa mocarstwa między siebie. Całą wschodnią połączyły, aż po Ostrołękę i inne, historyczne miasta, zgarnęli

sowieci. Ziemie te, rdzenno polskie, nazwano Białorusią. Niemcy natomiast zagarnęli ziemie północno-zachodnie, zwąc je Rzeszą. Warszawę zaś, z jej okolicą, nazwano Protektoratem. Powstały więc liczne granice, a Polska zginęła z mapy Europy. Myślę jednak, iż karty historii naszej przekreślone nie będą. Wierzę... pomimo wszystko wierzę, że Chrystus Pan wskrzesi nam Ojczyznę jak ongiś Łazarza. Wierzę, tak jak wierzyły matki, żony i córki polskie, kiedy żegnając swych bliskich oddawały ich Ojczyźnie.

Rozumowo rzecz biorąc — tracę często nadzieję. Kto nam właściwie pozostał? Inteligencja nasza ginie codziennie z takich czy innych powodów. Wróg wynajduje różne preteksty ku temu. Wojsko, po większej części dostało się w niewolę niemiecką. Rząd polski gdzieś przepadł za granicą. Ci, co zdołali się przedrzeć do sprzymierzonej Francji, Anglii, prawdopodobnie utworzyli jakieś polskie oddziały. Ale znamy aż nadto historię. Pokazała nam w całej pełni niewdzięczność sprzymierzeńców. I dziś znajduję się na pewno podobni Napoleonowie. Gdyby przynajmniej tylko tego rodzaju sprawy dręczyły, ale są gorsze. Jest wróg własny, a nim — demoralizacja zrodzona w narodzie polskim. Brak miłości, patriotyzmu, bohaterstwa i innych szlachetnych cnót. Stwierdzić można to w potocznym życiu. Niby to Polacy, a dla zysku sprzedają wrogowi honor i braci. Iluż to zginęło z rąk okupanta przez ludzką zawiść?... przez chciwość, urazę osobistą czy podłość?... Ilu zaparło się wiary świętej z tchórzliwości?... Ilu idzie fałszywą drogą myśląc, że dobrze czyni?... Ludzie żyją chorobliwym życiem. Jedni drugich się boją, a prawie wszyscy są egoistami. Kto by śmiało stawiał czoło przemocy — zginąłby zdeptany. Dobrzy synowie i córki Ojczyzny najczęściej cierpią lub giną. Strach pomyśleć, że nie mamy już nic. Zabrano nam i kochaną Warszawę, i Kraków z prochami bohaterów. Zabrano Gdynię z Bałtykiem i Wisłę szumiącą... Gdzie zabytki naszej kultury i cywilizacji? Gdzie nasi wielcy ludzie? Gdzie jesteście Ojczyzno święta?...

Dlaczego wróg wydziera nam nawet najświętszy skarb — wiarę naszą ojczystą? Tą wiarę, którą praojcowie karmili całe pokolenia... Chcą nam wydrzeć Boga, bo wiedzą, że wydarliby z nim duszę, serce i sumienie. Zostaliby suchy rozum, nie podsycany anielskim ciepłem dobroci. Wtedy bylibyśmy tylko „Rubasznym Czerepem”. O, Wy! Synowie... obudźcie się. Niech twórcze księgi waszego życia ożyją. Wyznaczcie nam drogę prosto — przez Wiarę, miłość, nadzieję i męstwo... Jezu, nasz Panie! Ulituj się nad biednym, polskim narodem.

2 II 1940 r.

Wczoraj rano, po bezsennej nocy rozmawialiśmy o stworzeniu sobie jakiejś egzystencji. Oczywiście, że były to marzenia wypowiedziane słowami. Ja wyraziłam życzenie, że pierwszą naszą koniecznością powinna być odświętna odzież dla niego. Potem pomyślimy o mnie. A pierwszą częścią odzieży ma być płaszcz zimowy. Ja mówiłam o angielskim fasonie. Płaszcz, według mnie, miał być z dobrego gatunku wełny, reglan wolny i dłuższy. Stach był tym oburzony.

— Do cholery! — powiedział ze złością — ja takiego płaszcza nigdy bym nie ubrał.

— Dlaczego przeklinasz? — spytałam, przecież nie masz go jeszcze.

On mówił o swoim guście. Płaszcz jego miał wyglądać podobnie do fasonów jakie nosili tylko starzy ojcowie. I — jak by on w nim wyglądał? Zdefasonowałby sobie figurę. Odwróciłam się i on się odwrócił. Była to nasza pierwsza sprzeczka. On za chwilę głośno zachrapał, a ja przewracałam się nie mogąc dojść do równowagi. Potem, jakby nigdy nic, wstał i zaczął się ubierać.

— Zmień koszulę — rzekłam — ubierz gorszą. Do pracy nie musisz się w nią ubierać.

Nie dał mi żadnej odpowiedzi ale koszuli nie zmienił i poszedł do pracy do Czesia stryjów. Za chwilę jednak wrócił oznajmiając, że Czesiek dziś nie żąda pomocy. Był zły, a mnie rozboleł krzyż i lewa noga, a wymioty powtórzyły się znowu. Stach robił brzozyowe miotły i nie rozmawiał z nikim. Kiedy mama postawiła na stół śniadanie i spożył je w towarzystwie Piotra, humor wrócił mu całkowity. Zaczął nawet się śmiać z jakiegoś naiwnego powiedzonka mamy.

Po śniadaniu przyszedł do mojego łóżka uśmiechnięty. Mówił, że mógłby dość tanio kupić od Lejby Krycberga (sąsiada, Żyda) mięso cielece.

— Wyjadłbym się przynajmniej w zapust — powiedział biedaczysko.

25 II 40 r.

Wczoraj wieczorem, przez nieostrożność zacięłam się w palec. Ranka była dość głęboka, bo krew obficie płynęła. Stach spojrzął na mnie i powiedział:

— Dobrze ci tak, na drugi raz będziesz uważała.

Zawijając rankę odrzekłam mu, że nie oznajmiam nigdy czy mi źle czy dobrze. Pierwszy raz byłam tak okropnie zła, bo słowa te powiedziałam przy matce i Janku Jemielitych (tym samym, z którym uciekał). A Janek to chłopiec chytry i bezduszny. Nie cenię go zupełnie, ale jest to dziecinny kolega i daleki krewny, to muszę go tolerować. Przepowiada mi ze śmiechem, ciągle złe pożycie ze Stachem. Dziś mi wróżył, że Stach po dłuższym pożyciu odpłaci mi za moją miłość kijami. Dziwne, że zamiast odpowiedzieć mu by się nie trwożył o nas, prawie uwierzyłam w jego słowa. Przypominałam sobie na nieszczęście, wszelkie zło u niego, o dobrym nie myśląc.

3 III 40 r.

Stasio ubiera się do kościoła na mszę świętą. Z apetytem i pośpiechem zjada śniadanie. Krojąc chleb kaleczy się w palec. Traf chciał, że w ten sam palec co ja wczoraj.

— Stasio! Stachu! — wołam do niego, a on mówi:

— Wiem, co chcesz mi powiedzieć... dobrze ci.

Za chwilę smutny Stasio podchodzi do mojego łóżka i pyta:

— Czy mi pozwolisz pójść do kościoła?...

— A czy mnie pytałeś przedtem? — odpowiadam.

— A nie pozwoliłabyś, gdybym pytał? — mówi z dziecinnym uśmiechem. Pękły lody. Ogarnęła mnie znowu fala uczucia.

— Dlaczego, Stasienu — odpowiadam. — Przecież modlić się powinniśmy, a msza święta to nasz obowiązek.

Całujemy się znowu jak dzieci i Stasio uśmiechnięty odchodzi. Przykro mi tylko, że jest źle ubrany. Ale i tak dziękuję Jezusowi za wszystko co nam daje.

4 III 40 r.

Mijają dni, podobne jak bliźnięta. Codziennie ten szary obraz. Po prostu wysycha w nim młodość. A jeszcze męczy mnie choroba. Czasem, już po kilka dni chodzę niby zdrowa, lecz... czy to jest życie? Życie, które pasjami kochałam, w którego wirze pragnęłam iść zawsze w nowy świat... w doskonalsze i lepsze dni. A dziś? Ale mniejsza o dziś. Należę do tych, co nigdy nie upadają tak ciężko by nie mogli się już podnieść. I tym razem zaczynam wierzyć, że Bóg przywróci mi jeszcze zdrowie.

Do Stasia coraz bardziej się przyzwyczajam, a on coraz bardziej mnie docenia. Piotr z mamą są na ogół już dość dobrzy. Stasio jest w domu i pomaga w gospodarstwie. Mama ciągle mi mówi:

— Masz kłopot o Kurpia, niech idzie służyć, byle pieniądze ci dał.

Ale ja rozumiem matczyną politykę doskonale. Uśmiecham się dla świętego spokoju i tak czas się odwłóczy. Nic jednakże nie kupiliśmy sobie. Pieniądze, które Stach zarobi na zabawach idą prawie wszystkie na lekarstwa dla mnie. Ale przynajmniej wymioty mniej mnie męczą i wraca apetyt.

30 III 40 r.

Wczoraj była zabawa w naszym mieszkaniu. Ja również tańczyłam, bo jestem już prawie zdrowa. Stasio grał na swojej harmonii. On, biedaczysko się cieszył, że zapłaca za granie. Oczywiście, że jadam już wszystko co mama ugotuje i zupełnie nie mam mdłości. Tańczyłam z jakimś chłopcem i ten mnie zapytał:

— Janeczka, co wy... po takiej miłości i nie myślicie zbierać żadnego plonu?...

— Myślimy — odpowiadam — już ziarno weszło i rozrasta się.

Chłopiec szczerze się roześmiał. W tym momencie poczułam ruchy naszego dzieciątka, przeprosiłam więc go i pobiegłam z tą nowiną do Stasia. Wyszliśmy do pustego pokoju i Stach przyłożył ucho do mojego łona. Byliśmy oboje szczęśliwi. Stach już nie pozwolił mi z nikim tańczyć, więc siedziałam obok niego i śpiewałam, a on grał. Powtórnie przeżyłam tyle szczęścia co w dniu ślubu. Dusza promieniowała mi radością. Kochałam już to nasze małenstwo całą pełnią macierzyńskich uczuć. Trochę się wstydziłam, że jesteśmy tak młodzi i nic nie posiadamy, ale miłość wzięła górę nad wszelkim rozumowaniem.

25 IV 40 r.

Wiosna. Powietrze przesycone aromatyczną wonią. Skowronki śpiewają. W wydzwaniającej melodii słyszę jakby śpiew aniołów. Nie umiem w słowach odtworzyć całej tej radości. Wystarczy że powiem — jest mi aż nadto błogo. Stasio dla mnie taki nieskończenie kochany. Kupił mi już wiele rzeczy. Ja ciągle

coś szyję. Iglą udaje mi się stebnować jak maszyną. Po trosze już i dla naszego maleństwa. Śliczne, jak żywe koszulki, kaftaniki, czapeczki. Mam nawet jedną własną kure, która codziennie znosi jajko. Ze Stasiem żyjemy jak dwoje dzieci, zawsze się rozumiemy. Może dlatego, że ja się bardzo zmieniłam. Żyję jego życiem. Jeśli mi się coś nie podoba, to jedynie proszę o zmianę zdania. Już się nie unoszę i nie mówię mu nic przykrego. On jest tak dobry, że tego stanu nie nadużywa w niczym. O koleżankach zapomniałam, teraz nie mam na to czasu. Stasio co nieco zarabia na zabawach, na naprawie rowerów, na młócce cepami, a nawet i zahandlować potrafi. Są to drobne pieniądze ale cieszą, bo zdobyte uczciwie, a dla nas to wiele.

Mam jednakże jedno zmartwienie. Stach mi zawraca głowę bym pozwoliła mu wspomnieć do Piotra o należytym mi części ziemi. Jestem między młotem a kowadłem, bo wiem co z tego wyniknie. Rozpocznie się na nowo kłótnia a ja, pragnę spokoju. Stachowi przeciwstawić się nie mam odwagi, a prośby stają się bezskuteczne. Tłumaczę mu, a on każe mi się nie wtrącać, że sam to załatwi. Być może, że chciałby to załatwić przez władze sowieckie, więc w żadnym wypadku nie mogę na to pozwolić. Nie chciałabym mamie dokuczać i narażać na szastanie ludzkimi językami.

2 V 40 r.

Przyjechała do nas Jadwiga. Wysiedlono ją z Czartorii, ponieważ na Narwi powstała granica, a wieś ich leżała na granicznym pasie. Jadzia ma małą córeczkę Danusię i jest w ciąży. Mąż jej piętnaście lat starszy i coś do niej zupełnie nie pasuje. Ona ruchliwa, gadatliwa, zwinna, wszędobylska, ciekawska, no i poza tym wszystkim — co dziwne — romantyczna. On, to prawdziwy chłop. Nie zły i nie dobry. Ot taki, jakich miliony wokoło. Mnie ani raził, ani zachwycił. Ale mama moja bardzo go lubiła. Wysoki, płaski, kościsty, flegmatyczny i — co było cha-

rakterystyczne — plotkarz. Zamiast się czymś zająć, lubił mówić o nie swoich sprawach. Wysilał się nawet na niewłaściwe dowcipy i nie liczył się z tym, czy to przystoi w jego wieku. Jadzia, co prawda, przeklinała matkę, że ją wydała za młodu w takie ręce, ale pyszniła się, że jest posiadaczką gospodarstwa. Teraz, kiedy ich wypędzono, cios był bolesny. Jadzia była zarozumiałą osobą i pomimo romantyczności lubiła dostatek. Człowiek biedny był u niej tylko półczłowiekiem. Żoną takiego nigdy by nie została. Dlatego teraz, gdy spotkałyśmy się u matki, powitała mnie zimno. Ja wybiegłam na jej powitanie a ona potraktowała mnie lekceważąco. Nie narzucałam się jej a ona, widocznie rozumiała to opacznie, bo ciągle pod moim adresem rzucała zgryźliwe zdania. Staralam się nie być jej dłużna, bo nie lubiłam ustępować z placu boju i mimo woli rozdzielaliśmy się. Ona miała Stasię (ciągle z nią obcowwała) i mamę. Ja nie miałam nikogo. Wszyscy jakoś niepostrzeżenie odsunęli się ode mnie. Dziwne, że po przyjeździe Jadwigi mama dla mnie była coraz bardziej obca. Z nią rozmawiały wesoło, śmiały się kiedy mnie nie było, a skoro ja przyszłam w tym czasie, rozmowa się urywała. Nie podejrzewałam siostry o podjudzanie matki przeciwko nam, lecz dziwiłam się, dlaczego one mi tak jasno okazują lekceważenie.

Jednej nocy Jadzia poczuła bóle porodowe. Oboje ze Stasiem pomagaliśmy we wszystkim i z całej duszy prosiliśmy Boga o rozwiązanie. Po krótkim czasie urodziła się córeczka. Całowałam to drobne maleństwo myśląc, kiedy zobaczę swoje własne. Po porodzie, Jadzia strasznie się rozchorowała. Czuwałam przy jej łóżku lecząc domowymi środkami i modląc się o jej zdrowie. Od tego czasu upłynęło kilka dni i Jadzia już zaczynała chodzić.

*

Pewnego dnia, rano, Piotr z mamą wszczęli sprzeczkę o jakiś drobiazg. Mama się rozplakała, że ostrym słowem jej ubliżył.

Zwróciłam się do Jadwigi (ponieważ byłam przy jej łóżku) i powiedziałam:

— Dlaczego on tak mamie dokucza? Matka całe życie mu oddaje a on, drań, tak jej się odwdzięcza.

Jadzia coś mi tam bąknęła, ale ona nie broniła ani jednej ani drugiej strony i — uniosłam się jeszcze bardziej. Głos miałam na pewno podniesiony, wszak Piotr go w następnym pokoju usłyszał. Mama wyszła na podwórko, a ja chcąc iść do niej wyszłam również z mieszkania. W sieni zetknęłam się z Piotrem, który również wychodził z przeciwległego pokoju, więc zamiast iść za mamą na podwórko, weszłam do pokoju z którego on wyszedł. Piotr cofnął się, wszedł za mną i zaczął nerwowo czegoś szukać. Podeszłam więc do okna i zaczęłam skubać suche listki z kwiatów, a on podszedł do mnie i spytał:

— Dlaczego mnie przezywałaś do Jadzi?

— A dlaczego dokuczasz matce? — odpowiedziałam.

I tak się zaczęło...

On unosił się coraz bardziej, że to nie mój interes, a ja mówiłam, że matka jest także moją matką, aż zaczął mi grozić, lecz... nie przypuszczałam że będzie mnie bił.

— Milcz, zła krew! — wrzasnął i podskoczył do mnie z pięścią, rzucając obelgami. A ja, zamiast zamilknąć, stałam się stroną atakującą.

— Dlaczego mi ubliżasz!?! — wrzasnęłam i złapałam go za twarz. I w tym momencie poczułam żelazne kleszcze jego silnych rąk na swojej szyi. Znałam już te obręcze z poprzednich przeżyć i pomyślałam, że koniec... Dusiłam się, a on sam też chyba był nieprzytomny w tym szale uniesienia. Nie wiem jak długo szamotałam się w jego szponach, bo na Opatrzność Bożą otwarła drzwi matka i nieludzkim głosem krzyknęła w progu:

— Piotr! Bój się Ran Boskich!

Otworzyłam oczy. Leżałam przewrócona na łóżku czując ból na szyi i nieznośny ból brzucha. Zebrałam resztki sił i po-

szłam do Stasi. Nie skarżyłam się nikomu, tylko cicho płakałam ze strachu, że może nastąpić przedwcześnie poród. Po kilku godzinach przyszedł do mnie Stasio. Okazało się, że w tym czasie wypędzał krowy na pastwisko i wiązał je na łańcuchach. O niczym nie wiedział, tak, że kiedy mnie ujrzał, był okropnie zdziwiony moim wyglądem. Powiedziałam mu ze łzami piąte przez dziesiąte. Pierwszy raz w życiu zobaczyłam go groźnego. Twarz stała się szara, a w dziecinnych oczach zajaśniały gromy.

— Ja go... chama, zabiję! — powiedział dobitnie.

Złapałam go za ręce. Bałam się, by jeden drugiemu nie zrobił krzywdy. Tłumaczyłam mu długo prosząc, o zaniechanie gniewu, aż... oszołomiony moim tłumaczeniem zapłakał jak dziecko. Wiedziałam, że były to łzy bezsilności. Gniewało go, że ja krępuję mu ruchy, że... nie rozumie właściwie jaka ja jestem. W jego pojęciu było, za dobre płacić dobrem, a za złe złem. Chciał z bratem rozpocząć walkę, nie mogąc otwarcie, to skrycie. Przeciwstawiałam się temu. Byłam pewna, że nic dobrego nie wyniknie z bratobójczej walki i wreszcie... jaką ja zostanę siostrą?... A Stasio słuchając mnie, coraz bardziej zaczynał się denerwować i widocznie — jako małżonek miał rację.

Poszliśmy do domu i ja musiałam położyć się do łóżka. Dostałam dziwnych boleści. Stach zostawił mnie samą i wyszedł. Nie było go kilka godzin. Wrócił aż nad wieczorem. Oznajmił mi, że był w pobliskim miasteczku — Śniadowie i tam wniósł akt oskarżenia w wojskowym sądzie. Dobiło mnie to aż nadto, wiedząc, że władze sowieckie nie będą tolerowały u kułaka takiego chuligaństwa. Ale cofnąć już nie mogłam nic, wypadało tylko podziękować Stachowi za jego opiekę i czekać wyniku tej sprawy.

Na wieczór zjawiała się u mnie mama pytając, jak się czuję. Powiedziała mi z płaczem w głosie, że kochany Piotruś tylko tak zażartował, chciał mnie nastraszyć, bo właściwie nie miał zamiaru mnie skrzywdzić. Uśmiechnęłam się gorzko, bo brak mi było słów. Za kilka minut przyniosła mi kolację.

Mijały dni. Ja, już wyzdrowiałam. Wiosna była tak piękna, że urok jej rozpraszał wszelakie zmartwienia. Na polu było wiele pracy. Brałam w niej czynny udział pomimo, że brano mnie za jakąś owcę przybłądę. No, ale pracując, mogłam śmiało zjeść gotowane wiedząc, że słusznie ten posiłek mi się należy. Stach również pomagał, ale z Piotrem nie rozmawiał. Właśnie jednego z takich słonecznych dni byłam na polu przy pracy i mama przyniosła pracownikom obiad. Z daleka już słyszałam, jak głośno nas wyzywała. Było mi strasznie wstyd innych osób. Matka moja należała do tych, które nigdy się z niczym nie kryły, toteż i tym razem wylewała całą gorycz nie przebieając w słowach. Okazało się, że przyszło zawiadomienie, byśmy stawili się do sądu w Śniadowie. Sąd był bez świadków, tylko brat jako oskarżony a ja — poszkodowana. Tylko tego mi brakowało.

Nazajutrz wybieraliśmy się do Śniadowa. Oczywiście, mama z Piotrem furmanką a my pieszo. Na rynku, mama zamiast nas gościć jak siostrę i brata, rozpoczęła znowu wyzwiska. Wstydziłam się i kryłam przed matką, by nie urządzić widowiska. Przeżyłam tyle upokorzenia, że trudno byłoby to dziś odtworzyć na papierze. Nareszcie przyszła nasza sprawa. Weszliśmy do biurowego pokoiku. Nic tu nie przypominało sali sądowej. Był tylko, w stopniu kapitana oficer sowiecki. Twarz jego ułożona w klasyczne rysy, miała wyraz stanowczej powagi. Był prokuratorem. Spytał nas o nazwiska, a mama przerywając mu, poczęła wyjaśniać naszą podłość. Oficer spojrzał na mamę i kazał natychmiast opuścić pokój. Stach również wyszedł, nie był przecież potrzebny. Zostaliśmy z Piotrem, unikając własnego wzroku. Piotr był błąd. Prokurator spytał nas o stopień pokrewieństwa, a potem pytał tylko mnie. Odpowiedziałam, że jestem gotowa mu darować, a oficer spojrzał na mnie uważniej i uśmiechając się wyjaśnił, że w sowieckim sojuszu nie ma burżuazyjnych praw. Następnie spytał się mnie, w którym jestem miesiącu ciąży. Odpowiedziałam, że w szóstym, a ten spojrzał bratu w oczy i zobaczyłam, jak zapala

się w jego oczach gniew. Podniósł się z krzesła i z przyciskiem, po rosyjsku powiedział do Piotra: „Pojedziesz na białe niedźwiedzie... z nimi będziesz walczył, nie z ciężarną niewiastą”... i przeczytał karny kodeks, według którego, za czyn taki, winowajca winien był kary wysiedlenia.

Zadrżało mi serce. Brata wywiozą... a ty zostaniesz na jego majątku... On w niego włożył całą swoją młodość... nic nie użył... też nic radosnego nie przeżył prócz ciężkiej pracy... O — podła sestro... ty, wyrodna... żadna by tak nie postąpiła. Spojrzałam na Piotra. Był blady, skamieniały, ale nie tłumaczył się nawet jednym słowem. Zwróciłam się do oficera i zaczęłam naiwnie tłumaczyć to i owo, ale tym kłamstwem uratowałam sytuację. I tak z oskarżycielki stałam się obrońcą. Mówiłam, że mam histeryczne ataki, że coś uroiłam sobie a mąż wziął to na serio, ponieważ mnie kocha. Piotr zdębiał... słuchał jak na niemieckim kazaniu. Nie odezwał się nawet słowem.

— Durnoj ty żeńszczyna — brzmiała odpowiedź, po czym kazał nam opuścić salę.

Wróciliśmy do domu. Piotr nawet nie podziękował, nie spojrzał na mnie, ot — jakby się nic nie stało. I w domu nic nie uległo zmianie na lepsze. Stach był coś ze mnie niezadowolony, ale po wyjaśnieniu całej sprawy pocałował mnie w czoło mówiąc:

— Moja szlachetna żoneczka.

Nazajutrz poszedł pracować do Chomątowa, do majątku p. Grochowskiego. Zostałam sama, z nimi. Cieszyło mnie, że przynajmniej on nie cierpi głodu.

24 V 40 r.

Dziś rano Stach był w domu ze mną. Ja miałam gotować swoją zupę ale czekałam aż Jadwiga ugotuje dla swojej rodziny. Stasio był dla mnie grzeczny i mile ze mną rozmawiał. Jadwiga nie przyzwyczajona do podobnego toku rozmowy ze swoim mężem, wtrącała się od czasu do czasu z uwagami w rodzaju:

— To brzydko tak się pieścić na wsi... ludzie was pozbadną... Stach jej po swojemu wyjaśniał, mówiąc:

— Kiedy ja swoją Ninkę kocham, bo jest ładna i dobra... to mi się samo tak przemawia — oznajmiał w końcu.

Wtedy Jadzia zrobiła kwaśną minę i zaczęła coś mówić, że ja to jak święta Magdalena, ale Stasio jej odrzekł, że każdy jest najlepszym świadkiem własnych czynów i lepiej niech patrzy na własne życie. I to jakby ją zakłóło. Ja, już nic nie mówiąc, ugotowałam swoje kluski z żytniej mąki i poszłam na górę do swoich szmatek. Stach poszedł do pracy i wrócił dopiero wieczorem. Z nim było mi znowu dobrze.

20 VI 40 r.

Dawno już nie najadłam się z takim apetytem i nawet do syta. Nie chcę często zaglądać do mieszkania żeby nie widzieć nic, bo mimo woli jest mi przykro. Jadzia często mi szczerze współczuje i chciałaby się do mnie zbliżyć i pomóc, ale ja jej jakoś nie ufam. Właśnie szyłam czapeczkę gdy Jadzia przyszła z dużym bochnem chleba w rękę i prosiła, bym go od niej przyjęła, ale nie umiałam się jakoś przemóc. Podziękowałam jej mówiąc, że Stach mi wszystko kupuje i mam żywności pod dostatkiem. W głosie mym brzmiała stanowczość, więc Jadwiga nic już nie mówiąc, zostawiła chleb i odeszła. Leżał tak nienaruszony kilka dni, aż Jadzia zabrała go z powrotem. Nie miałam nawet pokusy by go zjeść. Uważałam że to chleb żebraczy, a ja powinnam jeść własny. Ale już inaczej zaczęłam patrzeć na Jadzię.

30 VI 40 r.

Słoneczny, pogodny dzień lipcowy. Stach poszedł do kościoła, a ja błąkałam się bezwiednie. Czuję się osamotniona do tego stopnia, że rodzina wydaje się obca. Ciężko mi z nimi żyć... Odepchnęli mnie tylko za to, że zostałam żoną biednego chłopca.

Kilka dni temu była straszna awantura. A przecież, zupełnie nie było powodu do niej. Oburzyli się wszyscy z domowników. Rozchodziło się rzekomo o jakąś obrazę swej godności szlacheckiej. Tego dnia spaliśmy ze Staszkiem w stodole na słomie, a ponieważ była niedziela, poleżeliśmy trochę dłużej. Nagle, powietrze wstrząsnęło się od potężnego huku. Byliśmy zdumieni, bo przecież wojny w pobliżu nie było. Usłyszeliśmy gwar ludzi, którzy się zbiegli, a więc i Stasio zszedł po drabinie by się przekonać co się stało. Usłyszał jednak, jak ze śmiechem rozprawiano o naszym małżeństwie. Zartował z nas Jadzi mąż, a inni mu wtórowali. Na widok Stacha ucichła rozmowa i żarty, ale w nim zakipiała złość. W chaosie słów, mama rzuciła się jak furia, Jadzia beczała, a Piotr upominał Stacha.

Ale... poza tym skrawkiem ziemi oni nie dostrzegali nic i niko. W ziemi tkwiło ich serce i dusza. Nie chcieli gospodarstwa rozdrabniać, a Piotr nie miał zbyt doświadczenia do gospodarowania. Gdyby sam się jeszcze ożenił?... Mama kochała go ponad wszystko, a córki zaledwie lubiła. Dlatego też powtarzała, że Bóg litościwy nie dopuści, by taki przybłęda jak Stach, na kawałki kruszył jej ziemię. Matczysko roiło sobie, że gdyby udało się go zameldować jako człowieka z zagranicy, to władze sowieckie by się już nim zajęły. W tym celu dobrym doradcą był Jemielity. Jadzi mąż słuchając tego, tylko kiwał głową jak kaczka, potakując:

— Tak, tak...

Złęklam się tego naprawdę. A ta przekłeta wojna nie pozwalała nam ruszyć się z miejsca. Stasio pracował u pana Grochockiego w majątku, ale zapłatę miał otrzymać dopiero po żniwach. Przychodził tylko na niedzielę i czasem w tygodniu. Nie skarżyłam się jemu bo było mi wstyd. Szczęście, że sam nie cierpiał głodu, bo sama wolałabym skonać niż kogo z nich poprosić o jałmużnę. Nie mogłam przyjmować coś od ludzi, którzy wyrывali mi najcenniejszy skarb — ukochanego męża.

7 VII 40 r.

Wczoraj ze Stachem chodziliśmy do siostry Marysi. W niedzielę to i Stasio był głodny, bo nie pracował u pana Grochowskiego. Poszliśmy więc powoli do tej najstarszej siostry. Dzień był przepiękny. Zboże falowało poruszane wiatrem. Dusza moja uleciała w zapomnienie. U Marysi zapomniałam o bożym świecie. Bawiłam się z ich dziećmi. Ich swoboda i swawola wróciły mi równowagę ducha. W nocy, silne, młode ramiona Stacha zagmatwały rzeczywistość. Myślą uniosłam się w inny piękniejszy świat. Ze świtem czar prysł... uleciała myśl... spadając w szarą prozę życia.

17 VII 40 r.

Nie mam sił. Tępy ból w lewej stronie klatki piersiowej nie daje mi oddychać. Ogarnia mnie już ciągły lęk... boję się o gruźlicę, bo jestem niezmiernie chuda. Boże... jakże ja urodzę to dzieciątko?... Czy będę miała dość sił?... Gdybym mogła wydać je na świat, wtedy już wszystko byłoby łatwiejsze i prostsze. Stach również wychudł i spoważniał. Stał się małowówny i skryty. Patrząc z trwogą w jego oczy... Grube, perliste łyż są jego wymowną odpowiedzią i — prześliczne oczy odzyskują dziecinny wyraz...

Nina, 24 VII 40 r.

Nareszcie przybliżyły się upragnione żniwa. Jestem już o wiele zdrowsza i weselsza. Przychodzę czasem do państwa Grochowskich, bo mój Stach u nich pracuje i jest mi dość wesoło. Grochowski, jest to człowiek, o żartobliwym usposobieniu, trochę dawny hulaka. Tęgi, wysoki, barczysty, urodziwy i przypomina dawnego szlachcica. Jest dowcipny i lubi opowiadać. Na zawołanie znajduje różne anegdotki. Żona jego też mnie lubi, ale Stacha to prawie kocha. Jest to kobieta na ogół pospolita — otyła, czerstwa, średniego wzrostu. Charakter ma gderliwy ale dość rzetelny. Prócz tych dwojga jest jeszcze córka, osiemnastoletnia

Barbara. To kochane dziewczątko. Przystojna, z różową buzią ciągle uśmiechniętą i fiołkowymi, cudnymi oczętami. W kątach drobnych zmysłowych warg umieściły się rozkoszne dwa dołeczki, trzeci — w nieco spiczastej bródce. Ciągłe się śmieje, chyba dlatego, żeby pokazać perłowe ząbki. Brak w niej, subtelności klasycznych rysów, ale przyjemnie jest być z nią w towarzystwie. Mężczyźni tracą głowy. Jest ich zawsze pełno. A Basia lubi towarzystwo, jak jej tata. Trzęsie wtedy ze śmiechu główką, którą wieńczy najczęściej korona grubych, blond warkoczy. Ojciec ją bardzo kocha, a matka natomiast — tak nie okazuje na zewnątrz swych uczuć. Pewnie ma je głębiej.

Z Basią już się zaprzyjaźniłam. Powiedziała mi nawet, że zupełnie się nie dziwi mojemu zamążpójściu. Wyraziła to w ten sposób:

— Gdyby Stach był u nas, ja na pewno zostałabym jego żoną.

Ale ona tak przez grzeczność... Choćby się nawet i zakochała, to przecież rodzice jej na podobny urok by nie pozwolili. Lubię jak mi ta Basienka szczebiocze. Tyle prostoty i szczerości w jej zwierzeniach. Lubią ją wszyscy, nawet starsi ludzie, którzy u nich pracują. Dziś, ze zdziwieniem patrzyłam, że ona je obiad ze wspólnej misy z najemnikami. Był to starszy człowiek i dwie wiejskie kobiety. Jedzono jakąś kleistą jarzynę. Chłopina miał nią umazane wąsy, kobiety szeroko otwierały usta, że widać w nich było zawartość spożywanego pokarmu. Basia tym zupełnie się nie zrażała, przeciwnie — uśmiechnięta zajadała z apetytem. Nawet, gdy misa była już prawie pusta, ona pomogła ją dobrze oczyścić. Pod tym względem — mnie, było do niej bardzo daleko...

13 VIII 40 r.

Dzisiejszej nocy miałam dziwny sen. Po przebudzeniu, długo o nim myślałam. Była to sobota. Stasio miał jak zwykle wrócić na niedzielę ale nie wrócił. Czekałam na niego wieczorem sama, w stodole. Tam spaliśmy latem. Znużona oczekiwaniem

zasnęłam. Śni mi się że leżę na słomie, a obok mojej pościeli ktoś umocował kilka grubych, kwitnących gałęzi bzu. Są one tak przepiękne, że z zachwyty nie mogę oderwać od nich oczu. Płatki tych drobnych kwiateczków są błękitne, przemieniające się w liliowe. Patrzę na nie i wdycham całą piersią przedziwną ich woń. Wtem... zobaczyłam pośród gałęzi postać Chrystusa Pana. Poznałam Go... Był taki sam, jakiego malują genialni artyści. Szedł wolno w moją stronę, jakby niesiony przez niewidzialne siły. Był tak piękny, że dusza moja skurczyła się w swej nicości. Szkarłatna szata w przedziwnie artystycznych liniach spływała Mu z ramion. Szarpnęłam się, by paść na twarz przed swoim Bogiem. Niestety... nie mogłam. Nie mogłam nawet drgnąć, tak byłam słaba, Poczułam tylko straszny, wściekły ból w krzyżu. Jezu!

— Ja Cię kocham... Jezu, weź mnie... — szeptałam tylko.

Widziałam oczyma swej duszy, jak Chrystus Pan wolniutko stapał po płatkach bzu, unosząc się coraz wyżej. W stodole stało się jasno i pięknie. W dachu zobaczyłam otwór, który promieniał aż hen... u niebios bram, Najdroższy mój Jezus płynął, jakoby przez przedziwną powódź tych światła. Był coraz wyżej i wyżej. Ogarniała mnie rozpacz, że za chwilę zniknie mi z oczu. Całą siłą poderwałam się z posłania krzycząc:

— Boże mój! Weź mnie...

Nie mogłam jednakże podnieść się na nogi, wszak cały organizm był okrutnie zbolący. Widziałam tylko, jak Pan Jezus na wołanie mej duszy odwrócił przecudną twarz w moją stronę. Potem, wyciągnął do mnie Boskie dłonie, jakby chciał mnie zabrać. Wyciągnęłam z wysiłkiem swe ręce do Pana, ale — niestety... nie widziałam już nic. Była tylko przede mną droga. Kręta, kamienista, pełna cierni. Szłam już po niej. Choć w nieludzkim bólu lecz siły miałam. Wróciły mi. Bez ustanku szeptałam tylko:

— Chryste, ja cię kocham i pójdę za Tobą.

Kaleczyłam się boleśnie, obficie płynęła mi krew, a najbardziej piekł ból w krzyżu. Pod wpływem tego bólu przebudziłam

się. Rzeczywiście, strasznie bolał mnie krzyż. Noc była ciemna a ja samiuteńka. Złęklam się, że przyjdzie mi może samej tu rodzić. Poza tym, przepotężna tęsknota za snem rwała mi duszę. Pragnęłam naprawdę być już po tamtej stronie, bliżej swego Boga i Ojca. Ale wiedziałam, że wpierw muszę przejść swą kolczastą drogę życia. Dlatego z pokorą skłoniłam głowę szepcząc:

— Niech się dzieje Twoja święta wola.

19 VIII 40 r.

Mam nieznośny ból w krzyżu. Na szczęście, Stach jest ze mną. Wiem, że przyszła chwila porodu. Chcę jeszcze uciec z domu. Swym naiwnym umysłem sędzę, że gdzieś w kącie uda mi się samej urodzić. Oczywiście błagam Stasia, by prowadził mnie do pani Grochowskiej. On u niej jest całym gospodarzem, bo pana Grochowskiego władze sowieckie aresztowały. Stasio jest trochę przestraszony, ale zgadza się iść ze mną. Więc idziemy, jeśli można nazwać podróżą tą bolesną drogę. Na szczęście, na gościńcu nikogo nie widać. Jest niedziela i ludziska wcześniej już wrócili z kościoła. Co kilka minut łapią mnie nieznośne bóle. Wtedy przysiadam w rowie i wiję się w nich. Kiedy mi przechodzą, biegnę co mam sił, byleby zdążyć dobiec. Nie krzyczę, bo przecież nie wypada na drodze, a i Stacha nie wypada mi straszyć. Nareszcie dobiegliśmy do stodoły Grochowskich. Stach otwiera mi tylne wierzaje i wpuszcza do wewnątrz. Myślę, że tu w ciszy urodzę sama, bez pomocy. Proszę tylko by biegł po pieluszki, bo zapomnieliśmy wziąć. Ależ to kawał drogi. Tam i z powrotem sześć kilometrów.

Zostałam sama. Widzę przez szpary w deskach śmiejącą się na podwórku Basię. Jest z chłopcami. Pani Grochowska kręci się na podwórku. Wstydzę się, że — jak złodziej wszłam do obcej stodoły. Zapada już zmierzch. Bóle są coraz częstsze i ostrzejsze. Ogarniają mnie zimne drgawki. Nareszcie... Stasio wrócił. Przyniósł cały pęk kaftaników i pieluszek. Ale cóż!?...

boi się trzymać mnie bez pomocy lekarskiej i opieki. Nie upieram się już przy swoim, że sama urodzę. Stasio idzie do pani Grochowskiej z prośbą o przyjęcie mnie do mieszkania, a on przywiezie akuszerkę. Grochowska kategorycznie odmawia. Pozwala jedynie wziąć konia i wóz by odwieźć mnie do matki. Nie mam sił przeczyć że pójdę pieszo... Łaska jej, niemiłosiernie smaga mnie wstydem. Szczęście, że nie muszę patrzeć jej w oczy, bo nie zjawiała się zupełnie.

Siadam na wóz i jedziemy. Ot — tak jedziemy, jak w tę stronę szliśmy. Ten wóz zupełnie niepotrzebny, bo z bólu nie mogę na nim usiedzieć. Wolę iść. Przyjechaliśmy przed mamy dom. Położyłam się przynajmniej na własnym łóżku, tym — za ślubne pantofle. Stasio przywiózł jakąś babkę — akuszerkę. Jadzia jest dla mnie bardzo dobra. Widzę, że szczerze mi współczuje. Jest i stryjów Stasia. Nagrzały mi dużo wody i nałaty do balii. Prawdopodobnie jest to radykalny środek. Znachorka natarła mi czymś brzuch i powiedziała, że prędko się jeszcze nie urodzi. Ładna mi pociecha... Za kilka godzin zawołano matkę. Początkowo nie chciała przyjść, ale w końcu Jadzia uprosiła. Wstydziłam się jej niezmiernie i nie chciałam żeby widziała mnie obnażoną. Mama również nie okazywała współczucia. Była w stosunku do mnie bardzo urzędowa. Ja też grzeczna, ale zimna i starałam się zachować spokój.

Tak przeszła cała noc. W poniedziałek rano poród postępował wyraźnie. Sądzone, że dziecko niedługo się urodzi. Na próżno jednak wydawałam ostatnie siły... Porodowe bóle zmniejszyły się. Bolał tylko krzyż i darły nogi. Zachodziła obawa poważna. Upłynął prawie cały dzień i nie było żadnego rezultatu. Nad wieczorem Stach przywiózł akuszerkę, dwudziestoletnią sowiecką dziewczynę. Była dopiero po kursach i bez żadnej praktyki. Zachowywała się arogancko. Dała mi zastrzyki na uśmierzanie bólów i kazała odwieźć do szpitala. Bóle mi zupełnie ustały, ale ruchów dziecka prawie już nie czułam. Zaprzężono konie

i włożono mnie na furmankę. Jadzia płakała. Stasio furmanował. Siedziała przy nim młoda akuszerka i beztrosko gawędziła z nim.

Zmierzch już zapadał kiedy konie zatrzymały się przed szpitalem. Szpital był żydowski. Upaństwowiono go i leczono bezpłatnie. Był w Łomży drugi szpital, pod nazwą Świętego Ducha, ale w tym szpitalu trzeba było płacić. Cóż... nie mieliśmy pieniędzy. Spojrzałam na Stacha ostatni raz i wprowadzono mnie na porodówkę. Były tam już dwie kobiety. Darły się niehumanitarnymi głosami, ale wkrótce kwiliły u ich piersi niemowlęta. Ja, przeleżałam całą noc bez opieki. Nikt mi nawet nie podał wody.

We wtorek rano zjawił się lekarz. Po zbadaniu nic nie orzekł ani nie zalecił. Odszedł do innych. Upływał znowu trzeci dzień w niehumanitarnych boleściach. Pragnęłam być u spowiedzi bo czułam bliską śmierć. O księdzu jednak nie było mowy. Tylko imię Jezusa nie schodziło mi z ust. Ciągle je powtarzałam... pamiętałam swój sen... pragnęłam umrzeć.

We wtorek w nocy przybył znowu operator. Był to niski, krępy Żyd, o ostrych rysach. Przyśrubował mnie do operacyjnego stołu. Prosiłam o narkozę, ale miałam chore serce, więc nie dano mi jej. Nadludzkim wysiłkiem wrzasnęłam:

— O Chryste ratuj!... Stasiu!...

— Jezu... — powiedziałam już ciszej.

Doktor wpadł w nerwową pasję. Wrzasnął na mnie dosłownie:

— Leż, bo ci kark skręcę!...

Zamilkłam. Czułam tylko przykrość i żal. Doktora już przy mnie nie było. Zostawił mnie przykręconą do stołu a sam wybiegł. Dziś jeszcze zastanawiam się nad tym — czemu aż tak wyprowadził go z równowagi mój krzyk?... Czy imię Chrystusa wzbudziło w nim antypatię do mnie?... Sama nie umiem odgadnąć.

Ale mnie, było już obojętne. Mogłam umrzeć. Pragnęłam śmierci, bo zrozumiałam, że moje najdroższe dzieciątko zabito.

Martwe, z poszarpaną główką dziecko, zostało w łonie. Przyszły dwie akuszerki... odkręciły mnie od stołu i przeniosły na łóżko. Jak w śnie słyszałam krzyki kobiet które szczęśliwie rodziły. Słyszałam swój własny, jakby obcy szloch. Słyszałam stukot własnego serca, które chciało wyrwać się z piersi... chciało pędzić za duszyczką swojego dzieciątka. Dlaczego nie skończyłam tej nocy, sama nie rozumiem. Ach, Boże mój... Boże... jak w śnie widzę Twe Boskie dłonie i ciernistą drogę swego życia.

Jak dobre widmo przychodziła do mnie jedna z akuszerok (pani Bagińska, była katoliczką) i przykładła mi zimne kompresy na głowę. Doczekałam się świtu. Wróciła mi zupełna przytomność. Łóżko było dość wysokie więc wyciągnęłam nogi i chciałam zejść na stołeczek, ale zrobiło mi się słabo i spadłam. Poleżałam tak kilka minut, a potem na czworakach, jak dziecko, porachkawałam do ubikacji. Było to drugie piętro. Zaświtała mi myśl, żeby otworzyć okno i skoczyć. Nie operowano by mnie już... Nie czułabym tęsknoty... nie paliła by mnie rozpacz. Wdrapałam się na muszlę i będąc blisko okna chciałam je otworzyć. Pod tym samym oknem zobaczyłam swojego Stasia. Chodził wolno i patrzył w górę. Serce zabiło mi gwałtownie. Zawstydyłam się.

Ja mam odbierać sobie życie? Ja mam upaść martwymi częściami u nóg żywego, zdrowego męża? Ohydne... A gdzie moja wiara? Gdzie męstwo... i pokora przed Bożą Wolą!?

Znaleziono mnie jak winowajczynię i przeniesiono na łóżko. Portier przyniósł mi od Stacha kartkę. Odpisałam mu, by przebaczył wszystkim, że kocham go... Ni słowa skargi. Potem przyszedł znowu ten sam doktor, który mnie przedtem operował — Karbowski i zrozumiałam, że zbliża się druga operacja. Gdy mył ręce spytałam go, czy nie będzie dziś na mnie krzyczał. Roześmiał się tylko i zamiast odpowiedzi spytał:

- A nie będziesz wrzeszczeć?
- Daję słowo honoru, że nie będę — odrzekłam.
- I ja nie będę — odpowiedział poważnie.

Dziwnym zbiegiem, doktor był dzisiaj w humorze. Spojrzał na mnie uważniej i spytał:

— Ile ty mała masz lat?

— Jestem już prawie rok mężatką — odrzekłam.

Doktor uśmiechnął się niedowierzająco, a ja ciągnęłam dalej:

— Mój mąż jest komsomolcem...

Nie zdawałam sobie sprawy co znaczy to słowo... Stach chodził tylko na kursy wojskowe, a ja nie umiałam nazwać rzeczy po imieniu. Jak potem się przekonałam, ów człowiek był ideowcem.

Przyszło jeszcze dwóch lekarzy i dwie akuszerki. Znowu przywiązano mnie do stołu operacyjnego. Przystąpiono do operacji. W nieludzkich cierpieniach chciałam z bólu się więc, ale szeptałam tylko:

— Chryste... Stasiu... Jezu ukochany...

Wreszcie wydobyto martwe ciało córeczki. Była bardzo duża i chuda. Wyglądała jak żywa. Miała długie, czarne loczki. Otwarte, błękitne oczy. Była śliczna i bardzo podobna do ojca. Zobaczyłam jak przez sen skrwawione dłonie operatorów i basen krwi. Straciłam przytomność.

Obudził mnie ból i zimno. Leżałam jeszcze na stole. Nikogo przy mnie nie było. Nie miałam siły krzyknąć, a nikt się nie zjawiał. Po dość długim czasie przyszła posługaczka. Poprosiłam ją o przykrycie, więc narzuciła na mnie koc. Za chwilę przewieziono mnie na salę położniczą. Tam znowu, na kilka godzin straciłam przytomność. Przebudzono mnie i wlewano łyżeczką do ust jakiś napój i znowu zasnęłam na kilkanaście godzin. Budzono mnie jeszcze, ale zasypiałam powtórnie. O niczym już nie myślałam, chciałam tylko się wyspać. Po dwóch dobach snu bolała mnie głowa i wszystkie wnętrzości. Najbardziej jednak darła lewa noga. Doktor Karbowski przychodził czasami do mnie porozmawiać. Pytał o męża i jego przynależność do komsomolców. Unikałam tego tematu, bo się zorientowałam

o swojej pomyłce, a nie mogłam tego wyjaśnić. Powoli wracały mi siły i chęć do życia. Miłość do Stasia ożyła znowu z całą potęgą. Jednego dnia dostałam znowu silnej temperatury i lekarz głośno się zastanawiał co to ma znaczyć. Pamiętam, jak potem zacierając ręce mówił do kolegi:

— Nigdy nie przypuszczałem, że tę małą da się jeszcze uratować.

Nad wieczorem drzwi się lekko otwały a ja, patrząc na nie, oszalałam z radości. W drzwiach zobaczyłam Stacha. Jak najzdrowsza poderwałam się na nogi i rzuciłam się jemu w ramiona.

— Stasińku... — szeptałam, całując go.

Stach trzymał mnie na ręku jak dziecko i też całował, ale był przestraszony. W tym czasie wszedł jeden z lekarzy. Stach mówiąc przepraszam... położył mnie na łóżku i wybiegł, ale doktor mimo to był wzburzony.

— Jaki tu porządek! — krzyknął. — Do chorych nie wolno wchodzić nikomu.

Potem chore mnie strasyły, że na wieczór mogę dostać jeszcze większej temperatury. Nie wolno mi było nawet na boki się przewracać a ja skoczyłam jak zdrowa. Jednak, ku wielkiemu zdziwieniu, gorączka zupełnie mnie opuściła i z każdym dniem wyraźnie wracałam do zdrowia. Gdy zaczęłam już chodzić, z braku miejsc w szpitalu, wypisano mnie wcześniej. Dziękowaliśmy oboje ze Stachem doktorowi Karbowskiemu. Uśmiechnął się do Stacha i podał mu rękę.

Po przyjeździe do domu mama była dla mnie bardzo dobra i tym mnie onieśmieliła. Stach mówił, że w czasie mojego pobytu w szpitalu chodziła po kątach i płakała. Wstydziła się okazać żalu przy wszystkich, a sumienie ją gryzło i uczucie macierzyńskie odezwalo się znowu.

— Mój nędzarz kochany — powiedziała mi z płaczem przy powitaniu.

Niedługo jednak cieszyłam się zdrowiem. Wróciła temperatura, ból w prawym boku i krzyżu, a w lewej nodze odezwało się ostre darcie. Położyłam się znowu do łóżka i nie mogłam już wstać. Stasio był zawsze przy mnie. Przynosił z apteki lekarstwa. Miał już pieniądze, bo zapłaciła mu pani Grochowska. Raz nawet zapłacił sąsiadowi za furmankę i zawiózł mnie do Łomży, do doktora. Przy tej okazji wyświeciła się i dawna sprawa. Doktor spytał go o przynależność do komsomołu i wtedy Stach wyjaśnił, że on był tylko zmuszony uczęszczać na kursy wojskowe, a o komunizmie nigdy nie słyszał. Przy pożegnaniu lekarz już nie podał jemu ręki.

18 IX 40 r.

Pożółkłe liście otrząsa wiatr. Konary drzew огоłocone z szaty, są jakby posypane szarym pyłem. Przypomina mi on nicość życia. Świat posępny i pusty... Myślę, że chyba wiecznie będzie tak stary i nieprzytulny. Odczuwam bezbrzeżną pustkę. Jest mi zimno i tak dziwnie boleśnie, że chwilami mam wrażenie, że przygniata mnie cała atmosfera. Rzeczywiście. Bo gdybym znajdowała się na ukochanej ziemi, przyroda jej ukołaby mnie choć na chwilę. Wszędzie czuję bezdenną martwość. Takiej bolesnej próżni nie pamiętam w swym życiu. Nie mam żadnego punktu oparcia. Świat mój spopielał i... nawet iskry nadziei w nim nie zostało... Gdybym przynajmniej mogła się wypłakać... Nie, za wiele żądam... Gdybym mogła zebrać siły choć na jedno słowo skargi... Nic. Serce jak głaz. Tyka tylko, wciąż wystukując w kółko: odszedł... odszedł... odszedł... Okropnie długi czas. Bo właściwie na co, czy raczej na kogo jeszcze czekam? Na śmierć... Nie, za wielka to łaska. Śmierć nie zjawia się na żądanie. Ktoś się wyraził, że tylko tchórze uciekają przed życiem. I zgadzam się, i nie zgadzam z tym twierdzeniem. Zależnie od tego, czy cios zadany należał do śmiertelnych, czy uleczalnych, choćby po części. Cios?... To i ja rażona nim jestem. Ale, za co? Dlaczego?... I — czyja ręka go mi zadała?...

Czemu biorę to aż tak tragicznie?... Przecież oni spełnili tylko swój obowiązek. Przecież Jemielitemu należało się zameldować takiego obywatela w selsowiecie i oświadczyć, że pochodzi zza granicy. Ziemia kurpiowska jest ziemią obcą! O ironio... Cóż by na to powiedziała wojewodzina Działyńska. Ale dajmy spokój historii... Kto by chciał się teraz nią zajmować. Poczucie obowiązku przede wszystkim... Kierowani tą pobudką przyszli inni by go zabrać... A mama? To przecież takie naturalne... Matczyisko tylko się poskarżyło, tak sobie, całkiem nie w złej myśli. A o mnie nikt nie pomyślał. Istotnie. Komu by to przyszło do głowy. Zresztą... mnie się nic nie stało. Ot, jestem po dawnemu, w rodzinnym domu. Że coś przeżyłam, że byłam jakąś żoną czy matką, to trochę aż śmieszne. Przecież mam wygląd taki jeszcze dziecinny. Chwilami samej chce mi się śmiać. W tym śmiechu niehumanoidalnym jak echo odzywa się Stach.

— Stasio! — wołam bez słów... Stasio! — odzywa się przycajony ból mej duszy. On już nie wróci... odpowiadają mi wszystkie złe demony. Wiem, że decyzja zapadła. Wiem, że szczęście, które z takim pietyzmem malowałam, na skrawki zostało podarte. Wiem i tylko wiem. Więcej nic mi nie zostało.

Pamiętam... ach! — to przecież było zaledwie wczoraj. Pamiętam, gdy mnie tulił, całował i zapewniał że wróci. Wróci?... Nie wierzę by wrócił. A jeśli... po długich latach, to czyż będziemy ci sami?... A tak niezłomnie wierzyłam, że dobry Bóg nigdy nas nie rozdzieli. Cieszyłam się, że Stasio już na zawsze zabierał mnie od rodziny. Mieliśmy zamieszkać na górze u pani Grochowskiej, we własnym pokoiku. Cieszyła mnie ta cisza, którą będę tam żyła. Pracowalibyśmy oboje i żadnej pracy bym się nie wstydziła. Niestety... Niestety... Niestety spadło nagle i bezpowrotnie urwały się nadzieje. Dziś już tylko wspomnieć mogę...

Pamiętam... było to w czwartek 10-tego października 40-tego roku. Stasio przyjechał od pani Grochowskiej po mnie

i po nasze rzeczy. Pierwszy raz jakoś zgramoliłam się z łóżka i naciągnęłam na chorą nogę waciany but. Ogarniała mnie radość, ale jeszcze bardziej dziwny niepokój. Sądziłam jednak, że z powodu płaczu Jadzi. Ona bowiem nie mogła tego zrozumieć że ja idę na służbę i przynoszę wstyd rodzinie.

— Jadziu! Kraść nie będę, a żadna praca nie hańbi — odrzekłam.

Stach pakował nasze drobiazgi i swoją harmonię. Mieliśmy już wychodzić z mieszkania, gdy do pokoju wszedł sołtys z innym, świeżo upieczonym urzędnikiem. Jeden z nich wręczył Stachowi kartę do wojska.

— Pobór do Krasnej Armii na 12-tego bieżącego miesiąca... oznajmił tonem namaszczenia.

Stach wziął pismo, przeczytał i nic nie mówiąc schował do kieszeni. Oparłam się o krawędź łóżka by nie upaść i drżałam febrycznie. Ci chłopci, ich podniesione głosy w czasie rozmowy, blada twarz Stacha, krzyk Jadwigi... wszystko to wydawało się koszmarną halucynacją. Przed moimi oczyma czerniała przepaść... Gdyby szedł do wojska polskiego?... Gdyby to byli — przynajmniej — sprzymierzeńcy?...

Krople potu spływały po czole, serce biło gwałtownie. Stasio spojrzał na mnie i zbliżył się po chwili. Mówił mi długo i czule ale nic nie rozumiałam prócz tego, że wyrządzono nam okrutną krzywdę. W duszy zrodził się opętańczy bunt.

— Nie pójdiesz, Stasiu! — rzekłam dobitnie. Uciekniemy. Ty nie masz obowiązku iść w szeregi wrogiej nam armii.

Nie odrzekł ni słowa. Spuścił oczy.

— Oskarżają nas... jesteś chora... nie mamy gdzie uciec... wyszeptał z rezygnacją.

A jednak... musiałam się zgodzić na jego słowa zimnego rozsądku. Mój zapal, miłość, gniew i inne uczucia rozbite zostały o jego wolę. Uśmiechnęłam się i rzekłam:

— Niech się dzieje Wola Boża.

A w duszy szalały huragany, piekł zadany ból, schły rozkwitłe powoje szczęścia... Na ukojenie pomyślałam o innych. O tych milionach, którzy tułają się po różnych krańcach ziemi, o tych nieznanym nikomu i zapomnianym przez każdego. Ulgi to nie przyniosło lecz wzmocniło ducha. Spojrzałam na Stasia i szepnęłam:

Największym z bohaterów świata jest Chrystus. Jego Boska miłość, poświęcenie i pokora, doszła do heroicznych wyżyn. Biermy wzór z Niego i idźmy z podniesioną dumnie głową naprzeciw cierpieniom... nie cofajmy się, choćby szlak naszej ciernistej drogi wiódł aż na Kalwarię.

Stasio uśmiechnął się dziecinnie. Cieszył się, że zamiast łez słyszy te proste, spokojne słowa. Płacz Jadzi przerwał nam na chwilę myśli. Ona tak szczerze okazywała swój ból. Dziwne. Wyglądało na to, że ona bardziej boleje za Stacha niż ja. Była impulsywna i czułościowa. Pod wrażeniem chwili zmieniała się gdy ja, byłam zupełnie inna. Uspokoiliłam Jadzię jakimś słowem i pojechaliśmy do Grochowskich. Nie, żeby mieszkać, ale po prostu tak, by odprowadzić konie i po żegnać się z nimi.

*

Był piękny październikowy wieczór. Roziskrzony gwiazdami granatowy firmament, wznosił się nad naszymi głowami okalając skłony ziemi. Stach był dziwnie spokojny i mało mówny. Ja patrzyłam w niebo szukając gwiazdy przeznaczenia. Milczenie przerwał Stasio. Spytał, czy jest mi ciepło i czy nie dokucza ból w nodze. Zaprzeczyłam. Potem wpadł w nastrój kaznodziejski i mówił dużo o duszy, o nieśmiertelności ludzkiej, o grzechu. Zapewniał, że cokolwiek drogiego posiada, zostawia ze mną, przy mnie, a ja mam te skarby przechować. Potem wspólnie, wraz z moimi, złożymy je Bogu. Miał nadzieję że wróci... Nie wiem dlaczego, ale przykro mi trochę było, że nie okazał najmniejszej

chęci obrony. Że nie wziął pod uwagę nawet słów Jadzi, kiedy kazała mu się kryć albo uciekać. Nie. Po prostu szedł za losem. Nie sprzeciwiałam się i nigdy moja kobieca duma nie pozwoliłaby na to, bym go siłą chciała przy sobie zatrzymać.

Przyjechaliśmy do państwa Grochowskich i spędziliśmy wieczór. Stasio grał, one mówiły o własnej niedoli. Była jasna, zimna noc. Patrzyłam przez mdłe szybki okna na wędrujący samotnie księżyc. Płonące gwiazdy błyszczały niczym lampki. Ich światło było przepełnione jakąś powagą i majestatem. Nie radowało, jak to jest przy świetle słońca, ale ciągnęło serce, duszę, całe jestestwo w bezkres, w tęsknicę i zapomnienie. Jeszcze ta bezszelestna cisza dopełniała całości. Słyszałam wyraźnie bicie naszych serc. Noc była widna i doskonale widziałam Stasia twarz. Był milczący. Całował mnie jak dziecko, ale tak oszałamiająco, że paliło krew. Ale musiałam milczeć, zamknąć powagą zmysły. Musiałam zabić w sobie wszystko inne, a na usta przywołać uśmiech anielskiego spokoju. Pragnęłam by uwierzył, że nie boleję, by nie tęsknił za mną, bym nie dała mu na drogę goryczy. Ale ból wzrasta z każdą chwilą, może dlatego, że nie mogłam i nie miałam go przed kim wypłakać.

Kończyła się cudna, okrutna noc. Wydzierała mi chwile wspomnień. Świt przynosił rzeczywistość. Znikał z jego zetknięciem tajemniczy pokoik w sennie bladym świetelku księżyca. A my? — Te dwa kochające się duchy rozdzielamy się. Tak chce świat. Tak chce życie, nieubłagane, niosące na białej kartce papieru wypisane prawa realistów. Gińcie marzyciele, drwi ironia... gińcie idioci, wtóruje jej grubiański cynizm losu.

Wstał cichy, pogodny dzień. Nad jego horyzontem zawisła rubinowa, słoneczna tarcza. Stach pojechał rowerem pani Basi do Łomży. Przyjechał po południu. Przywiózł mi lekarstwo, ciepłe buty, ciepłe ubranie, a co najważniejsze — był u ojca Kapucyna u spowiedzi. Roztkliwiłam się tym wszystkim. Opowiadał, że ojciec Kapucyn udzielił mu wiele mądrych rad. Z radości,

całowaliśmy się jak dzieci, że na chwilę zapomniałam o wszystkim. Słuchałam jedynie jego dobrych słów. A on — mówił mi bardzo wiele. Był nawet dość poważny. Mówił, że wszystko jest potrzebne, cokolwiek Bóg pozwala przeżyć. Wybierał mi nawet wielkie cnoty, które — jego zdaniem — zrodzić się mają z cierpienia. Słuchałam go z niewysłowioną radością. Cieszyłam się, że słowa jego są pełne męstwa. Bo przecież ludzie tchórzliwi, wiecznie tylko narzekają i utyskują.

Pożegnaliśmy się z panią Grochowską i Basią i przyjechaliśmy do domu na jednym rowerze. Stach był przemęczony podróżą więc natychmiast położył się do łóżka. Przytuliłam się do niego i szeptałam najmiłsze wyrazy miłości, aż ukołysany ich dźwiękiem zasnął. Była to nasza ostatnia noc. Przytuliłam się do jego piersi. Skurczyłam się, jak robak w swym głuchym bólu i bezdźwięcznie zaczęłam szeptać słowa modlitwy, aż zasnęłam.

Przebudził mnie Stasio pocałunkami. Gładził moje włosy powoli i znowu zaczął swój ulubiony temat o pięknej idei Chrystusa. Staralam się uważnie go słuchać, by słowa jego wryły się w mą duszę. Myśli moje przerwał zegar bijący północ. W tej samej chwili usłyszeliśmy głośnie kroki pod oknem, potem stukot w szybę i walenie pięścią w drzwi. Stach spytał:

— Kto tam?...

Za oknem odezwały się głosy świeżo powołanych na stanowiska służalców.

— Natychmiast ubieraj się, bo wkrótce odjeżdżają furmanki — zawołał jeden z nich.

Przyszli — dranie — jak po przestępcę, kradnąc nam ostatnie kilka godzin. Żal wezbrał w mym sercu aż po brzegi. Zaczęłam płakać jak skrzywdzone dziecko. Stach starał się mnie uspokoić, lecz sam był wyprowadzony z równowagi. Poskarżyć się mogłam jedynie Bogu. Nie miałam nikogo więcej. Cóż było robić... Pomogłam Stasiowi w przygotowaniach do podróży. Dałam mu świeżo uszytą przez siebie torbę, w którą włożył chleb i słoninę,

kupioną za resztę pieniędzy. Ubrał się ciepło i zaczął się żegnać. Najpierw poszedł do matki. Była niewzruszenie spokojna, jakby nic nie zaszło. Piotr cmoknął go formułkowo i tylko Jadzia nie mogła powstrzymać łez. Stach też się rozplakał. Miał trupio bladą twarz. Przecudne, ciemne oczy błyszczały niesamowitym blaskiem. Usta były bezbarwne, zaciśnięte... Był mi droższy nad wszystkie skarby ziemi... Był moim światem szczęścia. Wszak on pierwszy wskazał mi prostą drogę do Boga. Stasio, jedyny Ty mój, gdzie Cię znajdziesz?... Czemu musisz mnie zostawić?... łkało serce.

Już był czas, by odchodził. Ubrałam się i wyszłam z nim. Odprowadziłam Go do wzgórka, na którym tkwił szary pień krzyża. Pagórek okalały jeszcze zielone krzewy bzu i brunatno zielona trawa. Wznosił się na nim wysoki, na kilka metrów drewniany krzyż, ale obecnie jacyś innowiercy czy wolnomyśliciele go zerznęli. Uklękliśmy więc ze Stachem przy zmurszałym pniu krzyża. Stach płakał rzewnie całując ziemię. Ja płakać nie mogłam. W piersiach czułam palącą ranę i dziwną lukę. Było mi głucho i strasznie. Stasio przysięgał mi miłość i wierność, ja — też coś tam mówiłam, lecz bez zapалу i wiary. Pamiętam tylko, gdy Stasio wstając z klęczek wziął moją dłoń prosząc, bym szanowała zdrowie. Zapewniał że wróci...

— A gdybym zginął — szepnął ciszej — pamiętaj, że Ciebie kochałem najczystsza miłością. Zostań z Bogiem i żyj moralnie, to spotkamy się kiedyś... może w krainie, w której nieznana będzie niedola ludzka.

Patrzyłam przykutym wzrokiem w jego twarz, chcąc ją na zawsze zachować w pamięci. Byłam spokojna. Pocałowaliśmy się chłodno. Ani jedna łza nie spłynęła z oczu. Jadący furmanką chłop zawołał go. Patrząc za nim doznałam dziwnego uczucia... po prostu byłam pewna, że zamykam trumnę. W niej... naszą miłość. Coś zgrzytnęło, załamało się, pękło w mej duszy... Odeszłam machinalnie. Szłam bez celu, nie wiedząc — dokąd?... po

co?... do kogo?... Cały gmach mego szczęścia runął w przepaść i zamienił się w szary proch wspomnień.

Odwrociłam się jeszcze. W dole, w mglistych oparach ujrzałam maleńki punkcik jadącej furmanki... Ten drobny, czarny znaczek, powiózł moje życie... Patrzyłam za nim aż znikł mi z oczu. I tylko ślad furmanki na drodze, którą szłam, przypominał o nagiej prawdzie, o fakcie dokonanym. Popatrzyłam boleśnie na szary pień krzyżowego drzewa i żegnając modlitewnie nasze cmentarzysko poszłam... Poszłam znowu w życie, które wołało mnie do czynów, pracy, miłości i poświęceń...

Poszłam... w nieznane.

Nina, 14 X 1940 r.

Jestem sama, okryta swą skorupą zapomnienia. Stasio przysłał mi tylko częste listy. Ciągłe czytam i odpisuję mu ustawicznie. Jadzia się śmieje z takiej głupoty, ale jest to na razie moje, pełne życie. Wczoraj znowu, z mamą wyrządziły mi przykrość. Nie chciałam się z nimi kłócić, bo i do czego to doprowadzi. One moją pokorę wzięły za obłudę, więc co poradzę, kiedy one mi — ani ja im, nie wierzę. Mama pierwszy raz od czasu mojej choroby mi dokuczyła. Nie jadam z nimi i to też widocznie im się nie podobało. Mama poruszona, zaczęła od początku mówić o mojej podłości i Stacha, że wreszcie „dostało się draniowi”.

Czego ja chcę od tych kobiet? — pomyślałam. Czy coś nowego mogę od nich żądać?...

Wstałam, zebrałam swoje szpargalki, ubrałam się i wyszłam. Chciałam odejść na zawsze... Odejść i więcej nie wracać. Ale — gdzie pójdę, gdzie?... Szłam ze łzami, nie oglądając się za siebie. Za chwilę dopędził mnie Piotr.

— Gdzie idziesz? — spytał łagodnie.

— Wszystko mi jedno, byleby wam więcej nie przeszkadzać — odrzekłam.

— Wróć się — powiedział szeptem.

Zastąpił mi drogę, objął ramieniem i pierwszy raz w moim życiu złożył mi na czole braterski pocałunek. Było mi wstyd, że tak się zakończyła moja ucieczka, ale nie mogłam już odejść. Serce zabiło mi mocno.... najszczęśliwszą na świecie siostrzaną miłością. A kiedy tak stałam jak bezradne dziecko, Piotr wyjął z kieszeni duże jabłko i położył mi na ręce.

— Dlaczego mi dajesz? — spytałam. — Przecież wiem, że miałeś w tym roku, w całym sadzie tylko to jedno jabłko.

— Weź, to dla ciebie urosło — odrzekł.

Śmiecie się... nazywajcie mnie szaloną, a ja — konając, szeptać jeszcze będę: — Kocham Was wszystkich...

Nina, Wierzbowo 20 XI 40 r.

Tomik III
(lata 1941—1945)

Byłam u Marysi Galińskiej w Śniadowie, bo chorowała ciężko i chciałam w niedoli jej pomóc. Poznałam u niej pewną Żydówkę, Patałoską, kobietę energiczną, młodą i bardzo przebiegłą. Była typem wyrażającym swoją rasę. Przychodziła często do Marysi i handlowała z nią zamieniając towar za żywność. Kiedy mnie poznała, nie wiem czemu, ale okazywała mi więcej sympatii aniżeli zasłużyłam na nią. Kilka dni później wróciłam do domu i w niedługim czasie dowiedziałam się, że wszystkich Żydów ze Śniadowa rozstrzelali na kirkucie żandarmi. Przykro mi było o tym słyszeć lecz wiedząc, że siły moje są nikłe, starałam się na wszystko zatykać uszy. Nic to nie pomogło, bo Żydzi i tak, jak cienie zaczęli przemykać się przez naszą wieś. Karmiłam ich czym mogłam i pomagałam w biedzie, ale cóż to znaczyło.

Pewnego razu przyszło ich aż pięcioro na noc i wszystkim daliśmy z Piotrem przytułek w stodole. Wieczorem już, Stasia (moja stryjeczna siostra) przyszła ze Śniadowa w towarzystwie właśnie tej Patałoskiej. Miała ona na ręku dwuroczną córeczkę Esterę. Dziecko było chore, kapryśne i ciągle płakało. Dziewczynka była bardzo ładna, miała jasne loki, duże niebieskie oczy i czerwone, chorobliwe wypieki na twarzy. Żydówka od razu zwróciła się do mnie z prośbą żeby jej pomóc. Byłyśmy prawie w jednym wieku. Polubiłam ją, ale była tak natrętna, że niemal przemocą chciała mnie obarczyć swoimi kłopotami. Mama mnie ostrzegała, ale to nie pomogło, bo należałam do młodych zapaleńców. Wzięłam ją i w swej naiwności sądziłam, że jej ulżę. Chciałam przede wszystkim wyleczyć dziecko, tylko nie wiedziałam jak tego dokonać. Wreszcie matka, zaopatrzona w żywność

poszła do dołu z kartoflami, a ja z jej córeczką na Młynik, do naszej Marysi. Trafiłam w samo sedno, bo Bolek chciał mnie wypędzić z tym fantem, ale Marysia mnie zatrzymała. Byłam u nich dwa dni. Dziecko krzyczało:

— Mamy!... Mamy!... tak przeraźliwie, że niczym nie mogłam uciszyć. Co chwila prałam pieluszki, bo dziewczynka miała silne rozwolnienie, więc czuwałam przy niej całą noc. Wstydziłam się, bo Bolek był zły i nie rozmawiał ze mną. Nie było rady, musiałam pójść po matkę. Siedziała biedaczka półżywa i niezmiernie tęskniła za dzieckiem. Przyprowadziłam ją do siostry, gdzie przenocowaliśmy, a nazajutrz poszła ze swoim skarbem dalej. Było niezmiernie zimno, więc zdjęłam z siebie sweter i serdak i dałam jej do przykrycia siebie i dziecka. Pocałowałyśmy się i odeszła.

Nina

*

Listopad 1941 r. był szczególnie zimny. Wiały silne wiatry i lały pluchy. Przy końcu miesiąca pojawiły się nawet przymrozki i śnieżyce. Przypominam jeden z listopadowych dni, był wyjątkowo zimny i wietrzny. Wkoło drewnianych zabudowań hulała wichura tak wściekle, jakby chciała rozszarpać na kawałki ziemię. Wicher świstał tak donośnie, że miało się wrażenie iż władca jesieni chce okazać nie tylko siłę i moc, ale podkreślić swe panowanie.

Pamiętam... gdy wieczór już zapadł, przypadkiem byłam zmuszona biec z Dużego Wierzbowa do naszej wsi. Zimno przenikało aż do szpiku. Gdziekolwiek migotały tylko mdłe światełka naftowych lamp, niby koraliki na czarnym kirze. Biegnąc, patrzyłam na ostatni płomyk, bo nasza chata stała po drugiej stronie wioski. Zdawało mi się, że nie ma końca ta przecież bardzo krótka droga. Zwolniłam kroku i wsłuchiwa-

łam się w rozhukane żywioły. Spojrzałam w bok i zdawało mi się, że na pustkowiu pól odróżniam dwa cienie. Pomyślałam, że kogoś przez pola Bóg prowadzi i zwalniając kroku przyglądałam się tym duchom. Odróżniłam dwie postacie. Zbliżyły się do budynków gumienych i oparły się o winkel chlewika. Ja również zbliżyłam się, ale nie chcąc ich płoszyć skręciłam na podwórko. Z ciekawości przystanęłam trochę, wszak zainteresowało mnie, dlaczego nie idą dalej. Ze wsi dochodził jazgot psów i gdzieniegdzie skrzyp studziennych żurawi. Weszłam do mieszkania. Mama gotowała kolację. Przy kuchni leżały grube drwa i cegły torfu w koszu. Przyjemne ciepło rozchodziło się po całym domu. Oprócz matki był Piotr i kilku sąsiadów, co przyszli na pogawędkę oraz jeden krasnoarmiejec, który uciekł z niewoli niemieckiej. Nastrój był wesoły i gwarny. Na mój widok mama jak zwykle zaczęła się denerwować:

— Gdzie się włóczysz w taką zawieję... i rozgadała się matczyśko.

— Co jej tam szkodzi, takiej młodej kobiecie — odezwał się jeden z sąsiadów. Był to małżonek mojej szkolnej koleżanki Janiny. Ożenił się z nią pomimo, że był u jej rodziców pastuchem, a potem parobkiem. Małżeństwu temu nie mogli się już sprzeciwić rodzice, ponieważ córka była już pod koniec ciąży, gdy zauważyli ich romans. I tak po zaślubinach swej bogatej panny Wacek stał się panem Chajęckim. A starał się wciskać wszędzie gdzie go nie proszono. Ale mniejsza o niego. Nie dałam mu w ogóle odpowiedzi, chcąc się przebrać i wybiec znowu na podwórko, do nieszczęśliwców pod chlewikiem. Miałam zamiar zaprosić ich do mieszkania, ale bałam się, że mogę ich i rodzinę narazić na niebezpieczeństwo. Kiedy tak rozmyślałam co począć, usłyszeliśmy stukanie do drzwi. Pobiełam otworzyć drzwi pytając:

— Kto tam?... Usłyszałam cichy, lękliwy głos z zewnątrz:

— To my...

— Proszę wejść — powiedziałam, otwierając drzwi na oścież.

W powodzi światła ukazały się oczu zgromadzonych dwie, a raczej trzy postacie. Były to dwie kobiety i dziecko u jednej z nich na ręku. Trwożnie przesunęły się na środek izby. Miały podartą odzież i drżały z zimna. Wystawiłam im krzeselka i poprosiłam by usiadły przy kuchni.

— Nie wypędzajcie nas... błagalnym głosem zawołała młoda kobieta z dzieckiem na ręku.

— Broń Boże, nikt nie ma takiego zamiaru — odrzekłam, a mama mi przysła jakby z pomocą, bo natychmiast dodała:

— Do nas, to jak do domu przytułkowego, wszyscy się garną, ale oby tylko inni nie oskarżyli was i nas, bo nam miejsca w izbie nie ubędzie.

Kobiety usiadły i posadziły kwilące dziecko. Było ono jeszcze małe, okropnie brudne i miało siną, obrzmiałą twarzyczkę. W izbie zrobiło się gwarno jak w ulu. Pytano i odpowiadano sobie nawzajem. Dziwiono się, wzdychano i narzekano. Tylko Wacek nic nie mówił, przyglądając się przybyłym, a potem — jakby do siebie — wyraził zdziwienie, że mogły się one jeszcze dotrzymać w naszych stronach.

— Wacek! — jak ci nie wstyd?... spytałam go znienacka.

— Co mi tam... odrzekł, tylko się dziwię, że nie wyłapali.

— Nie dziw się Wacku, bo sam nie wiesz jaka bieda stoi za tobą — dorzuciła matka.

Tak to jest, już się przyzwyczajono do tego, że Żydów wyłapywano jak przestępców. Poprosiłam mamę o kolację dla tych biednych istot, a następnie wzięłam maleństwo z rąk matki, by je nakarmić i umyć. Wzruszyła mnie ta drobna kruszynka. Głaskałam dziecko po rączkach i główce nie mogąc powstrzymać łez. Chłopczyk począł gruchać i śmiać się, aż wreszcie, zmęczony zasnął na moich kolanach. Starsza kobieta od swej współtowarzyszki, choć równie młoda, obserwowała mnie, a potem — widząc jak pieszczę to dziecko — szepnęła mi cicho:

— Pani, ja błagam panią, żeby wzięła go na zawsze... za własnego syna.

Spojrzałam na nią i uśmiechnęłam się, a potem, równie cicho odrzekłam:

— Biorąc go od pani, przejęłabym i prawa, cierpiąc te same prześladowania od żandarmerii. Rezultat by był taki, że obydwójce by nas w końcu zabito.

Żydówka patrzyła mi w oczy nie spuszczać ze mnie wzroku i niespodziewanie krzyknęła prawie pełnym bólu głosem:

— Ja wierzę, że Jezus może uratować mojego syna!...

Wszyscy zwrócili na nią oczy, a ona jakby nikogo nie dostrzegała, tylko zatopiona w swoim przekonaniu wołała dalej:

— Jezu dobry, uratuj mi syna!...

Swoje oczy utkwiała w moich żrenicach, jakby chciała w nich znaleźć punkt oparcia. Ręce wyciągnęła w stronę wiszącego na ścianie obrazu, przedstawiającego Jezusa w ogrodzie Getsemani. Były one wiotkie i białe, a palce ich zaciskały się kurczowo jak w żarliwej modlitwie. Potem ręce opadły na łono jak podcięte łodygi, jakby poprzedzając upadek całego ciała, które za chwilę półkłęszcząc leżało przed zgromadzonymi. Z zaciśniętych bólem ust wypłynął szloch... Kobieta leżąc półzgięta na podłodze i wyciągając powtórnie dłonie w kierunku świętego obrazu błagała:

— Weźcie to niewinne dziecko, wychowajcie go tak by kochało Boga, który je uratuje.

Obecni siedzieli wzruszeni, przestraszeni... Miałam wrażenie że to widmo niedoli a nie ludzka postać. A jednak był to człowiek żywy, człowiek — matka. A może jej dusza spostrzegła moje uczucie do jej dziecka? Może intuicyjnie wyczuła stan mojej duszy?... Nie wiem. Podeszłam do niej by pomóc jej się podnieść i uspokoić, ale nic nie mogłam wskórać. Wszystkie oczy były zwrócone na nią i twarze wyrażały litość.

Zapanowała cisza i nikt jej nie przerywał. Druga Żydówka siedziała nieruchomo, jakby z niczego nie zdając sobie sprawy.

Nie wiem, jak długo trwało to milczenie, ale pierwsza przerwała je moja mama mówiąc:

— Wstań kobieto, bo ci to nic nie pomoże... Wziąć twoje dziecko i za nie samemu umierać, to jak skórka za wyprawkę.

A Piotr, przegarniając palcami czuprynę dodał:

— I jak tu przeciw wiatrom dmuchać?... Wziąć chłopaka, a to przecież jeszcze głupie... i za małe dziecko kłaść samemu głowę?

Posypały się głosy ze wszech stron. Każdy powiedział swoje zdanie. Ja, pomogłam matce podnieść się i posadziłam ją na stolku przy kuchni. Oparła się o mur pieca plecami i zdawała się słuchać co mówią zebrani. Po chwili, jakby sama do siebie cicho zauważyła:

— Nikt by nie wiedział że to żydziak... Sąsiedzi by nie oskarżyli... Wieś małeńka... Bo dzieciak jest biały, ma niebieskie oczy, jasne włoski... Jakby był tej pani dzieckiem, nie moim...

— O, widzisz ją, jaka mądra — przerwała jej mama. Moja córka by za żydowskiego dzieciaka... Zdrową głowę w chore łóżko kładła... Taki czas przyszedł na was... Nie zmuszajcie, by ktoś inny za was umierał — dokończyła wychodząc za drzwi.

— I teraz, wieczorem, też ryzyko wpuszczać kogoś za drzwi, bo mogą żandarmi wpaść w każdej chwili — zauważył Wacek.

— A może... nie taki strach jak go malują — przerwał mu Piotr machając ręką, jakby chciał odpędzić stracha.

— W taką marną noc nie jeżdżą — dodał ktoś.

— Ale nie szkodziłoby wyrzucić na drogę — dorzucił inny. — Bo, gdyby tak najechali... O! by mieli ładny połów. Gospodarza z rodziną do obozu, was na śmierć (powiedział patrząc w stronę Żydówek i Rosjanina), a i z nami by się nie pieścili.

Wyszłam na podwórko, potem obeszłam całą wieś i wróciłam. Wiatr tylko huczał i psy ujadały. Było mi źle i coś w rodzaju lęku ogarniało moja duszę. Nie chcąc słuchać gadki sąsiadów weszłam do swojego pokoju. Wiało tu prawie takim samym

zimnem jak na dworze. Uklękałam przed obrazem Pana Jezusa z otwartym sercem. Zapanowała jakaś majestatyczna cisza w mojej duszy. Pomyślałam o idei Chrystusa. Jakże wydawała się wspaniała, jak pulsowała tętnem prawdy i mocy. Wyciągnęłam ręce do swego Boga i szeptałam:

— Panie, Ty za wszystkich na krzyżu umarłeś...

— Panie, ulituj się nad ludem Izraela...

Ogarnęła mnie mocna wiara, zalewając świetlistym blaskiem wszystko co mnie otaczało. Doznałam dziwnej wizji duchowej, jakby telepatycznie przeżywałam istnienie czasu ziemskiego. Zdawało mi się, że oczyma swej duszy widzę obraz i żywe w nim Serce Boże, z którego miarowo, jak sekundy w zegarze spływają krople krwi. Oczy mojego Pana patrzą na mnie i widzę — czytam w ich głębi wyrażoną miłość... Potem oczy te są jakby łzawe, bo za obelgi świata płacą przebaczeniem. I znowu w swej rozmodlonej duszy słyszę szept, jakby echo słów ewangelicznych: Kto mnie kocha niech weźmie krzyż swój i idzie za mną...

— Jezu! Ja Cię kocham — wyrывa mi się na głos to wyznanie — i wezmę swój krzyż, choćbym miała skonać jak Ty.

Pocieram ręką rozpalone czoło i patrzę już przytomnie, jakbym się przed chwilą przebudziła... Myśli logicznie układają się w głowie. Ach! Z moją bujną wyobraźnią dokąd one cię — biedny rozsądku — zaprowadzą, stwierdzam z uśmiechem, ale czuję się już odrodzona duchowo. Po prostu, jak po wygranej walce. Zapadło już w duszy mej postanowienie. Zwycięzę, nie dam się, będę walczyć. Mam szansę, bo ze mną jest Prawda, a Prawdą jest Bóg. Nie boję się hitlerowców, tej ludzkiej kreatury. Przeszumi, przeminie jak samsun pustynny ta „szlachetna rasa”, a historia po wsze czasy swojego istnienia mówić będzie słowami niewinnej krwi ludzkości. Wezmę go... dla Ciebie dobry Jezu go wychowam... dla swojego małego krzyża przeznaczenia. Choćby tylko dla samej harmonii piękna trzeba trwać przy Tobie, Jezu, bo wtedy nawet śmierć jest piękna.

Z tymi myślami wychodzę z ciemnego pokoju. Z mieszkania już ubyłó kilka osób, a pozostali gawędzili między sobą Wacek siedział blisko Żydówek i coś opowiadał swoim przemądrzałym stylem. Bałam się, że on może zrobić z tego użytek, więc podeszłam do niego i poważnie spytałam:

— A może ty, zapomnisz się i doniesiesz sołtysowi, że przyjaźnie odnieśliśmy się do tych kobiet? Bo ja ci coś nie wierzę, draniu.

A mówiłam to pół żartem pół serio, patrząc mu w oczy. Zachnął się początkowo, jakby miał zamiar się obrazić, ale widząc że się uśmiecham, zmitygował się i odrzekł:

— Czemu to ja mam mówić? Przecież tyle osób je widziało...

— To nic, odrzekłam, ale wiem, że ty nie lubisz Żydów.

Wacek miał bladą twarz. Po krótkim milczeniu wyszeptał:

— Nie zdradzę, przysięgam ci, bądź spokojna.

Dziecko spało, a matka siedziała jak kamienny posąg, bez ruchu. Schyliłam się nad nią i dotykając jej ramienia szepnęłam:

— Chcę z panią pomówić. Wyjdzie pani za chwilę.

Spojrzała na mnie, jakby nie rozumiała treści słów, a ja wyszłam na podwórko. Psy wyły i ujały na przemian. Za chwilę usłyszałam skrzypnięcie drzwi i niepewne kroki. Zbliżyłam się w tę stronę i spotkałam matkę dziecka.

— To ja jestem — powiedziałam ciepłym głosem biorąc ją za ramię. — Wezmę pani dziecko. Przemyślałam już i postanowiłam. Będę dla niego najlepszą z matek, możesz być o to spokojna.

Kobieta zadrżała w moim objęciu i pytała, czy to prawda. Wzięłam jej rozpaloną dłoń w swe ręce i szepnęłam:

— Jesteś mi siostrą, bo kocham Was wszystkich, którzy cierpicie prześladowania. Kochać będę i Twoje dziecko, a jeśli przyjdzie potrzeba, mogę umrzeć w imię swych przekonań i uczuć.

Dziś, jak przez sen przypominam sobie jej szloch, jej słowa, że jutro spokojnie może pójść nawet na rozstrzał i... rozstałyśmy się.

Nazajutrz nie było już ich, tylko dziecko kwiliło. Dopiero w dzień zauważyłam całe ruchome warstwy wszów na dziecku.

Plecki, rączki, brzuszek i nawet główka pełne były pasożytów. Do tego chłopczyk tęsknił i krzyczał piskliwie „mamy”. Umiał jeszcze ze trzy słowa żydowskie, ale po dziecięcemu przekręcone. Miał silną gorączkę i leżał rozpalony. Do tego, miał rozwolnienie i wilczy apetyt, a co zjadł, prawie nic nie trawił. Męczyłam się z nim, bo i zima była mroźna, a i lekarstw nie było. Całymi nocami spałam jak ptak na gałęzi ze swym maleńkim Stasiem, bo takie dostał imię. Mama się denerwowała, Piotr ostrzegał, a ja... nie wiem skąd mi się brały siły i chęci do ciągłego przewijania dziecka w mroźne noce, po omacku, bez światła. Myłam się w zimnej wodzie, by nie czuć było zapachu pieluszek, ale jego myłam rzadko, bojąc się zaziębić.

Dziecina już po krótkim czasie zmieniła się bardzo. Przede wszystkim zaczęło powracać do zdrowia. Kryłam je przed ludźmi w nadziei, że po wyzdrowieniu pójdę z nim do Jadzi, do Czartorii. Zatarłby się ślad, a potem?... Mogłabym powiedzieć, że to dziecko krewnych. Takie przynajmniej były moje plany. Ale przysłowie mówi — „Kto co w głowie uradzi do skutku nie doprowadzi”. I może jest w tym duża doza prawdy.

Pewnego razu wzięłam Stasia do kuchni, bo był już prawie zdrowy i przymierzałam mu nowe ubranko zrobione na drutach. Wyglądał ślicznie. Znudziła mnie już ciągła ucieczka przed ludźmi i postanowiłam więcej go nie ukrywać. Mama przewyciężyła już dawny odruch niechęci z chwilą ochrzczenia go z wody i zaczęła lubić. Na pytanie sąsiadów, od tej chwili odpowiadałam, że jedna znajoma zostawiła mi dziecko na jakiś czas. Początkowo wierzono i nie wierzono, ale potem sztydło z worka wyszło. Po prostu, niektórzy ze świadków owego wieczoru poznali chłopca. Wreszcie, chłopczyk był obrzezany, a to się ukryć nie dało, bo nie nosił jeszcze majteczek, bo był za mały. Ale co było robić? Zdałam się na dobry los opatrności, ufna w pomyślny bieg wydarzeń.

Właśnie szyłam dziecku jakąś część odzieży. Mama krzątała się jak zwykle koło gospodarstwa. W tej właśnie chwili wszedł

jeden z „przemytników”. Przychodził tu dość często w gronie innych do Wierzbowa, wszak mieli tu jak gdyby swoją stację. Dom nasz i Jemielitych stał dla nich otworem. Kto chciał, to się zatrzymywał i nikt głodny nie odszedł. Obecnie, jak już miałam dziecko, to — albo mama załatwiała ich krótko, albo od razu odchodzili dalej. Tym razem kilku z nich, a w ich liczbie i wyżej wspomniany, niejaki Antoniewicz, warszawiak, złożył nam wizytę, bo czuł sympatię do mamy ze względu na jej poczęstunki. Byłam sama z dzieckiem. Ono bawiło się w kąciку, obłożone zabawkami, a ja szylam. Zaczął ze mną rozmowę na temat dziecka. Nie przerywałam mu, chcąc by się wygadał do końca. Ostatecznie lubiłam go i nawet ceniłam za odwagę. W końcu jednak oburzyło mnie to jego zachowanie i spytałam go, dlaczego jest taki głośny jak dzwon i podniecony jak naiwna baba.

— Bo cię ceniłem — odpowiada. — Jak wzięłaś to dziecko, zachwycałem się twym sercem... ale żał mi ciebie, żebyś ginęła za żydowskiego obrzynka. Mówiono mi, że to sierota po biednej, polskiej matce, a teraz mówią już wszyscy we wsi że to jest Żyd.

— Więc co z tego straciłeś? Czy ci przykro, że dla wszystkich mam jednakie serce?

— Na złe ci to Janeczka wyjdzie, zobaczysz, zakończył spokojnym już głosem.

Potem zaczął śpiewać. Głos miał przepiękny i wiedział, że tym głosem rozbroi mnie zupełnie. Tym jednak razem nie poskutkowało. Łzy cisnęły się do oczu bo złękłam się o dziecko. Pomyślałam, że jeśli on, partyzant AK to mówi, to coś dopiero inni?

*

Cisza... niczym nie zmacona, jakby czał się w niej bezszeltnie anioł śmierci okryty białym całunem. Noc grudniowa tak samo biała jak woal anioła. Wieś drzemie w tej śnieżnej bieli zasp.

W atmosferze rozlewa się senność i tajemniczość. Firmament niebios usiały miriady gwiazd, między którymi umieścił się błady sierp księżyca. Wielka cisza panuje na niebie i ziemi, przerywana czasem tylko ujadaniem psa. W takiej chwili budzi mnie pianie koguta. Dwunasta — myślę, godzina duchów nieczystych. Leżę koło okna na łóżku i pomimo, że jest pełnia nocy, w mieszkaniu jest ledwie szaro. Odróżniam doskonale każdy przedmiot, logicznie zdaję sobie sprawę ze wszystkiego, ale nie mogę sobie przypomnieć, co przedtem się ze mną działo. Dlaczego mi tak gorąco? W głowie czuję zamęt, jakąś lukę... szum wokół mnie narasta za każdym poruszeniem ciała. Pocieram czoło, chcąc sobie przypomnieć i w głowie czuję straszny ból... Po nim świta jakiś błysk myśli i majaczy mi figurka małego Stasia. Za jakiś czas znowu widzę dziecko, przytulam je do piersi, a on uśmiecha się i sepleni — ma... ma... ma... I znowu lecę w jakiś straszny dół, zapadam się i nic już nie czuję. A potem znowu odczuwam że istnieję i... widzę Staszka. Śmieje się na głos z radości, że go poznałam. Nie dziwię się więc że siada przy mnie i patrzy w moją twarz z wielką miłością. Pytam go gdzie był, ale mi nie odpowiada. Wkoło mnie roztacza się bezkresne pobojuwisko... wszędzie leżą trupy. W tej chwili zdaje mi się, że znowu nie jestem sama. Oglądam się i rzeczywiście, dostrzegam Jego postać. I tym razem uparcie milczy. Patrzy na mnie i rozplywa się powtórnie. Ogarnia mnie żal, chcę by wrócił i wołam go — Stasio!... Stasio!... a gdy go nigdzie nie widzę, wołam mamy, by mi go pomogła szukać. Robi mi się gorąco i czuję ból głowy, a potem słyszę szmer, szurgot jakiś. Poznając ten trzask, wiem, że to zapalką się w ten sposób pociera o siarkę. Istotnie, po chwili w mieszkaniu robi się jasno. Widzę swoją mamę w lekkim, nocnym okryciu, stawiającą lampę na stole. Podchodzi do mojego łóżka i czuję jej ciężką dłoń na rozpalonym czole.

— Dlaczego dziecko tak krzyczałaś?...

— Co ci się śniło? — pyta ciepłym głosem.

Nie mam sił jej odpowiadać, tylko patrzę na jej czerwoną twarz i myślę, że tacy ludzie są dobrzy. Mama daje do picia różowy płyn lipowego kwiatu, potem ociera moje czoło i z płaczem zawodzi:

— Dziecko ty moje kochane, czemu ty mi tak chorujesz?...

— Mamo, nie będziesz nas przeklinać, bo ja naprawdę szczerze Stacha kochałam i pewnie umrę, bo i on już umarł...

— On nie umarł, on żyje i wróci do ciebie — odpowiada mama, tylko ty żyj.

Po matczynej twarzy spływają łzy. Są tak grube, że za chwilę tworzą się z nich strużki. Słyszę kwilenie Stasia, ale nie mogę unieść nawet w górę rąk, jakbym była przybita do łóża. Stasio przytula się do babci i posłusznie, na jej prośbę zasypia. Chyba straciłam przytomność.

Kiedy otworzyłam oczy był dzień. Mieszkanie było odświętnie przybrane i jakby uroczyste. Promienie przedzierające się przez szyby okien pełzały po podłodze, białej pościeli, po rękach moich. Stół był nakryty białą serwetą i stał na nim talerz z wodą, leżało kropidło, a między świecami stał krucyfiks. Przy moim łóżku, na małym stołeczku, paliła się w lichtarzu gromnica. W mieszkaniu jest dużo osób. Patrzę na ich twarze i nie mam pojęcia jak się nazywają, przypominam sobie jedynie, że gdzieś tych ludzi już widziałam. W drugim końcu mojego łóżka siedzi duży kot, przebiera łapkami i mruczy swój pacierz. Poznałam go, to mój tygrys, którego wykarmiłam od małego kociaczka. Dalej widzę płaczącą matkę i na jej ręką maleńkie dziecko.

Dziecko?... Czyje ono jest?...

Potem widzę oglądających się trwożnie ludzi i... naraz wszyscy klękają przed kimś... Robi mi się słabo i tylko jak przez mgłę widzę twarz kapłana. Gdy oprzytomniałam powtórnie byłam już w innym mieszkaniu. Usłyszałam tylko rozmowę mamy z kimś, ale mnie to nie obchodziło, bo głowa tak strasznie bolała, że wszystko inne było niczym. Prócz bólu głowy

dokuczało mi jeszcze powietrze. Było jakieś duszne, cuchnące czymś obrzydliwym, że zupełnie nie mogłam nim oddychać. Jak w śnie pamiętam jeszcze młodego człowieka, którego nazywano doktorem, a który bodaj mówił, że mam wysokie stadium duru brzuszego. Wtedy płakałam i było mi przykro że umrę. Mama mi mówiła że jest już dziesiąty dzień choroby i teraz już samo mi przejdzie. Ale doktor, mimo sprzeciwu mamy skierował mnie do szpitala. Pamiętam rzewnie płaczącą mamę, że za szpital trzeba będzie słono płacić. A tyle dni ze mną się męczyła...

Tymczasem w szpitalu dola moja była jednaką. Składały się na nią te same napoje: woda, woda i jeszcze raz woda. Na zmianę dawano mi kwiat lipowy bez cukru. Głód dokuczał mi niemiłosiernie i powracające majaki. Kiedy spadła gorączka karmiono mnie już kleikami bez soli, a potem — jarzynowymi zupkami. Powoli zaczęłam nabierać sił. Wreszcie przyjechała mama z Piotrem i wypisali mnie ze szpitala, choć lekarz jeszcze nie pozwalał. Kilkanaście kilometrów z Łomży do domu w siarczysty mróz, w wygłodzone niemal jak ja gniadosze, ciągnęły się jak wieczność. Wreszcie Piotr zdjął mnie z furmanki i zaniósł do mieszkania.

Tej zimy mieszkała z nami stryjeczna siostra Stasia i jej brat Czesio, bo spalił się ich dom. Dzięki temu, po naszym przyjeździe, paliło się przynajmniej w kuchni i mały Stasio miał opiekę. A drzewa na opał nie było, bo w pobliżu brak lasów, tylko łąki torfowe, więc trzeba było oszczędzać na opale.

Dusiłam się w tym powietrzu. Wymioty i krew z nosa wtórowały straszemu bólowi głowy. Żołądek nie przyjmował już nawet kwiatu lipowego, tylko wodę. Piotr czuwał nade mną, postawił obok łóżka krzesło i szył uprzęż dla konia do późnej nocy. Ścięto mi włosy, a i tak wyglądałam jak szkielet, że mały Stasio bał się mnie.

Pewnego dnia przyjechała Jadzia. Przywiozła mi domowych, lekarskich środków i dobre słowo. Nazajutrz Jadzia odjechała

z płaczem do domu, a mama poszła do Łomży, do doktora. Żal mi było matki, bo straszna zadymka była na dworze. Wróciła wieczorem z lekami, które jednak nic mi nie pomogły. Leżałam już w agonii kiedy zjawiła się Różia. Przedarła się, mimo wrodzonej tchórzliwości przez granicę guberni, zostawiając Krysię i Fredzia pod opieką sąsiadów. O mojej chorobie skądś się dowiedziała, bo przecież trwała ona już czwarty miesiąc. Ucieszyłam się bardzo na jej widok. Przywiozła ze sobą jakieś lekarstwa i zaczęła mnie leczyć. Tego wieczora pękł mi wrzód w gardle i mogłam już pić herbatę. Zaczął wracać apetyt, ustąpiły mdłości. Różia odeszła do domu zadowolona.

Byłam uratowana.

*

Było to kilka dni po świętach Wielkiej Nocy (1942 r.). Mieszkanie jeszcze było przybrane odświętnie i umajone zielenią. Stasio bawił się z tygrysiem przy kuchni, podstawiając mu pod nos kłos na długiej słonce, a ten wymachiwał zabawnie łapkami. Ja siedziałam już na łóżku ubrana do połowy. Mama gotowała i gawędziła ze mną. W tej chwili drzwi się otworzyły i do mieszkania wszedł sołtys. Był to cioteczny brat mojej matki, ale pomimo pokrewieństwa odczuwali do siebie wzajemną antypatię. Ja również go nie lubiłam, bo był drwiący, chytry i przewrotny. Szedł tam, gdzie było mu wygodniej, ale mścił się na tym, kto mu w oczy mówił prawdę. Mnie nie lubił i dlatego, że jako sołtysa i krewnego nigdy o nic go nie prosiłam, a w dodatku nie zwracałam się do niego „wuju” tylko „proszę pana”, jakbym nie chciała go znać. Teraz, kiedy wszedł, złąkłam się przeczuwając, że jest zwiastunem złego. Na wystawione przez mamę krzesło nie chciał usiąść. Chcąc widocznie nabrać animuszu zagryzał wąsy i po chwili, tonem urzędowym oświadczył:

— Ja w sprawie tego chłopaka...

— Jakiego chłopaka? — spytała mama.

— A no... tego żydziaka. Dowiedziałem się że to jest Żyd, a ja nie będę za was brał odpowiedzialności... I natychmiast proszę odwieźć go do żandarmerii. Za czyje głupoty ja nie myślę odpowiadać. Tak...trzeba dostarczyć go już dziś na wieczór. Żeby mnie to było załatwione! — kończył z przyciskiem, jakby chciał sobie dodać odrobinę dostojeństwa.

Słuchałam tych słów z dreszczem strachu, bo gdybym mogła się ruszać to bym uciekła z dzieckiem, ale ledwie trzymałam się na nogach i nie byłam zdolna przejść nawet przez mieszkanie. Powoli odzyskałam jednak panowanie nad sobą i spytałam, kto mu powiedział, że dziecko jest żydowskie. Nie dał mi odpowiedzi, tylko zaklął ordynarnie, a potem zaczął się drzeć, że za takie występki mogą wysiedlić całą rodzinę i... Bóg wie co jeszcze.

Przerwałam mu oświadczając, że jeśli jest tu czyjaś wina to tylko moja, bo jestem pełnoletnia i w dodatku zamężna, więc za swoje czyny sama odpowiadam.

A zapomina pan, że jesteśmy Polakami i katolikami i powinniśmy żyć według przykazań i honoru. Proszę zostawić mnie i moje dziecko w spokoju, bo Bóg jest wszechmocny, a szczęście ludzkie zmienne. Jest pan sołtysem i już powinność swoją spełnił — dodałam, a resztę proszę zostawić nam. Jeśli nie wykonamy rozkazu, przyjdzie pan w innej skórce, ale obecnie misja pana skończona.

Mama wyszła za wychodzącym sołtysem i coś tam jeszcze tłumaczyła. Wróciła za chwilę rzewnie płacząc, bo żal jej było oddawać dziecka, a w dodatku, samej je odwozić.

— Po co ty je brałaś? — mówiła lejąc rzewne łzy. Narobiłaś tylko sobie i nam biedy... Co ja nieszczęśliwa pocznę... Jak ja mogę dziecko na śmierć zaprowadzić? — biadała matczysko.

Ale i tak szczęście, że przynajmniej po mojej chorobie przyszło to nieszczęście, że nie zważyło się wszystko naraz. Patrząc na smutek mamy i nie wiem co począć.

Boże mój! Przyjdź mi z pomocą... Zamknęłam oczy i myślałam jak zaradzić złu. Co chwila ocieram pot z czoła i łzy, a myśli powracają. Wreszcie zrozumiałam, że Stasia trzeba koniecznie odwieźć na posterunek żandarmerii, bo ociąganie nic nie pomoże i wcześniej czy później to nastąpić musi. Ale... jak go uratować od śmierci? Głowiłam się, lecz nic mądrego do głowy nie przyszło.

Za jakiś czas przyszedł do mieszkania Piotr, na obiad. Był zły, zdenerwowany.

— Zachciało ci się brać cudze dzieci, a teraz my za ciebie musimy się męczyć! — wymawiał mi.

— A co tobie pomoże jak będziesz mi dokuczał?...

— Nie wiedziałam, że choroba mnie złoży — z pokorą usprawiedliwiałam się jemu.

Jak się okazało, to sołtys wychodząc z domu poszedł jeszcze do Piotra, do stodoły i przykazał mu, by dzisiejszego dnia „żydziak” był dostarczony do żandarmerii. Piotr kręcił się po izbie blady i głaskał Stasia po główce, a potem westchnął i poszedł szykować furmankę. Mama lamentując ubrała Stasia i wysłała wóz swoją pierzyną, żeby dziecko w nocy nie zmarzło. Gdy już zamierzano wsiadać, naraz przyszła mi zbawienna myśl do głowy. Dziś wierzę, że to Bóg w ostatniej chwili przyszedł mi z pomocą. Przypomniał mi się pan Czajkowski i naprędce napisałam list do niego. Był on nauczycielem szkoły podstawowej w Czartorii. Poznałam go przed trzydziestym dziewiątym rokiem. Był to człowiek w całym tego słowa znaczeniu. Syn jego — Witek, smalił do mnie cholewki, ale ja wołałam towarzystwo ojca, bo przynajmniej mogłam z nim poważnie pomówić. Chodząc wtedy do Jadzi miałam okazję często z nimi obcować i zaprzyjaźniliśmy się. W tej właśnie chwili przypominałam sobie, że ów nauczyciel jest na stanowisku tłumacza w Miastkowie, gdzie mieścił się posterunek żandarmerii i główny komisarz. Byłam pewna, że jest tam umieszczony przez partyzantkę. W liście błagałam

go na wszystkie świętości by ratował sytuację. Wytłumaczyłam jednocześnie Piotrowi, że nie wolno mu zawieźć dziecka na posterunek, ale najpierw ma jechać do Jadzi i z nią udać się do Czajkowskich. Wierzyłam, że on poradzi co mają robić dalej. Z listem i dzieckiem zawiniętym w pierzynę potoczył się wóz po bruku, który się ciągnął przez wieś. Patrzyłam za nimi, dopóki nie znikli mi z oczu.

Przeżyłam straszną noc, ale rano usłyszeliśmy ze Stasią turkot wozu. Wrócili. Serce biło jak młotem i przycichło dopiero, gdy Stasia powiedziała, że mama wywija z pierzyny Stasia.

— Stasio... Mateczko kochana... Przywiozłaś mi go żywego!...

— A no... moja droga... ten twój list pomógł.

Pytaniom nie było końca. Mama — śmiejąc się — opowiedziała całą historię:

— Gdy jechaliśmy przez bór zwany Miastkowiną, była ciemna noc że oko wykol. Tam, w samym środku gościńca, natknęliśmy się na żandarmów. Strachu było nie mało, ale powiedziałam im, że jedziemy do chorej córki, a w pierzynie wieziemy wnuczka. Żandarmi tylko przeszukali furmankę nie zaglądając do dziecka i puścili nas wolno. A na miejscu, Czajkowski tak pokierował sprawą, że sam komisarz potwierdził, iż w rękach dobrych ludzi dziecko może być wychowywane.

Zaznaczył tylko, że oświadczenia nie może dać na piśmie, bo sprzeciwia się prawu, ale żandarmeria z jego posterunku nie dokona rozstrzału. A przecież nasza wieś wchodziła w skład zarządu miastkowskiego. Został więc groźny tylko posterunek w Śniadowie, ale oni mogli mniej się interesować, bo nie podlegaliśmy ich władzy. Sprawa została jakby w zawieszeniu.

Cieszyłam się Stasiem i dziękowałam mamie i Piotrowi. Mama okazywała mi teraz niezmierną miłość, a Stasia kochała po prostu. Sołtys nigdy już o nim nie wspominał choć przychodził, bo wieść rozniosła się po całej wsi lotem błyskawicy.

A niedaleko, pod laskiem, pewna kobieta (po uwięzieniu przez Niemców jej męża komunisty), wzięła również dwoje żydowskich dzieci. Miały one już po kilka lat. Je również — jak Stasia — komisarz pozwolił wychowywać. Przydzielono jej nawet kartki na żywność. I to ją chyba zdradziło. Dowiedzieli się o tym żandarmi z posterunku śniadowskiego i kazali jej wyprowadzić dzieci na polankę, a jeden z żandarmów, słynny z okrucieństwa, niejaki Julek, zastrzelił je. Gdy dowiedzieliśmy się o tym znowu nie mieliśmy spokoju. Na szczęście, szybko wracałam do zdrowia i z nadejściem lata nie było już śladu po chorobie.

Sypiałam ze Stasiem gdzie się dało, ale on — mimo to — babcię lepiej lubił. Baci... Baci... baci... wołał bez przerwy. Babcia zaklinała się, że żadnego wnuczka tak gorąco nie kochała jak Stasia. Gdy tylko nauczył się wymawiać słowa, mama nauczyła go żegnać się i wymawiać słowa modlitwy. Było nam wszystkim przyjemnie z tym dzieciątkiem, a każdy od siebie jeszcze go podkarmił. Chłopczyk był zdrowy, nigdy nie zakatarzył się nawet, choć nie zawsze było mu ciepło. A przecież często bywały chwile, że trzeba było uciekać z nim w pola, bez względu na pogodę dnia czy nocy. Ale on nic nie odczuwał. Rósł, dobrze wyglądał i rozwijał się doskonale.

Wreszcie wyszło szydło z worka. Dowiedziałyśmy się z mamą, że Piotr przez całą zimę ukrywał (nawet przed nami), w zapełnionym zbożem sásieku matkę z trojgiem dzieci. Była to córka Żyda — młynarza, naszego sąsiada. Pomimo, że już dawno nie było tu jej rodziny, ale była jeszcze jej ziemia po ojcu, którą obsiewali sąsiedzi bezpłatnie. Przybyła wierząc, że ją przyjmą po ludzku. Lecz... nie tylko że jej nie przyjęto, ale i przepędzono.

Zdarzyło się, że byłam przypadkowym świadkiem pewnej sceny. Będąc na polu zobaczyłam na ugorze troje ludzi. Zdziwiło mnie, że pędzą biegiem. Rozpoznałam wiejskiego chuligana, który pędził przed sobą dwoje dzieci. Była to może szesnasto-

letnia panienka i czternastoletni chłopiec. Łobuz bił dzieci kijem i wyrażał się plugawie:

— Wy wstrętne żydowskie mordy, będziecie się tu włóczyć!?

Bez namysłu wpadłam w tę trójkę i złapałam szubrawca za ramiona. Był zaskoczony.

— Czego pani chce!?! — spytał wściekle.

— Co panu te dzieci zrobiły?!- spytałam, patrząc jemu w oczy.

— Do żandarmów ich chciałem... by mi za ich skóry zapłacili...

— Zły zawód pan obrał — odrzekłam...

— Uciekajcie do wsi! — krzyknęłam za odchodzącymi dziećmi w stronę gościńca, po którym jechały dwie furmanki.

Dobiegłam do jednej i wskoczyłam na nią, bo bałam się niedorostka, a ten klnąc odszedł w przeciwnym kierunku. To właśnie Piotr dał im schronienie. Wiosną, ze względu na pustki w stodole i innych gumnach, mama zauważyła ich i zrobiła Piotrowi awanturę. Bała się, że zanadto jesteśmy odważni. Nocowali więc w niedalekim lasku, w dole po kartoflach. Jednak, po pewnym czasie wykryto ich tam i oskarżono sołtysowi. Mogli co prawda jeszcze uciekać, ale troje dzieci było chorych na tyfus. Ostatecznie, gdzie ci biedacy mogli ruszyć się w dzień? Piotr też się bał wziąć ich na ludzkich oczach, bo i długo by im nie pomógł, najwyżej sam by się naraził.

„Sołtyska ekscelencja” zjawiał się w towarzystwie uzbrojonych w kije podrostków, z jego dwudziestoletnim synem na czele. Granda ta bezlitośnie wyciągnęła z dołu wygłodniałą matkę z trojgiem dzieci i bijąc upadających, bezsilnych nieszczęśliwców, pogoniła przed sobą. Pochód ten był straszny. Sołtys nakazał furmankę i dwóch gospodarzy odwiozło ich w ręce niemieckich oprawców. Rozstrzelano ich na kirkucie tego samego dnia. Pamiętam, tego dnia Piotr chodził bardzo smutny. Po tym krwawym wypadku zaufanie do sołtysa spadło u mnie

do zera. Byłam pewna, że nie oszczędzi i Stasia, toteż zdwoiłam czujność nad dzieckiem.

„Sołtyśka dostojność” (bo tak go przezywałam) był coraz więcej rozpanoszony w swym urzędowaniu. Często gościł żandarmów i nierzadko sam bywał pijany, sortując ludzi po swojej myśli. Młodych wysyłał do Niemiec na roboty, starszych — do darcia piór do łomżyńskich koszar. Cóż tam drzeć pióra? — ktoś by powiedział. Ale koszary nie były opalone mimo strasznego mrozu, a ludzie byli wygłodzeni i nie mieli ciepłych ubrań, a karmiono raz dziennie jakąś cienką zupką.

A sołtyś szalał dalej. Pomimo, że miał w domu swoich pięć córek, to z innych, biedniejszych, choć ostatnią chciał wydać wrogowi. Prócz jego rodziny było jeszcze kilka innych, które — jak to się mówi — z furą siana trzeba było omijać. Wystarczy, że w porządnym rodzinach trafił się jeden wyrodek, taki podrostek, wtórujący sołtyśowi, a ich ofiarami stawiali się biedni tułacz.

Zdarzyło się, że dwie Żydówki przyszły do wsi, by znaleźć schronienie. Dość długo ktoś je ukrywał, bo nie były wynędzniałe. Może szły w jakimś wyznaczonym kierunku — nie wiadomo, dosyć, że zaszły odpocząć i ogrzać się do biednej chaty przy końcu wsi. Sądziły widocznie, że ludzie niezamożni mają lepsze serca. Pomyliły się. Tym razem było przeciwnie. Gospodarz, pomimo że sam był stary, nie miał litości, a poniesiony nienawiścią do tej rasy powiadomił sołtyśa. Kobiety były w potrzasku, wszak nie wypuszczono już ich z chałupy. Ogrzały się biedne, było im aż za gorąco, bo tego samego wieczoru znalazły się już w obliczu śmierci. Granda waliła je batami, kijami i półzywe ze strachu i bólu odwieziono do śniadowskiej żandarmerii. Prawdopodobnie zaklinały się że są dobrymi Polkami, a gdy to nie pomogło, wołały Jezusa i Maryję na ratunek. Ludzie byli bez serca, a Bóg ma inne tory swych przeznaczeń. Hołota uczyniła zadość swej swawoli.

Męczyło mnie to okropnie, nie mogłam zrozumieć i pogodzić się z tym, że ci sami ludzie mianują się katolikami... Cho-

dzą do kościoła, do spowiedzi, mówią pacierz, chcą od innych współczucia, myślą o śmierci, uchodzą za przyzwoitych... Buntowałam się i cierpiałam, że to właśnie są Polacy. Tłumaczyłam sobie jedynie tym, że skoro Niemcy doszli do barbarzyństwa, Polacy mogą choć w części ich naśladować. Zaraza pada i na zdrowe życie, że i lekarze załamują ręce. Trudno było zaradzić, żeby duch demoralizacji nie skosił po części i polskiego narodu.

Ale tłumaczyć sobie, przebaczyć, zrozumieć — jest łatwiej aniżeli żyć, patrzeć, przeżywać.

Tak było i ze mną. Każdy nowy wypadek poważnie odbijał się na moim zdrowiu. Wstydziłam się za wszystkich i cierpiałam wspólnie z innymi. Tylko nie mogłam cieszyć się i śmiać jak inni z tego, co uważałam za brudne i podłe. Toteż walczyłam ze złem jak umiałam i zawsze przeciwstawiałam się jednostkom, które według mnie nie były godne miana człowieka.

Pewnego razu Czesio (mój stryjeczny brat) urządził tak zwaną „tłukę” na orkę. Zaprosił sąsiadów do wspólnej orki na swoim gruncie (to było w zwyczaju). Który z sąsiadów mógł czy chciał przyjść mu z pomocą — bo ten nie miał własnego konia — to szedł na jego pole i orał. Wieczorem więc zebrali się wszyscy pracownicy u nas, w dużym pokoju, ponieważ Czesio ze Stasią po spaleniu ich zabudowań mieszkali z nami. Było kilkunastu gospodarzy, no i oczywiście znalazł się sołtys. Nie ważne że nie pomagał, ale musiało się wziąć pod uwagę że był sołtysem. Tak to się we wsi utarło. Było wesoło, bo samogonka już szumiała trochę w czubach. Wśród nich była mama i Stasia. Po jakimś czasie sołtys zwrócił uwagę na moją nieobecność i prosił mamę, żeby mnie zawołała. Zjawiłam się więc nie mogąc odmówić. Sołtys śmiał się, miał wesołą, naturalną twarz i wcale nie wyglądał odrażająco.

— Janka — rzekł żartobliwie — powiedz, dlaczego zwracasz się do mnie „panie”, kiedy ja twój wuj jestem?

Ja również się roześmiałam mówiąc, że nie mogę cisnąć się do osób, które mnie lekceważą. No i „wuj” rozgadał się na

całego wygarniając wszystkie urazy, które z mojego powodu leżały mu na sercu. Ja również milutko z nim gawędziłam, żeby go sobie nie zrazić, to będę spokojniejsza ze Stasiem. „Sołtyska dostojność” w porywie uniesienia wziął mnie nawet na kolana i posadził jak córkę.

— No, pocałujmy się — Janka i bądźmy przyjaciółmi... dobra? Będiesz mi mówić wuju i na zgodę napijesz się ze mną...

Nalano nam po pół szklanki samogonki, które mimo sprzeciwu musiałam wypić, a potem ekscelencja cmokał mnie, co jak na wuja było trochę za wiele. Z kolan też nie chciał mnie puścić. Wszyscy śmieli się do rozpuku, a mama aż poczerwieniała do końca swych maleńkich uszu. Mówiono o tym i owym, wreszcie panowie zeszli na ulubiony temat swojego szlacheckiego pochodzenia. Każdy po swojemu się rozwodził, bo była to sama szlachta. Samogonka zaszumiała mi w głowie i może dlatego trudno mi było powstrzymać gniew. Ale... milczałam, bo coś mi tam było do tego. Zresztą, byli moim gniazdem, środowiskiem. Na szczęście, jakoś wydarłam się z nieprzyjemnych kolan i usiadłam na krześle. Pan sołtys jednak uparł się i chciał gawędzić jedynie ze mną. Mówił wszystko, przecież uważał, że i tak to wielka łaska na mnie spadła. Nie chcąc mącić dobrego nastroju zgadzałam się na wszystko, ale w końcu zaczął beczceremonialnie godzić w moje święte uczucia. O, tego było za wiele. Na to nie mogłam już sobie pozwolić, nawet za cenę korzystnej dla mnie przyjaźni. I tym razem serce wzięło nad rozsądkiem górę. Bo kiedy powiedział, że jeszcze by mi darował to, że jestem pyszna i harda, ale nie może pojąć, że ja oddzielam się od nich, że wyszłam za mąż za „łatka”, czyli za psa, bo tak to słowo znaczyło w jego języku.

Zapieкло mnie to niemiłosiernie. Przecież kochałam, ceniłam i błagałam Boga o powrót swojego męża, a taki drań mu ubliża... Czemu?

— Co to ma znaczyć? — spytałam jeszcze z uśmiechem.

— Co?... A no... łatek. Kurp. Dziad ten twój chłop. Żeby szlachcianka i taka mądra jak ty dziewczyna tak zapaskudziła rodzinę? — mówił, pocierając palcami żółte, długie wąsy, dla dodania sobie animuszu.

Niemal wszyscy zgromadzeni wybuchli śmiechem, ale ja w tej chwili stanęłam. Zdawało mi się że urosłam, że zgniotę tę cizmę baranów swoimi słowami za krzywdę kochanego męża.

— Szlachta... — powiedziałam spokojnie i głęboko.

— Szlachta?... — Czy macie pojęcie co znaczy to słowo?

Zapanowała cisza. Wszystkie oczy zwróciły się w moją stronę. Mówiłam spokojnie i chyba dość długo malując im prawdę o szlacheństwie. Nikt mi nie przerwał. A potem spytałam:

— Kto zarzuci mojemu mężowi podłe czyny? Kto?... Chłopiec ów, już jako jedenastoletnia sierota po zmarłej matce poszedł szukać chleba. Mimo ciężkich warunków nie zdeprawował się. Pomagał ojcu, kupił harmonię i nauczył się grać, był skromny, bo zamiast do dziewcząt chodził do kościoła... modlił się na różańcu i solidnie żył. Gdy go poznałam, pokochałam całym młodym sercem, bo uważałam, że znalazłam szlachetnego człowieka. Szlachetność błyszczała w czynach, nie w nazwisku... Spójrzcie na siebie... Szlachta!?... A są tacy, których katolickie wyznanie zboczyła krew niewinnych istot. Sądźcie, że rozgrzyszy się sami, po swojemu? Ale zapominacie, że kiedyś będzie was sądził Bóg, a Ojczyzny dobre dzieci będą się was wstydzić. Nie mówię do wszystkich, którzy tu jesteście, mówię do tych, których poznacie po ich życiu...

Sołtys kręcił się na krześle, przygryzał wąsy, ale nie przerywał mi. Piotr zwracał mi uwagę że jestem młoda w stosunku do tych ludzi, mama uciszała, ale ja biłam już jak dzwon. Niektórzy byli poruszeni, inni chcieli się ze mną kłócić, jeszcze inni uważali, że spotkała ich obraza i chcieli uciekać, ale część z nich uśmiechała się do mnie przyjaźnie, potakując słowami:

— Mądrze... prawda...

Brat miał potem kłopot, bo musiał ich przeproszać i uspokajać mówiąc:

— Co ja jej zrobię, taka ona już zostanie i nic jej nie pomoże.

— Taki to już wyrodek — dodawała mama — dla zażegnania sytuacji.

Wyszłam do Stasia. Byłam pewna, że soltys nie daruje tej obrazu. Ale pierwszy raz jasno i szczerze powiedziałam mu, co o nim i jemu podobnych myślę.

A... wola Boża. Co będzie to będzie...

Dziwne, że im bardziej Stasio był w niebezpieczeństwie, tym bardziej go kochałam. Tyle za niego już przecierpiałam, a czysta miłość rodzi się na ołtarzu cierpienia.

*

Pomimo różnorodnego rodzaju udręk, Stasio rozwijał się prawidłowo. Mieliśmy na polu swoją kryjówkę. Gdy lał deszcz było tam sucho, a jeśli pogoda — bawił się na łące. Zdarzało się, że Piotr brał go z sobą na pole, bo dziecko było grzeczne i ciągle szczebiotało:

— Ja cię kocham wujciu...

A wujcio również, po swojemu się odwzajemniał. Woził go na koniach, huśtał na nodze, dawał różne zabawki. Stasio przyzwyczał się do takich warunków i nie znał prawie dzieci. Ale zbliżała się zima i dziecko trzeba było mieć w mieszkaniu. Były to dni przeżywane nerwami. Tym bardziej, że ciągle przechodzili gromadnie warszawscy przemytnicy, więc trudno było odgadnąć na kogo psy ujadają. Zdarzało się, że zbyt wiele marnowałam czas gdzieś w ukryciu, ponieważ żadne niebezpieczeństwo akurat nie groziło.

Stasio dał się kochać, wszak było to idealne dziecko. Prawie nigdy nie płakał, jakby rozumiał swą dolę i wszystkich kochał. Miał szczęście, bo nawet ci, co chcieli go usunąć, po zbliżeniu się

do dziecka zmieniali zdanie. A babci nie dał się nawet ruszyć, bo była to jego pierwsza na świecie miłość. Całował ją po rękach, twarzy i dzielił się z nią wszystkim co miał. Czasami uciekał na ulicę by pobawić się z dziećmi, ale one go nie lubiły, a niektóre nawet krzyczały i wracał z powrotem do domu.

Najmilszą jego zabawą był ołtarzyk, a urządzał go w ten sposób, że na krześle stawiał odwrócony do góry nogami stołeczek i na jego nogach zawieszał białe szmatki. Na blacie stołka kładł zbity przez siebie z patyczków krzyżyk, który umajał zielenią i kolorowymi szmatkami, a przy nich ustawiał kilka obrazków. Klękał przy nim z poważną miną i pełnym głosem śpiewał:

— Jeziu Kliste żmiłuj się nademjo... Następnie, już na drugą nutę:

— Matko, Nieustajojciej pomoci śplaw zieby tatuś ż wojny powrócił.

A taki był w tej chwili oddany swej modlitwie, że nawet wołany do miodu (bardzo go lubił) czy śmietanki, nie przerywał śpiewu. Był na swój wiek bardzo rozumny, że i dorośli byli często zdumieni. Z babcią gawędził sobie jak z koleżanką i zwracał jej uwagę, albo pouczał. Mówi na przykład:

— Babciu, ty nie noś takiej długiej siukiejki, bo nadepniesz, przewlucisz się i nogę złamiesz... I cio ś tego bejdzie? I kto się ciebie poziałuje? — Mozie ja? Cio?...

I mówiąc to, biegnie do babci ją całować. A babcia rozpromieniona bierze go na kolana, a on jest poważny i smutnym głosem mówi:

— Babciu, widziałem na polu ziabitą wloję... Leżała biedja jak zastzieloja Zidówka.

— Tak Stasiu, masz prawdę — mówi babcia kiwając głową.

Ale Stasio ma już inną skargę do babci — przypomniał sobie że go dzieci przezywają Żydem.

— Oni sami Żydy, dodaje więc babcia z namaszczeniem w głosie.

Stasio lubił również spać z babcią i gawędzili często nawet w nocy. Mama mawiała, że mały i stary to jedno. Uczyla go przy tym pacierza i innych modlitw. Jeżeli babcia była czegoś smutna, Stasio biegł do niej i rączką przesuwiał jej po szyi sepleniąc:

— Denu denu po gajdziei zieby Zidki nie widziei.

Mama moja śmiała się wtedy do rozpuku i łapała go na kolana.

— No... idź się bawić, bo ja czasu nie mam — mawiała — wstając z krzeselka.

— Ja ci pomogę — szczebiotał Stasio — i jak umiał tak starał się pomóc.

Gdy przechylona szła z workiem na plecach, chłopczyk brał rączkami dwa jego końce i pomagał. Oczywiście, że utrudniał w tej pomocy, ale ta specjalnie, bardziej się przechylała, aby dziecku sprawić radość.

Babcia nabrała do niego zaufania i jak nadmieniałam, pouczała go poważnie. Uczyla go kochać wszystkich, a wtedy Stasio zdumiony pytał:

— A Niemciów?

— Niemców też, bo i oni nie wszyscy są źli — mówiła.

— Oj, żebyś ty dziecko mógł przeżyć tę wojnę, by cię Najświętsza Matka obroniła...

— Ja się nie boję ziandajmów, bo mnie mama schowa i ja nie będę ziabity — odpowiadał Stasio.

Mama wtedy pouczała go, żeby on sam uciekał przed zandarmami, jak ich zobaczy.

— Pamiętaj Stasiu! Żebyś nie krzyczał, a tylko uciekał... Schowaj się gdzie możesz i nie wychodź, aż będziemy ciebie wołać.

Dziecko słuchało poważnie i obiecywało słuchać rady babci.

— Dlaczego oni — babciu — biją Zidów? — pyta Stasio.

Po namyśle babcia tłumaczy:

— Bo to są bandyci, zbóje, łotry... I daj Boże, by ich zaćmiło na oczy, żeby zapomnieli drogi do nas...

— Zieby ośjepii — dokańcza chłopiec.

Babcia śmiała się swoim beztróskim śmiechem i wymyślała coraz to nowe klątwy na głowy żandarmów. Śmiech ten udzielał się i mnie po części, bo tych dwoje miłujących się ludzi tworzyło komiczną parę dziwną pogawędką. Gdy dałam mu jakiś smakołyk nigdy go sam nie zjadł, a biegł, by się z babcią podzielić. Mama najczęściej nie chciała od niego przyjąć, to on ze łzami w oczach prosił:

— To niech babcia polizie — a babcia nie mogąc już odmówić, lizała na niby.

Do nich, na przylepkę, dochodził kot tygrys. Stasio i jemu się zwierzał ze swych sekretów, czy popisывał podarkami.

— Pats tygliś, cio ja mam, widziś — Bozia... podstawiając mu pod czubek nosa medaliczek uwieszony na sznureczku. Kot powąchał, mruknął i lizał swoje łapki, a Stasio zrażony obojętnym zachowaniem kota całował medaliczek, a następnie wsuwał za koszulinę. Widząc to, dobiegałam do chłopczyka i biorąc go na ręce, całowałam. Dziecko ocierało czerwony policzek i niechętnie odsuwało się dalej, mówiąc:

— Mama nie psieśkadza, nie ma Stasio ciasiu.

W takich momentach, najczęściej klękał przed obrazem i śpiewał:

— Bozie, Bozie wielki... mocny, uklij mje, latuj mje... Malija Niepokalaja, ziaklij Stasia płaściem...

Te babunine śpiewki miały przeciągłą nutę, a dziecko po swojemu jeszcze je wydłużało. Porywał mnie i płacz i śmiech, ale musiałam zachować powagę, bo Stasio pytał:

— Ciemu mama się śmieje ż Boziułki?

Przychodziło mi wtedy dręczące pytanie: — Czy zdołam uratować dziecko?... W okolicznych wsiach inne osoby również wzięły na wychowanie dzieci żydowskie, ale — podobno — za wysokim wynagrodzeniem. Wszystkie te dzieci zostały już rozstrzelane, żyło tylko moje. Ostatniego z nich, uśmiercono kilka

tygodni temu. Byłam prawie w tej chwili obecna. Widziałam jak słynny z okrucieństwa szulcman „Julek” dał dziecku cukierek i kazał mu iść. Chłopczyk szedł z cukierkiem (a jego przybrana matka skryła się) i kula karabinu skróciła mu ledwie rozkwitłe życie. Widziałam, jak wykonawca zbrodni podszedł do dziecka i kopnął go butem. Widocznie chciał się przekonać, czy dobrze trafił. Po chwili, podrzucił go drugą nogą, niby piłkę, tak że mały trupek potoczył się po murawie i upadł na wgłębienie leśnej polanki. Pokrzywy i inne chwasty dały miejsce tym zwłokom. Obok, rozłożyste konary brzozy płaczącej szemrały swymi listeczkami. Oczy dziecięcia były otwarte, jakby przerażonego zwierzątka. Zdawały się żywe... patrzyły w czysty lazur nieba. Mała rączka, w zaciśniętej piąstce trzymała karmelek kata. Podniesiona była do góry, jakby groziła zemstą. Krew jeszcze broczyła ciemno-bordowymi plamami i odbijała od zieleni. Śpiewały ptaszęta i krakały wokół wrony... Las szumiał. Słońce dzierzgało polanę złotymi plamami, które osiadały stopniowo na trawie, drzewach, krwi i zastygłej figurce chłopczyka. A on — spał już spokojnie. Odszedł z niegościnnnej, obcej ziemi, do swoich...

Myślałam zawsze o tym dziecku i coraz bardziej bałam się o Stasia. Miałam jednak niezłomną wiarę, że Bóg mi go zachowa. Z czystej, entuzjastycznej miłości go wzięłam... nie za pieniądze, nie dla zysku. Patrząc na klęczące przed obrazem dziecko nie wątpiłam, że modlitwy jego będą wysłuchane. Bo przecież, nikt go do paciorka nie pędził, a on sam — jak dorosły — rozumiał potrzebę modlitwy. Ale to była tylko moja wiara, moja nadzieja i miłość, a życie codzienne miało inne podłoże.

Po wsi krążyły plotki, że chłopczyk należy do rodziny Krydzbergów, do tej samej, co uśmiercona z trojgiem dzieci matka. Po starym młynarzu było kilka morgów bezpańskiej ziemi i ci właśnie ludzie, którzy ją obsiewali, stali się wrogami Stasia, jako przyszłego spadkobiercy. Mało tego, bo urojono jeszcze bajkę o wielkiej sumie pieniężnej, którą rzekomo miałam otrzymać jako

honorarium. Zaczęto nawet głośno mówić pogrożki. Niektórzy, a najwięcej Wacek, śmiał się z Piotra, że on przyplaci to życiem. Przepowiadali, że zabudowania żandarmeria podpali, a nas — to znaczy Piotra, mnie, mamę i Stasia rozstrzelą. Nie mogłam więc dłużej igrać z ogniem i postanowiłam opuścić dom.

Ale gdzie pójść? Dokąd? Nie miałam pojęcia, ale mimo to, przygotowywałam się do drogi. Byłam podniecona, niespokojna, jakby nieszczęście było tuż tuż. I przeczułam, bo w tym czasie przyszedł sołtys. Stasio bawił się z tygryskem, a ten — zwrócił się bezpośrednio do dziecka, w jego stronę, ze słowami:

— Szkoda polskiego chleba dla Żyda. Oddajcie go na posterunek, bo będzie z wami źle.

Stasio zrozumiał, bo schował buzię w futerko kota i zaniósł się płaczem. Przerwałam robotę i chcąc zebrać w garść roztrzęsione nerwy, wzięłam dziecko na ręce i nie chcąc bezcelowo rozmawiać ze znenawidzonym chłopem, bez słowa wyszłam do drugiego mieszkania. Słyszałam, jak na podwórku sołtys straszył matkę. Chciałam jak najszybciej uciekać, ale widocznie nie było mi to pisane, bo niedługo zjawił się nowy gość. Może był to przypadek, a może ktoś go zrządził. Tym drugim wizytatorem był żandarm. Poznałam go. To ten sam Julek, który zabijał dziesiątkami. Był wysoki, barczysty, o zimnej, surowej twarzy. Uśmiechnęłam się do niego najmilszym uśmiechem kobiecym jak do przyjaciela i wzięłam dziecko na ręce. Patrzyłam tak mu prosto w twarz myśląc, że jeżeli zabije nas oboje, zostanie mi ten miły uśmiech... by ludzie widzieli, że śmierć niewinna — nie jest straszna. On też spojrzał na mnie uważniej i twarz jego stała się jakby łagodniejsza. Miałam wrażenie, że w tej chwili jestem towarem, a przyszedł klient i zastanawia się ile odciąć z całej sztuki. Serce mi biło, to zamierało na przemian, ale wciąż się uśmiechałam jak do zdjęcia, strojąc pozę.

Jak przez mgłę dostrzegłam, że drab o kamiennym wyrazie twarzy postąpił o krok i utkwiał we mnie oczy. Widziałam ich dzi-

ki, drapieżny wyraz, ale wzroku nie spuszczałam z nich również. Tylko, żeby to prędzej już nastąpiło... Uciekać nie mogłam, bo wrosłam w miejsce nerwami. Kat mój, jakby bawił się ze mną, jak nasycony drapieżnik z ofiarą, bo powoli zdejmował karabin.

W tej chwili Stasio zapłakał... Sercem moim targnął ból... Ratować dziecko!... Już w wyobraźni widziałam skrwawionego trupka. Szałem rozpaczony pędzona, otwierałam szeroko oczy i uśmiechałam się ciągle... Myślałam, że tym kobiecym sposobem wygram walkę... Bo wyboru nie było. Straciłam rachubę czasu, ale wciąż gładziłam główkę dziecka tulącego się do moich piersi. Żandarm zdjął karabin i zdawało mi się, że twarz jego była już mniej surowa. Miałam wrażenie, że lodowaciej, jakby po dokonaniu śmiertelnego wyroku, tylko żyje we mnie jeszcze to dziecko... Z tej duchowej męczarni ocknąłam się na dźwięk głosu żandarma. Mówił najczystszą polszczyzną:

— Pani kocha tego żydziaka?

— Kocham... To moje własne, drogie dziecię — odrzekłam, czekając strzału.

Zauważyłam, jak twarz okrutnego Julka skurczyła się grymasem mięśni, a masywna ręka opuściła na dół karabin. Zamknęłam oczy, nie mogłam już uśmiechać się dłużej, ale nie było i potrzeby, bo usłyszałam skrzypnięcie drzwi. Odwróciłam się, żandarma już nie było przy mnie. Był już przy gumnie. Znalazł tam stare żarna więc zapisał je i nakazał przestraszonej mamie odwieźć je do sołtysa. Potem... oddalił się, jakby go w ogóle nie było.

Długo jeszcze stałam tuląc dziecko do piersi. Dlaczego ów wykołajeniec tak postąpił?... Może była to dla niego miłsza zabawa niż zabójstwo?... Może miałam wolę silniejszą?... Może odezwała się w nim iskra ludzkiej litości?... Nie wiem. Stasio z przekonaniem twierdził, że to Bozia go obroniła, a i babcia temu wierzyła, a ich przekonanie udzieliło się wszystkim.

Od tej chwili jednakże, rozpoczęło się życie jeszcze bardziej niezdrowe. Przyzwyczaiłam się już do tego i czasami lubiłam igrać

z przeciwnościami. Domu, tak czy owak nie mogłam na długo opuścić, bo kto by chciał mnie trzymać. A w końcu, w domu zawsze było tyle pracy, że i moje ręce były niezbędne. Stasio często się bawił z innymi dziećmi. Pewnego razu zauważyłam go, jak oparł się o płot i nie bierze udziału w zabawie, bo dzieciaki go przezywają:

— Żyd, Żyd, zjadł pół kopy gnid!...

Stasio trwożliwie patrzy dookoła i jakby chciał gdzieś uciec. Wołam więc go do siebie, biorę na ręce i całuję, a on się skarży, że dzieci są niegrzeczne.

— One są głupiutkie — odpowiadam — więc nie baw się z nimi, a lepiej jedź z wujkiem na pole.

Wtem rozlega się strzał. Za chwilę słychać drugi i trzeci. Biorę Stasia na ręce i zamiast iść do mieszkania idę na pole. Obejrzałam się i widzę za sobą na drodze, trzech jadących żandarmów. Ogarnął mnie strach, a już jeden z nich woła na mnie. Przystanęłam i uśmiechając się spytałam łamaną niemczyzną czego żądają.

— Gdzie mieszka sołtys i... czy tu macie Jude!?!...

Wzruszyłam ramionami jakbym nie miała pojęcia o co się im rozchodzi i odeszłam. Jakież było moje zdziwienie gdy zauważyłam, że zamiast do sołtysa na drugą wieś, wjechali na nasze podwórko. Byłam pewna, że przyjechali zabić dziecko. Przytuliłam go do siebie i weszłam w zboże. Biegnę bruzdą i chyłkiem, by nie była widoczna głowa. Chcę dobiec do pobliskiego lasku, ale Stasio jest ciężki, a sił coraz mniej. Boję się, że mnie tu odnajdą, bo zostawiłam ślady. Biegnę bruzdami i miedzą, a serce tak wali, że nie mogę już postąpić nawet kroku. Padam prawie bez tchu.

— Przytul się synku... i patrzę w rozpięty nad głową lazur nieba i modlę się.

A i Stasiu wciąż szepcze:

— Jeziu Kliśle żmiłuj się nademjo!...

Po chwili znowu słyszę kilka strzałów, ale były już dalekie. Odetchnęłam z ulgą. Nastąpiła cisza. Tylko krowy porykiwały na pastwisku i nieznośnie krakały w pobliskim lasku wrony, jakby czuły świeży zer. Stasio zasnął. Oddech jego był mimo wszystko równy i spokojny. Mijały godziny, zbliżał się wieczór. Zimno mi już było, a i dziecko tuliło się z chłodu i chciało jeść. Musiałam wracać. Wzięłam go za rączkę i prowadziłam, by się rozgrzał. Na przydrożnym wzgórku przystanęłam i rozejrzałam się dookoła. Słońce już prawie zachodziło. Zbliżyłam się do naszych zabudowań i nie widząc nic podejrzanego weszłam do mieszkania. Na widok krzątającej się koło kuchni — mamy, uspokoiłam się zupełnie. Mama opowiedziała mi, że żandarmi przeprowadzili rewizję i pytali się o mnie i dziecko. Gdy im powiedziała że poszłam za granicę, to jeden z nich ją kopnął — i pokazała duży siniec na łydce.

Była to śniadowska żandarmeria i grasowali tak na swoją rękę. Gdy wyjechali za wieś, napotkali na drodze jakiegoś „przemytніка”. Zatrzymali go, wylegitymowali i... rozstrzelili. Każdy z nich dał mu jedną kulę, bo trzy strzały było słychać.

Zostawiłam Stasia przy mamie, będąc pewna że dziś żandarmi powtórnie nie przyjadą, a sama poszłam odszukać zabitego. Mieszkańcy wsi przenieśli już zwłoki do pobliskiego lasu, by tam je pochować. Z daleka zobaczyłam gromadkę ludzi, a obok był świeżo wykopany dół. Na szarym mchu leżał skrwawiony młody człowiek. Był prawie nagi, a ciało pokrywały ciemne sińce. W wysokim czole czerniała mała dziurka. Faliste, jasne włosy, pasmami na głowie sklejała skrzepła krew. Na piersi i brzuchu też były dwie rozdarte rany. Krew z nich jeszcze się trochę sączyła, tak, że utworzyły się z niej obok zwłok, zastygłe już ciemnoczerwone platy. Przypomniały mi — nie wiem czemu — podarte proporce... Właśnie na jednym z nich, leżała martwa ręka młodzieńca. Palce dłoni sztywnymi końcami dotykały gałązek jałowcowego krzewu. Na tle szarawej zieleni przypominały

skromne płatki białego kwiatu. Miałam wrażenie, jakby skarżyły się Stwórcy... dlaczego pozbawiono je życia.

Długo patrzyłam na tę klasyczną dłoń i... myślałam, że ta ręka mogłaby dokonać jeszcze wiele dobrego dla Ojczyzny. Stałam tak zamyślona, aż ręce mężczyzn włożyły go do dołu. Uklękłam nad mogiłą, rzucając garstkę piasku. Wśród ludzi — jak zwykle w takiej chwili — mówiono wiele, ale w istocie nikt go nie znał. Miał zawieszony na szyi medalionik ze świętym odbiciem i pierścionek z orłem na palcu lewej ręki — jedyne dowody że był katolikiem i patriotą.

Patriotą!?... No tak, bo przecież w takiej podróży zaciera się wszelkie ślady, a on ich nie zatarł. Pokazał wrogowi kim jest... Bo wielkość narodu to wielkość ducha... Taki naród zginąć nie może, choćby cierpiał wieki... Choćby z ofiar piętrzyły się stosy...

Stałam jeszcze długo. Byłam już sama gdy mrok ogarniał szumiący las, a ja patrzyłam wciąż na wzgórek, w którym leżały zwłoki Orłęcia Warszawy. Żal mi go było... Nie, ja cierpiałam z nimi wszystkimi, z całą Ojczyzną. Nie mogąc Jej w niczym pomóc, niezdolna będąc do żadnych działań, błagałam Boga o cud. Błagałam w sennie szumiącym lasku, nad żółtą, piaskową mogiłą. Myślałam... i byłam pewna, że myśl moja uleci do naszego Zbawcy. A gdy już mroki mdławo spowiły kontury świeżego grobu — odeszłam, do własnej wędrówki borykań...

Mimo wszystko promienna nadzieja zalewała mi duszę.

*

Minęła jesień, zima i znowu przysła upojna wiosna 1943 roku. Maj pachniał, tchnął aromatem i wonią. W czyste tonie, w przestwór lazurowego nieba unosiła się rozdzwoniona pieśń ptaszęca. Słońce — jak rozpalona kula wisiało w szklanym powietrzu, z której spływały promienne potoki światła na całą naturę, niby tchnienie życia. Nasze Wierzbowo Małe

jakby zbudzone z zimowego snu, zatętniło życiem. Biegały na podwórkach, na drogach, ścieżynach, rozbawione, umorusane dzieciaki. Roześmiane buzie jakby kwitły w słońcu. Dzieci było wszędzie pełno i tak były rozbawione, że pędziły jak barwne motyle, zrywały pęki kwiecica z łąk, pól i krzewów. Co żyło powychodziło z domów — i starzy... i dorośli... i mali. Roboty jest wiele — w polu i ogrodzie, a przy tym tak przyjemnie, to któżby chciał tam w domu siedzieć.

Jednego z takich wiosennych poranków szłam do domu z długiej wędrówki. Świeżość poranka upajała wonią i czarem piękna. Przy mnie dreptał Stasio. Byliśmy weseli i szczęśliwi na widok znanych pól, krajobrazów i — na myśl o bliskich nam osobach. Pisano mi, że we wsi spokojnie i cicho, żandarmeria nie pyta o mnie i nie przychodzi do nas, więc dlatego wracam. Szliśmy miedzami i polami. Tu i tam wieśniaczki pełły len lub sadyły kapustę. Głowy ich obwiązane perkalowymi chustkami wyglądały z daleka jak rozłożone skrzydła dużych, barwnych motyli. Gdzieniedzie chłop, orząc ziemię, śpiewnym głosem popędzał konie. Na pastwiskach rzewnie porykiwało pasące się bydło, jakby skarżąc się na gryzące je owady.

Stasio poznał nasze zabudowania pomimo, że dłuższy czas ich nie widział. Cieszył się, że zobaczy wujcia, babcię, tygrysa i siwe konie. Zobaczył za chwilę to wszystko i mile został powitany. Mama — z radości — nie wiedziała czym go nakarmić. W domu i we wsi był spokój, więc z zadowoleniem zostaliśmy na miejscu. Stasio jeździł z Piotrem na pole. Babcia dawała im pożywienie i Stasio bawiąc się w krzakach wikliny rosnących na łące, spędzał dni. Gdy dziecko nabawiło się i najadło z wujciem do syta to najczęściej zasypiało na pachnącej łące. Kiedy Piotr kosił, to Stasio był przy nim blisko i — nawet w południe nie chciał przyjść z babcią do domu.

Nazajutrz wybierał się znowu, bo dzień był pogodny, a zabawa przy wujciu podobała się chłopcu. Milszą jednak od zabawy

była jazda w konie, toteż Stasio nie dał się Piotrowi nawet ruszyć, chodził za nim krok w krok, jak prawdziwy jego pomocnik. Zaprzęgli — niby razem — konie do wozu i Piotr położył na furmance kosę, a sam poszedł jeszcze po coś do stodoły. Stasiowi tego tylko było brak, żeby znalazła się okazja do jazdy. Wskoczył na furę i złapał rączkami za lejce. Wio... wio — zawołał — i konie szarpnęły ruszając z miejsca, a Stasio nie mogąc zachować równowagi, upadł jak długi. Padając, uderzył się główką o deskę wozu, a rączką — o ostrze kosy, przecinając sobie przedramię niemal do samej kości. Na krzyk dziecka przybiegł Piotr i krzyknął jeszcze przeraźliwiej. Ja w tym czasie gotowałam, ale na krzyk brata wybiegłam i ujrzałam widok przerażający. Piotr miał bladą twarz i krępował już jakąś chusteczką rękę dziecka. Mimo to, krew płynęła obficie. Nie miałam czasu słuchać usprawiedliwień Piotra, bo za moment niosłam już lniane, czyste szmaty, by zabandażować ranę. Byłam pewna, że żyły są przecięte, ale... co począć? Stasio nie płakał, nie skarżył się nawet. Spytał tylko czy — nie umrze, czy dusza nie wyjdzie. Staralam się być spokojna. W oczach migotały mi gwiazdy i żał dusił, ale łez nie było. Straszne pytanie nie schodziło mi z myśli: Co ja teraz zrobię?... Skąd wezmę doktora?... Kto mi da pieniędzy?...

A każda minuta była droga. Bałam się panicznie, że dziecko mi skona z upływu krwi. Sami zamordujemy sierotę... O Boże, Boże... Miałam mu być najlepszą z matek... Ale usta nie wydawały głosu, ból kołatał w duszy, nie wychodził na zewnątrz, bo tam było jego miejsce — we mnie. W międzyczasie, wróciła mama z pola i rozplakała się przeraźliwie, a Stasio widząc płaczącą babcię sam się też rozbeczał. Co gorsza mama nie chciała, żeby dziecko wieźć do doktora. Uważała, że lekarza się nie znajdzie, bo ten w pobliżu, w Szczepankowie, nie będzie mógł sobie poradzić, a do Śniadowa jechać niepodobna, bo tam posterunek żandarmerii. Do Łomży znowu za daleko, to żywego dziecka nie dowieziesz, a jeśli — to w szpitalu nie zostawisz, bo

obrzezane i poznają że żydowskie... Niech już umiera na moich rękach — biadała babcia. A żal jej był tak szczery, że mimo woli zapomniałam o sobie.

— Nie bój się mamó, ja sobie dam radę ze wszystkim i dziecko będzie żyło — zapewniałam ją.

Stałam się znowu mocna i opanowana. Ale z mamą nie była łatwa sprawa, bo do lekarzy czuła jakąś swoistą odrazę. Nie wiadomo skąd — naszło się kumoszek, które radziły i zachwalały swoje leki. Liczny był ich wybór, bo i liście i nawóz koński, zioła i lichy wie jeszcze co, a mama święcie w nie wierzyła. Widząc, że nie przekonam mamy prośbą, a czas jest drogi, zabrałam z kolan mamy Stasia i siadłam na wóz prosząc, by Piotr podwiózł mnie do Szczepankowa. Konie ruszyły i pojechaliśmy w jak najszybszym tempie. Mimo to, wydawało mi się, że konie wloką się bardzo wolno. Pod samą wsią brat stanął i wysiadłam, kierując się energicznym krokiem w stronę kamienicy, gdzie mieszkał doktor. Zastukałam do drzwi. Otworzyła mi młoda, o subtelnym wyglądzie kobieta oznajmiając, że doktor wyjechał do Białegostoku i wróci dopiero za kilka dni. Prosiłam ją, by sama zrobiła dziecku zabieg, ale ona nie знаła się na chirurgii, więc tylko zajodynowała ranę i zabandażowała. Poradziła mi, bym poszła do Boguszyc, do akuszerki, to ona mi coś poradzi. Dziękując jej — poszłam dalej. Miałam przed sobą trzy kilometry piaszczystej drogi. Tylko — czy zdążę?... Czy zastanę akuszerkę w domu? Stasio ciążył coraz bardziej, serce łomotało, organizm słabł. Słońce stało już w zenicie i paliło okropnie. Bose stopy (bo pantofle niosłam w rękę) piekły piasek. Oglądałam się co chwila, jakbym chciała się przekonać, czy wiele mi ubyło drogi i za którymś razem zobaczyłam jadący wóz. Zwolniłam kroku ciesząc się, że jakiś chłopina mnie podwiezie. Gdy konie zrównały się ze mną, poprosiłam go o podwiezienie, ale ten tylko spojrzał na moją zakrwawioną sukienkę i bez słowa pojechał dalej. Westchnęłam z żalem...

Stasio chciał spać, widocznie z upływu krwi, lecz nie pozwoliłam. A i mnie chciało się choć na kilka minut usiąść by odpocząć, ale czas też się nie zatrzymywał. Za chwilę znowu usłyszałam terkot kół. Już się nie oglądałam, by nie doznać rozczarowania, ale coś za zdziwienie, kiedy usłyszałam głos wołającego mnie chłopca. Wreszcie zobaczyłam park i pałacyk, w którym mieszkała akuszerka. Była nią córka szlacheckiego domu Wierzbickich w Boguszycach. Zastukałam do drzwi onieśmielona wspaniałością drzewostanu i architekturą budowli. Uroczyście było w tym świerkowym zaciszu i miałam wrażenie, że zwykli śmiertelnicy nie mogą tu mieszkać, bo nie docenią piękna. Na szczęście, uczucie to minęło szybko, wróciła wrodzona pewność i równowaga ducha. Zastukałam mocniej. Po chwili drzwi się otwały i stanął w nich dość przystojny mężczyzna w podeszłym wieku. Poznałam w nim właściciela zbankrutowanego majątku, brata akuszerki. Starszy pan pierwszy spytał:

— Czy do pani Szymańskiej?... I usłyszałam znowu tę samą odpowiedź:

— Nieobecna.

Te słowa uderzyły mnie jak obuchem, ale nie tracąc zimnej krwi spytałam gdzie jest. Na szczęście, była gdzieś u chorej. Ale gdzie? Wysunęłam się z chłodem wiejącego parku i poszłam do wsi. Było mi już obojętne. Usiadłam koło stawu i spoglądając na śpiące dziecko nie budziłam go już. Po brudnej powierzchni wody pływały gęsi i kaczki. Przede wszystkim odpocząć, a potem — zobaczyć. Poczekam, nie ruszę się stąd... Wiejskie kobiety i półnagie dzieciaki gapily się na mnie, lecz nie miałam już sił wszczynać z nimi rozmowy.

A jeśli Stasio tak śpiąc — umrze z upływu krwi? — przebiegła zła myśl przez głowę — i wróciły mi chęci do walki. Podniosłam się z ziemi i poszłam do kobiet by z nimi pomówić, ale zauważyłam biegnącą w moim kierunku dziewczynkę. Powiedziała mi, że zna panią Szymańską i w którym domu znajduje

się obecnie. Wsunęłam jej w łapkę pieniędzy i ta pobiegła, a ja przebudziłam Stasia i czekałam w napięciu. Jakże niewymownie kochałam to dziecko. Zdawało mi się, że jeśli i ono mi umrze, to życie moje straci sens i... nikogo już nie będę mieć na świecie bliskiego. Nikogo, bo Stach pewnie zginął...

Nie wiem jak długo czekałam. Wreszcie zobaczyłam dwie kobiety w towarzystwie dziewczynki. Były to siostry, ale zupełnie różniące się od siebie. Pani Szymańska była wysoka i smukła, doskonale zbudowana. Twarz jej, o lekkim owalu, wyrażała dumę i wyniosłość. Oczy miała stalowe, pogodne i rozumne. Kąty subtelnie wygiętych warg uśmiechały się ledwie dostrzegalnie i — gdyby nie ten uśmiech miałabym obawę, że zostanę na łasce losu. Młodsza jej siostra była drobna, szczupła szatynka o przepaścistych, wschodnich oczach. W istocie, bez szczegółniejszego wyteżenia uwagi widziało się szczerłość, prostotę i dobroć. Od razu więc poczułam do nich sympatię i byłam pewna, że mi pomogą. I nie zawiodłam się, wszak były bardziej dobre niż okoliczność wymagała. Chciały mi nawet dać własne konie bym pojechała do łomżyńskiego chirurga, więc... powiedziałam im całą prawdę. Pani Szymańska od razu zrozumiała moją sytuację i bez słowa przygotowała narzędzia chirurgiczne. Położyłam dziecko na okrągłym stolczku i przycisnęłam piersiami. Stasio krzyczał, skrzeczał i z braku sił kwilił jak pisklę prosząc, by go pożałować. Staralam się myśleć o czym innym, ale i tak serce zamierało mi z bólu. Pani Szymańska zszyła żyły, założyła klamry i zrobiła opatrunek.

— No, mały zuchu, nie będę cię więcej męczyć — powiedziała z uśmiechem, jak po dobrze wykonanej pracy.

Nakarmiono nawet Stasia bułką z masłem oraz mlekiem. Nie umiałam im nawet podziękować, bo uważałam, że słowa są tu za ubogie. Powiedziałam tylko, że życie moje jest za nikłe bym mogła się odwdzińczyć, więc niech sam Bóg wynagrodzi. Nie pytały mnie nawet kim jestem, a to zrozumienie wyrażało wielką kulturę duchową. Pożegnałyśmy się spojrzeniem, jak

żegnają się dwie pokrewne dusze. Jeszcze kilkakrotnie chodziłam do Szczepankowa na opatrunki, a ostatni raz przedarłam się do Śniadowa za ulkami, by ominąć posterunek. Tam felczer zdjął kłamry. Rana była ślicznie zagojona.

*

Jednego wieczoru, przemęczona pracą, odpoczywałam z robótką na ławeczce przy kuchni. Mama gotowała kolację i Piotr kręcił się po mieszkaniu. Stasio też siedział przy mnie i coś jadł. Do mieszkania wszedł soltysa dorosły syn. Był to chłopiec dość szykowny, ale drwiący i nie dał się lubić, bo tych słabszych miał za przedmiot swych żartów. Wreszcie, co tam dużo mówić — jaki ojciec taki syn. Wiedzieliśmy, że z dobrą nowiną nie przyszedł, toteż radzi mu nie byliśmy. Chłopiec uśmiechając się zarozumiałczo podszedł do mnie i wręczył mi świstek. Był to formalny nakaz na roboty do Niemiec. Przeczytawszy to, wszystka krew zbiegła mi do twarzy z oburzenia. Jak to? Ja do Prus!? Przecież ani mój rocznik nie podlega, ani nikogo ostatniego z rodziny nie biorą. Gospodarstwo duże i na nim jedynie trzy osoby, w tym jedna prawie sześćdziesiąt lat licząca... To zakrawa na ironię. Zapomniałam w tej chwili co mi grozi, co czynię i byłam pewna, że oni chcą się mnie pozbyć, by zabrać moje dziecko. Przecież część ziemi po młynarzu Krydzbergu miał jego ojciec w posiadaniu, a ten był pewny, że Stasio to wyłączny spadkobierca — błyskawicznie przeleciała mi ta myśl przez głowę. Nie, ja wam nie ulegnę. Spojrzałam na tego Piotra (bo takie miał imię) i spytałam:

— Jakim to prawem wy mnie wysyłacie na roboty?

On, zamiast mi wyjaśnić, zaczął po prostu drwić ze mnie, bo było to w jego zwyczaju. Słuchałam tego nie przerywając, a gdy doszedł do Stasia — mówiąc, że krótkie „obrzynka” życie, bez opanowania uderzyłam go w twarz.

— Zginiesz sam łobuzie wcześniej od nas — krzyknęłam z pasją, umykając za drzwi w obawie, by mi nie oddał.

Serce waliło mi strasznie, lecz zadowolona byłam z siebie. Usłyszałam zza drzwi jak się odgrażał, jak nasz Piotr go uspokajał, mama przepraszała za mnie i tłumaczyła. Za kilka chwil wyszedł a ja, nie czekając na dalsze następstwa, opuściłam dom zabierając Stasia. Znowu rozpoczęła się tułaczka, ale cóż to dla mnie było — ja tylko się hartowałam. Stasio został na razie u dobrych moich przyjaciół, a ja z Olkiem — Jadzi naszej mężem — przejechałam w słomie do Czartorii. Ominęliśmy w Miastkowie posterunek żandarmerii, jadąc dookoła. Od Jadzi przepравиłam się z rybakiem przez rzekę (dobry był człowieczyzna) i przeszłam na przeciwną stronę. Za rzeką znowu była straż graniczna, ale były tam moczary i trzęsawiska, więc kryjąc się w trawie i krzewach wikliny nie byłam zbyt widoczna. Tak: udało się dojść do wsi, w której dobrzy ludzie pomogli mi dalej. Przeprowadziła mnie jedna staruszka (szła do córki) tak bezpiecznie, że nikogo nie spotkaliśmy po drodze. Szczęśliwie doszłam do Grali, do ojca swojego małżonka w nadziei, że dowiem się o życiu Stacha. Nic się jednak nie dowiedziałam, wszak on nie mógł nigdzie pisać. Nazajutrz poszłam dalej, z miłymi wspomnieniami, bo szczerze mnie tu przyjęto. Na wieczór doszłam do Rózi i u niej wypoczęłam na dobre. Lecz nie mogłam długo tu siedzieć, bo bałam się o Stasia i — nie chciałam być jej ciężarem. Miała przecież Krysę i Fredka — dwoje dzieci, a mąż jej był w niewoli.

Poszłam znowu do domu przez granicę. Nic się i tym razem nie stało, tylko okropnie się przemęczyłam. Podróż była długa, więc przyszłam do domu późno w noc i zmarzłam, bo wieczór był zimny. Ale nic groźnego z tego nie wynikło, tylko zapalenie płuc. Położyłam się do łóżka nie wiedząc o bożym świecie. Nikt mi jednak nie przeszkadzał, bo mało kto wiedział, że wróciłam do domu. Choroba minęła jakoś bez lekarza.

Minęło kilka miesięcy. Trudno mi dziś dokładnie spamiętać i napisać o tym, czego wcześniej nie zanotowałam. Na uwagę zasługuje fakt, że sołtys po prostu nie dawał mi żyć. Atakował starsze panny, wdowy i rezerwistki, bo tych nie było komu bronić. A kto nie miał gdzie się ukryć — jechał do Prus na roboty. Ja, specjalnie wchodziłam mu na oczy jakby igrając z ogniem, ale o zgięciu przed nim karku nie myślałam. Tak wyprowadzaliśmy się nawzajem z cierpliwości, ale ja jemu w porę umykałam. Żał mi jednak było innych. Bo... niby on musiał kogoś wysłać, ale czemu nie wysyłał z tych domów, gdzie go karmiono i pojono? Myślałam, jak temu zaradzić. No i — wymyśliłam, wykonując swój pomysł niezwłocznie. Wtajemniczyłam w to Teresę (córkę mojej stryjecznej siostry Henryki) i — pomogła mi w tym. Piotr zaśmiewał się do rozpuku na widok obszernych szmat, zapisanych na czerwono. Wyraźnie było tam wydrukowane co następuje: ŚMIERĆ IGNACEMU ZA WSPÓŁPRACĘ Z OKUPANTEM, ZA ZDRADĘ KRAJU, ZA LIKWIDACJĘ NIEWINNYCH ŻYDÓW!... itp. W nocy poszliśmy do Dużego Wierzbowa i mimo że chodziła warta, przylepiłyśmy plakaty na drzwi i do płotu. Prócz tego, przywiązałyśmy czerwone kokardki na drogach i zbożach.

Nazajutrz baby już rozповідаły, że w pobliżu Armia Czerwona, że sołtys nie chce już być sołtysem i tak dalej. Mama, nie wiedząc o niczym, wierzyła w to niezłomnie, a Piotr — z nami ryczał ze śmiechu pokątnie. No i... przestroga nie poszła w las. Od tego czasu „jego ekscelencja” zmienił się do niepoznania. Przestał pić, bawić się i siedział jakby go nie było. Ludzie odechnęli. Gdy zjawiali się we wsi żandarmi, córki jego zbierały dla nich po wsi jajka i słoninę i... sprawa była zażegnana. Mojego Stasia również zostawiono w spokoju. Dziwiono się tylko ogólnie, czemu to przypisać, lecz nikt — prócz nas — prawdy nie znał.

Tak było dłuższy czas, aż zbliżyła się jesień. Był Dzień Zaduszny. Mama i Piotr poszli do kościoła, a ja ze Stasiem byłam w domu. Na dworze padał dość gęsty, drobny deszcz. Stasio podkładał mi słomę do kuchni (bo nie było drzewa), a ja gotowałam obiad i słonina smażyła się na patelni. W tym momencie otwarły się drzwi i stanęło w nich czterech młodych żandarmów w towarzystwie sołtysowego syna. Przestraszyłam się, ale nie tracąc zimnej krwi przechyliłam patelnię i wysypałam skwarki do luzu, a następnie wzięłam z rączek Stasia słomę i szepnęłam, żeby się schował, sama zwracając się w stronę żandarmów. Pomimo, że byłam nieszczególnie ubrana siliłam się na spokój, gościnność, a nawet kokieterię. Przyniosłam z dużego pokoju cały przetak ślicznych jabłek i poczęstowałam ich. Zauważyłam również, że Stasio ulotnił się już z kąta. Żandarmi byli dość łaskawi i wyszli niebawem nie pytając o nic i nie robiąc rewizji. Nawet syn sołtysa był nadzwyczaj grzeczny, jakby nie pamiętał dawnych zatargów.

Po ich odejściu wybiegłam szukać Stasia, wołałam głośno, aż wreszcie wyszedł spod sterty bali i kamieni. Mógł przecież któryś z żandarmów zabrać go z podwórka — myślałam zaniepokojona, a w takich przypadkach różne myśli przychodzą do głowy. Kochane dzieciątko! Złapałam go na ręce i całowałam bez końca... Byłam pewna, że Jezus go broni, bo w Przenajświętsze Imię Jego wzięłam to dziecko.

Dowiedziałam się, że żandarmi u każdego gospodarza we wsi przeprowadzali rewizję, otwierali nawet kufrы, więc szukali czegoś czy kogoś. I ciekawe, że u nas zachowali się jak mili goście. Wdzięczna byłam za to Bogu i jeszcze bardziej wierzyłam w Jego Opatrzność. Za kilka godzin przybyła z kościoła mama z Piotrem, w towarzystwie wuja i cioci z Łomży. Ciocia, w czasie mego opowiadania, była na mnie niezmiernie oburzona, że igram z losem i narażam całą rodzinę na nieszczęścia, więc unikając sprzeczki wysłałam z domu i powróciłam aż odjechali.

Minęła zima z małymi zaledwie zaburzeniami, których nie warto wyliczać. Też brałam to za opiekę Opatrzności, bo przecież w zimę jest najciężej i nie ma nawet gdzie się schować. Na wiosnę mogłam już swobodnie ruszać się i w razie potrzeby uciec z dzieckiem. A ta — zbliżała się również bez przykrych niespodzianek.

*

Pod koniec maja (1943 r.) znowu przykry wypadek zakłócił spokój — Niemcy wykryli w pobliskim lesku ukrywających się Żydów. Było ich kilka rodzin. Wkrótce, po wykonaniu egzekucji, wykryto polską partyzantkę i w Czerwonym Boru doszło do dużej bitwy. Dwa dni bronili się nasi bohaterowie, a ich klęskę przeżywalismy głęboko. Mieliśmy jednak już trochę nadziei, że Niemcom na wschodzie skręcają kark. Pogłoski te, początkowo ciche, roznosiły się coraz dalej i głośniejsze. W Śniadowie i Łomży zaczynał się jakiś ruch i zamieszanie wśród szulcmanów i żandarmerii. Już pod koniec lipca liczne, długie sznury Ukraińców, ciągnęły gościńcem na zachód. Po nich ukazała się żandarmeria, a — co żywe, uciekało do siebie.

Jednego dnia wróciłam z Łomży, a na naszym podwórku zobaczyłam cały tabor żandarmerii. Kwaterowali u każdego gospodarza, tylko że ja — miałam czego się bać. Byli to nieznajomi, z kilku posterunków, z różnych gmin. W naszym sadzie stała kuchnia, przy której kręcili się usmoleni kucharze. Dalej — stały furmanki z budami, przypominające cygański obóz. Byłam onieśmielona, bo sama jedna w mrowisku tyłu mężczyzn. Wśród nich był jeden, podający się za przyjaciela — komendant jednego z posterunków, który kwaterował w naszym domu. Był to opasły grubas o nalanej twarzy. Miał tylko kosmyk włosów na dużej, czerwonej, jakby politurowanej skórze głowy, osadzonej na fałdystym od sadła karku. Oczy jego były jednak dobrotliwe,

a może raczej... wyraz ich przypominał oczy rozleniwionego zwierzęcia. Ten starszy człowiek polubił mnie bardzo i mówił, że kogoś mu tam z życia przypominam.

Właśnie na trzeci dzień po moim powrocie z Łomży zawołał mnie do siebie i odszedł ze mną na stronę, nie chcąc być słyszany przez innych. Pytał mnie, czy to prawda, że Stasio jest Żydem i — mówił dalej nie czekając odpowiedzi — że on musi od nas odejść dlatego, że nie chce o niczym wiedzieć, a ja — jego zdaniem — powinnam usunąć się z dzieckiem. Podkreślił przy tym, że on mnie lubi i dlatego przekracza prawo, ale zaznaczył, by ta rozmowa została między nami. Pocałowałam go w świecącą łysinę, mówiąc:

— Danke schen fater...

Uśmiechnął się, pogłodził mnie po głowie i tej samej godziny przeprowadził się do sąsiadów. Powinnam ulotnić się niezwłocznie, ale naraz mama gdzieś się zawieruszyła. Wzięłam więc Stasia za rączkę i wyszłam z mieszkania w zamiarze ucieczki. Po drodze miałam tylko wdepnąć do Stasi stryjów, która ciągle przesiadywała w swojej stodole i oznajmić jej powód opuszczenia domu, by tę wiadomość przekazała mamie. Gdy przechodziłam przez nasze podwórko, wprost paliło mi się pod stopami. Zdawało się, że wszyscy już wiedzą prawdę i któryś z nich strzelił sobie w nas. Na podwórku u stryjów stał drugi posterunek. Przechodząc wśród nich, nagle usłyszałam wołanie bym zaczekała, bo chce ze mną pomówić. Przystanęłam koło płotu, na skrawku murawy i czekam. Podbiegł do mnie silny, młody mężczyzna, opalony jak żuk, tylko w spodniach i trykotowej koszulce i śmiejąc się złapał mnie za rękę i spytał dokąd odchodzę.

Nigdzie nie odchodzę — odrzekłam, idę na pole.

Czy to miał mi pan powiedzieć — spytałam z zamiarem odejścia.

Ten spoważniał, jakby sobie przypomniął po co przybiegł. Zamiast odpowiedzi spojrzał na Stasia, a twarz jego przybrała

zapalczywe rysy. Mimo woli zadrżałam, lecz uśmiechałam się ciągle, nie chcąc okazać niepewności siebie.

— Proszę, niech pan mówi — przerwałam milczenie.

— No... ja nie powinienem tego mówić tylko w inny sposób sprawdzić, ale co, kiedy ja do pani słabość czuję — zaczął powoli.

Nie przerywałam mu, lecz gotowałam się raczej na odpowiedź, z góry wiedząc że usłyszę o Stasiu. Spojrzał więc jeszcze raz na Stasia (który w tym czasie odszedł ode mnie i usiadł na trawie) i spytał:

— Prawda, że to jest żydziak?

Zamiast cokolwiek odpowiedzieć wybuchłam beztróskim śmiechem.

Czego pani się śmieje? — spytał nerwowo.

— No... czego? — mój panie. Czy mogę zachować powagę myśląc, że pan mnie bierze za Żydówkę?

— Panią? Nie, nie panią, tylko tego chłopca.

— No tak... odrzekłam, tylko że ja jestem jego matką a ojcem — również Polak... kłamałam bez zająknięcia i nie dając mu dojść do słowa mówiłam pieszczotliwie, że... bym się ucieszyła słysząc co innego z jego ust. Domyślił się chyba, że chodzi o flirt i uśmiechnął się mimo woli, przeciągając jak kot. Widząc, że jego sympatia do mnie bierze górę, starałam się wykorzystać tę szansę. Spojrzałam mu w oczy i uśmiechnęłam obiecująco, a potem spytałam, czy mogę go o coś prosić.

— Pani może mi nawet rozkazywać! — zagalopował się w wyznaniu.

— A więc, skoro mi wiele wolno — odrzekłam — proszę, byśmy się spotkali dziś wieczorem, dobrze?

Uśmiechnął się i całując moją rękę wyszeptał:

— Właśnie ja miałem o to panią prosić.

— Ale... co by pan zrobił z żydowskim dzieckiem? — spytałam z niewieściej ciekawości.

— Rozszarpałbym sam na dwie... — dał mi wyczerpującą odpowiedź. — Tyle ich zastrzeliłem i z tym bym postąpił tak samo — dokończył z pasją.

Stał się znowu wściekły, że aż mnie przestraszył, więc nie chciałam dalej igrać z ogniem i przerwałam mu mówiąc, że o tym dziecku krąży złośliwa plotka i żeby jej nie wierzył, bo gdyby tak było, to już dawno by nie żył. Szulcman jednak nie dał sobie długo tłumaczyć. Nie był już przystojnym mężczyzną, który chciał się przypodobać, lecz śmiercionośnym narzędziem... szulcmanem tylko. Oczy stały się dzikie, twarz groźna, jakby miał stanąć do walki a nie — mordować bezbronne dziecko.

— Żyd musi być obrzezany. Można to sprawdzić, czy to plotka czy prawda? — szyderczo wyrzucił z siebie niemal jednym tchem.

Złapał mnie znowu w potrzask. Na mgnienie oka pociemniało mi w oczach, ale przemogłam się zakładając maskę kobiecą. Złapałam go za ręce, jakby bojąc się, by nie rewidowały już i nie uśmiercały dziecka. Trzymałam je, jak tylko mogłam najpięszcottliwiej, potem spojrzałam w dzikie oczy i uśmiechając się szepnęłam:

— Przyjdź wieczorem tu i — kochanie — nie mów bajek... ja sama nienawidzę Żydów i żał mi czasu na drobiazgi.

Chłopak znowu stał się sobą. Moje ciepłe wyznanie uspiło w nim demona. Rozstaliśmy się, bo dzień był słoneczny, brak czasu i widziano nas dookoła. Złapałam Stasia na ręce, mimo że był ciężki i wesoło nucąc niemiecką piosenkę spokojnie odeszłam przez sad, mijając żandarmów. Usłyszałam tylko za sobą obrzydliwe wyzwiska kucharza, który — nie wiem dlaczego — szczególnie mnie nie lubił. Szłam roześmiana i opanowana, a zdawało mi się, że ziemia płonie pod moimi stopami i za chwilę usłyszę — halt! O Jezu! Maryjo! — dodaj mi sił... błagałam całą duszą. Przeszłam ogród, potem pastwisko za wsią i weszłam na ścieżkę prowadzącą w pole, a następnie w bruzdę między zbo-

zami i oddalałam się aż do miedzy. Tam dopiero odetchnęłam z ulgą. W porywie wdzięczności i miłości do Boga upadłam ze Stasiem na kolana i z duszy mej wyrwała się dziękczynna modlitwa. Łany zboża wtórowały mi lekko falując, a lazur nieba był czysty — bez najmniejszej chmurki. Byłam pewna, że sercami naszymi przebijemy atmosferę i modlitwa z nich uleci do samego nieba. Ty moje kochane dziecko, ty mój synu dany od Boga... To nic, że ciebie nie rodziłam, ale cierpiałam więcej jak niejedna matka... A on tulił do mnie główkę i szeptał:

— Jeziu Kliśle żmiłuj się nademjo...

Gdy odpoczęliśmy, poszliśmy dalej, do znajomych. Ci przyjęli nas bardzo chętnie i zapewnili, że będzie mu u nich bardzo dobrze. Obiecałam, że wieczorem przyniosę dziecku jeść na kilka dni. Stasio zgodził się zostać, bo już znał tych ludzi i była tam mała dziewczynka. A ja — dopiero teraz sobie uświadomiłam, że zostawiłam mieszkanie bez żadnej opieki i mama o niczym nie wie, więc co wypadało mi robić? A jeśli skrzywdzą mamę lub brata?... Uciekłaś, okłamałaś tego szubrawca, a ten może się zemścić na rodzinie... Nie, wrócę... mogą tylko mnie zabić... Ale kto wtedy zajmie się dzieckiem?... Czy masz prawo marnować życie, które się przyda jeszcze dla innych?... A może żyje twój mąż?... Wojna niedługo pewnie się skończy... mówiło mi ciągle to coś czy — ktoś.

Nie poszłam jednak w dzień. Dopiero, gdy zmierzch zapadał musiałam pójść, bo i sama byłam potwornie głodna, a i dziecku powinienam przynieść żywności. Podkrađłam się opłotkami niepostrzeżenie. Mama była w kuchni bardzo zapłakana. Złękla się mnie i natychmiast kazała się ukryć. Tam opowiedziała mi straszne rzeczy, że... do domu wpadł kucharz strzelając, grożąc i bijąc mamę, by powiedziała gdzie ukryła Żyda i gdzie ja jestem. Matczysko było ledwie żywe.

Niedługo poszłam znowu do Stasia z pokarmem, a nazajutrz wieczorem wróciłam tak samo ostrożnie jak poprzedniego dnia.

Tej nocy spałam w swoim małym pokoiku, w dużym — przez ścianę, spał nowy komendant i komisarz. Zeszła się tam cała starszyzna i urządzono libację. W nocy zbudził mnie huk i hałas. To pijane dowództwo strzelało i kłóciło się ze sobą. Nadstawiłam ucha i usłyszałam, że między innymi mówią i o mnie. Któryś z nich pchnął drzwi do mojego pokoju chcąc je wyważyć, więc otworzyłam okno i wyskoczyłam za dom. Byłam ubrana na ciemno, więc jak cień umknęłam w pole.

*

O wojnie mówiono coraz częściej i ciszej. Ludzie czuli ją jak zwierzęta nadchodzącą burzę. Pomimo, że wojna napawa grozą i po przeszłej pozostały niezatarte ślady, ludzie nie bali się jej tym razem. Cieszono się i czekano jak na dobrego zwia-
stuna. Myśleliśmy, że w tej ciężkiej wojnie złamie kark nasz ciemniejszy, że karząca ręka sprawiedliwości już nad nim zawisła. Byliśmy wszyscy pewni, że Bóg zlituje się nad Europą i zmiażdży barbarzyństwo i pychę niemiecką. Zbliżały się żniwa i upał był niezmierny. Ludzie nie mogli jednak zająć się żniwa-
mi, bo żandarmeria zagarniała ich do kopania rowów. Nakaz na okopy dostarczał soltys, ale — jeśli znaleźli się oporni, to nawet nocami żandarmeria urządziła łapanek. Kryli się więc po różnych kątach, ale kogo z niego wyciągnięto, to bito go i wywożono.

Jednego dnia wróciłam z pola od żniw. Kosiliśmy pszenicę z Piotrem. Była ona nadmiernie bujna, splątana powojem i osta-
mi tak, że zbierać ją za kosą było nad wyraz ciężko. Byłam tak spracowana, że po przyjsciu z pola rzuciłam się jak kłoc na łóżko. Stasio też przybiegł do mnie i zasnął. Za kilka minut wbiegła do domu mama z krzykiem, że Niemcy są we wsi. Zerwałam się by się ukryć, ale już było za późno. Na podwórku było wojsko. Ci jednakże przyjechali jedynie rabować. Mnie zabrali złoty,

pamiątkowy zegarek i pierścionek, a z domu — dwie owce, miód i słoninę. Poza tym nie byli groźni.

Za kilka dni — w niedzielę — pojawili się inni. Przyjechali samochodem w pięciu. Tym razem po świnie. I tym razem mama wystawiła mnie na pierwszy ogień bym poszła, to może nie zabiorą wszystkiego. Ale oni wszystkiego tym razem nie potrzebowali. Potem — znenacka przyjechali żandarmi. Polewałam właśnie kwiaty w doniczkach (bo pokój był już pusty), gdy do mieszkania wszedł sołtys w towarzystwie żandarma. Stasio leżał na poduszce pod ścianą, przykryty prześcieradłem tak, że tylko nosek było mu widać. Nie wiem dlaczego się nie przestraszyłam. Może ten żandarm miał łagodną twarz, a może już przyzwyczałam się igrać z nieszczęściem. Gdy mi rozkazał, bym się natychmiast wybrała na okopy, poprosiłam tylko, by pozwolono mi wziąć ubranie i żywność. Za pięć minut sama przyjdę do furmanki — zapewniałam żandarma, uśmiechając się do niego. Uwierzył mi i wyszli do następnego domu.

W tym czasie wbiegła do mieszkania mama i prawie krzyknęła:

— Bierz dziecko i uciekaj natychmiast!

— Mamo, nie mogę. Przecież ciebie mogą za mnie męczyć, albo mnie dogonią bo mają przy sobie psy... Lepiej ucieknę z okopów — tłumaczyłam.

Ale mama swoje, bo jej starej, nic nie zrobią — mówiła — popędzając mnie do wyjścia.

Złapałam więc śpiącego Stasia na ręce i ze słowami:

— Zostań mamo z Bogiem — i wysunęłam się do sadu, a z niego na pola i... w zboża.

Kiedy Stasio przebudził się to mu wyjaśniłam co się stało, a ten, powiedział jak zawsze — słowami dorosłego człowieka:

— Mamo, bejde siam biegł bo tobie ciejsko, ja duzi...

— Nie, synku — odrzekłam — siadaj na barana to będzie prędej i jeden ślad.

Tak dobiegłam do lasku i usiadłam pod krzakiem. Słyszałam tylko ujadanie psów i kilka wystrzałów. Złękłam się o mamę i dręczyły wyrzuty sumienia. Za jakąś godzinę cofnęłam się znowu w stronę wsi. Doszłam do naszych łączek prowadząc Stasia za rękę. Tam, w krzakach wikliny, było kilka osób, a między nimi także nasz Piotr. Okazało się (bo dano nam wiadomość przez dzieci ze wsi), że żandarmeria odjechała z ludźmi już do następnej wsi, a wśród zabranych była także mama. Nie mogłam tego przemyśleć, więc bez namysłu zostawiłam Stasia pod opieką Piotra, a sama popędziłam do Czaplic. W tej wsi stała żandarmeria polowa. Jeden z nich przychodził do nas kupować jajka i nabiał, ale mama dawała mu bez pieniędzy, więc częstym był gościem. Do niego teraz udałam się prosząc o ratunek. Niemiec był wyrozumiały, współczuł mi, bo — jak zaznaczył — mamę lubił i przyrzekł przyjść z pomocą. Nie wierzyłam mu jednak, bo jakby po raz pierwszy przyjrzałam się jego chytrej twarzy. Oczy jego były przy tym zaropiałe, a broda porośnięta ryżą, sztywną szczeciną. Zmierzchać się już zaczynało, a ja coraz bardziej zaczęłam się jego bać i odeszłam. Nie zatrzymywał mnie nawet. Było już ciemno gdy dobrnęłam do podwórka, ale naraz szczęśliwa, bo usłyszałam głos mamy.

Mama była rozochociona na swój sposób niepohamowany. Opowiadała mi wszystko, bagatelizując całą historię. Śmiała się i wtedy, gdy mówiła, że żandarm wkrótce po mojej ucieczce zjawił się powtórnie na podwórku. Był wściekły, że mnie nie zastał, a na domiar złego zobaczył mnie na ścieżce, niosącą dziecko. Zobaczył dlatego, że wszedł na wysoki parkan i — strzelił, ale chybił. Chciał strzelić jeszcze raz, ale mama mu wytłumaczyła, że to nie ja, tylko ktoś inny. Nie mógł mnie jednak gonić, bo się bał że pozostali mu uciekną, a było ich tylko dwóch oraz sołtys na całą wieś. Zresztą sołtys... to już nie był ten sołtys. A żandarm był doprowadzony do wściekłości, bo ludzi ubywało. Kłął więc siarczyście i zabrał mamę, a ta chwaliła się, że więcej jeszcze zrobi ode mnie. Kiedy jednak była już na wozie,

w drodze zaczęła płakać. Gdy pytano dlaczego, to krzyczała, że dostała bóleści żołądka. A mamy płacz, to nie taki sobie płacz zwyczajny, ale darcie prawdziwe.

— No i... naprawdę mamę rozboleł żołądek? — spytałam.

— A gdzie tam — dziecko.... Nic mnie nie bolało, ale tęsknota mnie ogarnęła za swoimi dziećmi i płakałam sprawiedliwie — odrzekła, już zupełnie z płaczem. Ale — muszę przyznać — że ten żandarm nie był taki zły, skoro kazał mi wracać do domu. Wzięłam więc swój węzelek z żywnością i powoli zaczęłam iść, a gdy na zakręcie furmanki znikły z oczu, biegłam już pędem jak najmłodsza.

Gdy skończyła opowiadać, Stasio wgramolił się jej na kolana i całował jej twarz sepleniąc:

— Moja kochana babcia, najlepsza ze wszystkich na świecie...

Od tego czasu znowu upłynęło kilka dni. Bojąc się nocować w domu, spałam na polu w dziesiątkach, lecz jednej nocy przyszła silna burza z istną ulewą. Przemokliśmy strasznie i zbłądziliśmy, nie mogąc trafić na drogę. Nie miałam już sił dźwigać zmarznietego dziecka i nie wiedziałam w którą udać się stronę, a ciemno było że i oko wykol. Grzęzłam bosymi stopami po ścierniskach i trawach, a usiąść nie mogłam, bo mokro i zimno. Grzmoty i błyskawice co chwila rozdzierały niebo, że straciłam orientację gdzie się znajduję. Weszłam gdzieś na rozmokłe łąki i byłabym wpadła do rowu, ale Stasio ostrzegł mnie w porę:

— Mamo uwaziaj!...

Cudem Bożym tylko jedną nogą zaczepiłam o rów wypełniony wodą po brzegi. Szepcząc wciąż „Pod Twoją obronę...” tuliłam dziecko, rozcierając zmarzniete ciało i krążyłam dookoła, aż wreszcie udało mi się wejść na drogę. Był to nasz gościniec prowadzący do Szczepankowa. Do domu było ponad dwa kilometry. Gdy doszliśmy do stodoły, oboje trzęśliśmy się z zimna, ale przytuliliśmy się do siebie i zasnęliśmy kamiennym snem. Nazajutrz mieliśmy tylko lekki katar, a to groźne nie było.

Znowu całymi dniami pracowaliśmy przy żniwach. Wracalam tak przemęczona, że wprost śniło się łóżko. Mama mnie przestrzegała, że ma złe przeczucie i złe sny, ale ja nie przypisywałam do nich żadnej wagi. Położyłam przy sobie Stasia i beztrósko zasnęłam. Przebudziłam się jednakże po przespaniu pierwszego snu. Darły mnie ręce i piekły skłute ścierniskiem stopy. Zapatrzyłam się w okno, wszak noc była jasna i oczy moje spoczęły na roziskrzonym niebie. Wśród rozlicznych gwiazdnych sreber sunął samotnie blady księżyc. Tak samo samotny jak ja — pomyślałam przez chwilę, lecz od razu zawstydziłam się tej myśli.

Jak to? — Przecież mam dziecko... Przytuliłam jego główkę do ust i łzy szczęścia spłynęły mimo woli na pulchną szyjkę dziecka. Jakże był mi drogi ten bąk. Pewnie dlatego, że tyle z nim przeżyłam. A to z trudów rodzą się wielkie uczucia. Zasnęłam dopiero nad ranem, ale mama przerwała mi go krzykiem:

— Wstawaj, żandarmeria we wsi!...

Zerwałam się na równe nogi i wyjrzałam przez okno. Na ulicze przed naszym domem stały trzy furmanki, a przy nich kilku żandarmów. Będąc pewna, że przyjechali po ludzi na okopy a nie po Stasia, bez namysłu, innymi drzwiami uciekłam na podwórko, a następnie przez ogród i przykucnęłam w dziesiątku sąsiada. Poranek był mglisty, a więc i widoczność ograniczona. Ale tym razem przeliczyłam się, bo żandarmi stali rozstawieni na rogatkach wsi i widzieli każdy ruch. Mnie też zauważono natychmiast, bo za chwilę usłyszałam kroki zbliżające się do mojego dziesiątku. Serce waliło ze strachu, ale niedługo to trwało, bo w mgnieniu oka rozsunęły się snopy i w otworze stanął wysoki żandarm. Skamieniałam na jego widok, bo poznałam w nim oficera, którego popularnie zwano „oficer lubotyński”. Słynny to był drań z okrucieństwa na całą okolicę. Ale był obrzydliwie brzydki. Nigdy nie zapomnę tej maski. Był niezmiernie wysoki i barczysty, miał

długą szyję i jeszcze dłuższy — szpiczastym hełmem zakończony łeb. Spod hełmu, jak spod poszycia błyskały małe ślepia gada, osadzone nad garbatym, dużym nochalem. Sucha, duża twarz, powleczone była czerwoną, ruchomą skórą, którą przecinały granatowego koloru cienkie wargi. Przeszedł mnie dreszcz wstrętu i strachu na ten widok i nie wiem do dziś, czemu roześmiałam się wtedy na głos, bo... jakbym oglądała ludzką karykaturę.

— Fafluchter doner... — zaklął na mój śmiech i kopnął długą, sprężystą nogą, ubraną w elegancki but.

Zerwałam się z miejsca i zaczęłam cofać w stronę domu nie przerywając śmiechu. Kopnął mnie jeszcze kilkakrotnie ale mimo bólu nie upadłam i śmiałam się ciągle. Był to śmiech nienaturalny a nerwowy, którego nie mogłam powstrzymać. Weszłam do mieszkania. Niemiec dał mi spokój bo wiedział, że tym razem żywa noga nie umknie. Piotr również się ubierał. Złapano i jego, mimo że spał na polu. Mama wprost ryczała, a Stasio wiercił się na łóżku, zakryty na głowę pierzyną. Staralam się mamie przetłumaczyć, ale było to bezcelowe. Rozpaczała za Piotra, jedyną podporę gospodarki, a mnie nie żałowała, bo była pewna że im ucieknę. Wzięłam dwa bochenki chleba, trochę słoniny i całując Stasia wyszłam. Niemiec skrzywił granatowe, wąskie usta i skierował karabin do sąsiadów na podwórko, celując do szczekającego psa przy budzie. Huknął strzał i pies upadł skomląc z bólu. Niemiec splunął i poszedł do drugiej furmanki. Pewnie wyładował swą złość.

Wozy toczyły się po gościńcu wolno, wyładowane ludźmi. Prawie wszyscy płakali. Przywieziono nas do Śniadowa i zamknięto za drutami. Poczułam się więźniem. Było mi głupio i ciasno. Po kilku godzinach otworzono ciężką bramę i ustawiono nas w szeregu. A było nas dużo, bo z kilku gmin. Po obu stronach stali Niemcy z organizacji „Todt”. Ruszyliśmy. Obok mnie szło trzech szulcmanów mówiących czystą polszczyzną, że aż było mi głupio i wstyd.

Doszlśmy do miejsca przeznaczenia i zaczęto kreślić równe działki dla każdego. Na szczęście, byli obok mnie dwaj mężczyźni i oni pomagali mi jak tylko mogli. Jeden z wartowników widząc to, wysłał mnie po wodę w towarzystwie innej kobiety, bowiem w pobliżu pól przeznaczonych na okopy, leżała wieś. Towarzyszka moja płakała, że zostawiła dziecko od piersi więc kazałam jej uciekać, co bez namysłu uczyniła, ale mnie nie pytano o nią. Wieczorem przygoniono nas do Śniadowa i zamknięto w Synagodze. Wewnątrz zapanowało istne piekło. W sumie, było nas ponad tysiąc osób, bo dołączono jeszcze ludzi z Łomży. Było tam wszystkiego na przemian — lamenty bab, piski ściśniętych, klątwy, klótnie i złorzeczenia, a nad tym wszystkim unosił się monotonny, jednostajny śpiew pobożnych pieśni. Brak było powietrza i pragnienie dokuczało nieznośnie. Ktoś obok miał bańkę wody i szklankę, więc obdzielał nią spragnioną ludność, ale co to znaczyło?...

Przeciskałam się ostrożnie między ludźmi chcąc znaleźć więcej powietrza, ale nigdzie go nie było. Zaduch, kurz i różne wydzieliny leżały pod stopami i wisiały w powietrzu. W końcu udało mi się dojść do jakiegoś przedsionka. W jednej ścianie zauważyłam małą szparkę. Pomacałam palcami uważniej i jakąż była moja radość gdy zorientowałam się, że to otwór zabity deskami. Widocznie było tam małe okienko. Pomimo, że na podłodze było pełno ludzkich nieczystości, ale miałam przynajmniej trochę czystego powietrza. Udało mi się wreszcie oderwać deski. Na dworze było już szaro, tylko gwiazdy świeciły na niebie. Nikt mi nie przeszkadzał więc nabrałam śmiałości i usiadłam na parapecie okienka, wystawiając głowę na zewnątrz. O kilka kroków chodzili wartownicy. Jeden z nich uśmiechnął się nawet, a ja odpłaciłam mu tym samym. Patrzyłam na niebo. Sunął po nim srebrny sierp księżycy i błyszczały nieliczne gwiazdy. Lekkie jak puch mleczne obłoczki płynęły po firmamencie. Pachniało jesienią od pól i drzew rosnących w pobliżu. Myśl moja pobiegła

do Stasia i mamy... Co oni teraz robią?... Czy nic złego im się nie stało?... A potem wróciła dręcząca myśl: Co się stało z moim mężem? Moim Stachem?... Może również gdzieś w pustynnym namiocie myśli o mnie?... A może już dawno temu utuliła go do snu obca ziemia?... Przypomniałam sobie jego dziecinny uśmiech i pogodne czoło.

I naraz — tęsknota porwała mnie skrzydeł swoich lotem. Mimo woli zaczęłam śpiewać pieśń tęskną, upojną i brzemienną wspomnieniami. Drżała w niej nuta beznadziejnego smutku i ciągłego czekania. Głos mi początkowo drżał, był cichy, smutny i jakby trwożliwy, potem nabrał emocji i płynął faliście w przestrzeni.

Na sali ucichło. Wartownicy krążący w pobliżu przystanęli zdziwieni. Jeden z nich podszedł blisko, oparł się o ścianę synagogi i patrzył na mnie. Śpiewałam dalej zmieniając pieśni, lecz każda była tęskna i rzewna. Zapomniałam o wszystkich i wszystkim. Myśl... dusza uciekła lotem pieśni do najdroższego chłopca, kochanego męża, którego z tłumu wybrałam sama...

Zaczęło świtać i ruszyliśmy w szeregu do okopów. Nie miałam siły, a suchego chleba jeść nie mogłam. Wody nie było i do studni nie puszczali, bo sporo ludzi w ten sposób uciekło. Mimo tych trudności dałam sobie słowo, że jednak muszę uciec. Pod wieczór, dał się wreszcie ugadać jeden z wartowników i puścił nas po wodę do studni. Poszłam z jedną kobietą. Tam oświadczyłam jej że uciekam, bez względu na następstwa. Wieś stała na piaszczystej górze, a za nią ciągnął się iglasty borek. Zdjęłam z siebie czerwoną sukienkę i tylko w niebieskiej koszuli poszłam na czworakach przez łubin. Zauważyłam w oddali kilku konnych jeźdźców i słyszałam strzały, ale nie patrzyłam do kogo strzelają. Udało się.

Wieczorem wróciłam do domu. Mama ze Stasiem byli w stodole — mama objęła z nasion len a Stasio — gawędził o mamie i wujku. Ucieszyła się z mojego powrotu, ale i martwiła

o syna. A Piotr wrócił dopiero za dwa tygodnie, w niedzielę rano. Przyszedł strasznie przemęczony, ale przydzwigał jeszcze trzy szpadle. Błądził po drodze, bo uciekał wieczorem z szeregu i natknął się na niemieckie wojsko. Radości matczynej nie było końca, że wprost trudno ją wypowiedzieć.

*

Wojna na naszym terenie rozpoczęła się na dobre. Prawdopodobnie Armia Sowiecka była już blisko. Wojsko niemieckie cofało się na zachód. Najpierw szła trzecia linia, były to samochody i taksówki obsługiwane samą młodzieżą. Dużo wśród nich było Ślązaków. Wojsko to, nie wyrządzało nikomu najmniejszej krzywdy, było karne i zachowanie jego było wysoce cywilizowane. Za trzy dni wycofali się i znowu przez kilka dni było we wsi cicho. Następnego tygodnia, nad ranem, rozrywał powietrze żalosny ryk bydła, beczenie owiec i gęganie. To gościńcem pędzono zagarnięty inwentarz, a poganiaczami byli — stare i młode łamagi w mundurach. Trwało to przez kilka dni bez przerwy. Jedno stado zatrzymało się w naszej wsi i poganiacze spędzali kobiety do dojenia mleka, które odwożono gdzieś samochodem. Po nich, przejechało jeszcze wojsko pancerne i zaraz potem przyszedł rozkaz by ludność opuściła wieś i wycofała się na zachód, ponieważ wtedy będzie przechodzić linia frontu. Niektórzy ludzie usłuchali rozkazu ale większość została. Prawie każdy miał jeszcze nadzieję, że coś uratuje i dopilnuje ze swego dobytku.

Była cisza. Na niebie, wokoło widnokręgu, z małym zaledwie przesmykiem na zachodzie, rysowały się ciemne chmury dymów i pożarne łuny. Gościńcem uciekała wygłodzona i szara od pyłu ludność z kopania okopów. Poznałam jedną z mych towarzyszek niedoli. Opowiadała, że samoloty rozpylaczami ognia miały do nich i ci, co jeszcze mogli się ratować, pierzchali w ucieczce, bo i nie było już komu ich pilnować. Tej samej nocy

słyszać było straszne bombardowanie. Wybuchy i błyski były wprost nie do zniesienia. Po prostu miało się uczucie, że nie ma bezpiecznego skrawka ziemi, by się skryć. Rozdygotana ziemia drżała w konwulsjach i wszędzie czuć było śmiercią.

Mama, tego dnia upiekła jeszcze chleb. Fakt ten był dość ważny, bo mało kto o tym już myślał. Nazajutrz, od wczesnego ranka rozpoczął się bój. W tym czasie przemaszerowało wojsko z pierwszej linii. Była to piechota. Zauważyłam, że byli to prawie sami Ślązacy, bo rzadko który mówił po niemiecku. Ludność cywilna wraz z główniejszym inwentarzem wycofała się na pastwiska, za wieś. Mężczyźni wykopali duże okopy i wszyscy do nich się schowali. Mama ponaglała mnie, żebym pomogła wygnać krowy i świnie. Wzięłam więc swoją pierzynę, wsadziłam na ten tłumok Stasia i tak zgięta od ciężaru, popędzałam bydło. Co chwila rwały się w pobliżu pociski, furczały świszczące katusze i rozrywały się bomby. W górze — samoloty toczyły ze sobą zażartą walkę. A mama była zdenerwowana i uparta. Nie bała się niczego i wprost wystawiała, byleby tylko ratować swoje bydelko. Kilkakrotnie prosiłam mamę by zostawiła trzodę jak inni, bo i tak co ma być to będzie, a ważniejsze jest życie. Lecz to wszystko na nic. Kiedy przed moimi stopami rozerwał się pocisk i zakurzył mi oczy, dłużej już nie słuchałam mamy i schowałam się w okopie. Byłam nawet na nią obrażona, że wystawia na śmierć nasze i swoje życie.

Po kilku minutach płonęło już Duże Wierzbowo. Kobiety uklęknęły i zaczęły się modlić o ocalenie. Najbardziej żał mi było Marysi Jemielitówny, którą zaatakowała gruźlica. Jej mała córeczka Zosia, siedziała teraz na rękach u zapłakanej babci. A tyle przeżyć dziecinnych i z wczesnej młodości wiązało nas z Marysią... Zawołała mnie i prosiła o chleb dla Zosi, bo oni nie mieli. Nie rozmawiałam z nią długo, bo miała krwotok.

Wszyscy żyli nerwami, ale noc przeszła spokojnie. Ja nawet trochę spałam ze Stasiem na trawie, bo mieliśmy pierzynę i było

nam ciepło. Z wieczora, mama pasła jeszcze krowy, a potem już jej nie słyszałam nigdzie. Pomogłam jeszcze je doić, a mleko rozdałyśmy obecnym, ale w nocy nie miałam już sił. Rano znowu poszłam wraz z innymi do wsi po prowiant, a tu — w powrotnej drodze — rozpoczęła się strzelanina na dobre. Kule świstały koło uszu, wybuchały pociski, a ja biegłam, padałam, znowu się podnosiłam i... tak przez ponad kilometr do naszego okopu.

— Mamó moja kochana dobrze że wróciłaś — powitał mnie Stasio.

A kilka dni temu nauczył się czysto wymawiać literkę er i ciągle ją terkotał. Następnego dnia był przedziwnie jasny i pogodny. Strzały ustały, tylko dalekosiężne pociski i katusze świstały w przestrzeni. Ludzie wyszli nad umajony zielenią okop i rozmawiali albo modlili się. W tym czasie zauważyłam wychodzące z kartofli krowy i poznałam, że to nasze. Za nimi biegła mama. Już z daleka zaczęła mnie strofować, że ją zostawiłam w tak ciężkiej chwili. Zamiast odpowiedzi, wzięłam swój tłumoczek na plecy a Stasia za rączkę i powlokłam się za mamą na naszą łąkę. Tam, w rowie, leżał nasz Piotr. Spętałyśmy z mamą krowy i zaczęłyśmy je doić mimo świszczących wokół kul, bo mleko było potrzebne a i krowy cierpiały. A tu niebo drży od ciągnących samolotów ze wschodu na zachód. Za chwilę — leciały już z zachodu na wschód, ale chyba inne, bo posypały się kule jak ołowiane krople deszczu. Schowałam się za stertę zboża, ale tuż obok, w kartoflach, uderzył pocisk przysypując mnie ziemią. Ocknęłam się czując zapach dymu. To paliła się sterta żyta, pod którą stałam przed chwilą. samoloty odleciały na wschód, a ja obmacałam się i ze zdziwieniem stwierdziłam, że jestem cała. Opodał usłyszałam krzyk mojej mamy. Stała za drugą stertą ze Stasiem. Piotr również podniósł głowę z pobliskiego rowu. Zdziwieni byli oboje, że żyję.

Niedługo potem, już wojsko sowieckie wzięło nas pod ostrzał. Tym razem wzięto na cel Piotra. Kule padały jak grad na

naszą łączkę pokrytą gdzieniedzie krzakami, za którymi żeśmy się schowali i — nie wiadomo gdzie przed nimi uciekać. Jakim cudem nasza czwórka wyszła z tego cało, to tylko jeden Bóg wiedzieć raczy. Po tej opresji nie czekaliśmy już dłużej — wróciliśmy do wsi i ukryliśmy się w piwnicy Jemielitych. Było w niej również kilku rannych Niemców, których odwożono do polowego szpitala. Wieczorem przybyło jeszcze kilka osób, a nazajutrz rano jej właściciele — Janek, chora Marysia i ich matka. Potem nadeszła stryjów Stasia z dziećmi siostry — Januszem i Renią.

Dzień był znowu pogodny i tylko od czasu do czasu przeleciała jakaś zbłąkana kula. Długo jednak nie trwało nasze panoszenie, bo po kilku godzinach przyszli wojskowi i kazali się wynosić, bo piwnicę zajmowała starszyczna. Poszliśmy do Ładów. Byli to ludzie z kolonii Uśnik, ale zabudowanie ich stało w pobliżu naszej wsi. Oni również mieli dużą piwnicę na podwórku. Napakowało się do niej wiele osób. Leżała tam już Marysia. Jęczała cichutko. Podeszłam do niej bezradna i próbowałam pocieszyć, a głód zaczął wszystkim zaglądać w oczy. Ludzie nie mieli żadnych zapasów, wszak nikt nie przypuszczał, że front się tu utworzy i w ogóle... że Niemcy będą tu stawiać opór. Każdy był pewny, że wokół rzek czy większych miast oprze się wojsko, a tymczasem, zachciało się okupantowi wybrać tak niepozorny szlak. Na szczęście, gospodarze mieli trochę zapasów, więc ja z Lucyną Ładów gotowałyśmy duże garnki i dawałyśmy do spożycia, a mama dzieliła resztki naszego chleba.

Przyzwyczałam się już igrać ze śmiercią i strach odleciał zupełnie. Jedynie, z krótkimi przerwami, bój się ciągnął. Czasami zdawało się nam, że za chwilę z naszej piwnicy zerwie się murowana pokrywa. Wprost istne piekło — z dołu i z góry. Od bomb i pocisków trzęsła się ziemia i wszystko wokół. Kobiety odmawiały różaniec, a strwożone dzieci trzymały się matczynych sukien. Jednakże w momentach, kiedy zdawało się, że wprost ziemia i niebo ryczą z bólu... niemal każdy zamierał w bezruchu.

W ten sposób minęło trzy dni. Czwartego — przyszło wojsko niemieckie i znowu wypędzono nas z piwnicy. Jeden z oficerów wybrał mnie i jeszcze jedną mężatkę byśmy zostały, ale żadna z nas nie skorzystała z tej łaski. Wyszliśmy jak gęsi na pole, nie wiedząc co z sobą dalej począć. Kopać okopę musimy — zaczął ktoś. Wykopano ją na naszych łączkach. Była obszerna, ale nakryta ledwie chrustem i ziemią, weszliśmy do niej jednakże. Noc była dość spokojna. Gwieździsta, jasna chłodna, wionęła jakąś grozą tajemną. Prócz nas przywlokło się jeszcze kilkoro tułaczy, tak że okopa była nabita ludźmi jak szpilkami. Miałam nawet niezły humor, bo siedziało przy mnie dwóch młodych chłopców, którzy byli dowcipni. Żartowaliśmy więc w trójkę, jakby nic nikomu nie groziło.

Nad ranem rozpoczęło się bombardowanie. Wszyscy schowali się do okopy i modlili, wtórując za jedną kobietą, która była szczupła i miała gardłowy, nieznośnie niski głos. Nasza trójka śmiała się jeszcze. Uspokoiliśmy się dopiero, gdy baby i dzieci zaczęły beczeć, bo wszystko wokół drżało jak w febrze. Rano, na pozór znowu było cicho. Wyszliśmy ze Stasią szukać chleba dla swoich dzieci. Poszliśmy w różnych kierunkach. Znalazłam tylko pół bochenka w sieczkarni na uśnickiej kolonii i oddałam go dla małej Zosi. Jednak mało nie przypląciłam tego życiem, bo zbłąkany pocisk rozerwał się tuż przede mną.

Powędrowałam dalej, do naszej wsi. Niemcy byli okopani prawie na wszystkich podwórkach. Najwięcej bunkrów było w naszym sadzie. Nie zabraniali mi jednak wędrować po wszelkich zakamarkach, więc nazbierałam czubaty fartuch różnych ułomków chlebowych i bułek, i wracałam, niczym z cennym skarbem. Na łączce, koło naszego schowku, spotkałam „Marysię z Konopk”. Była niepodobna do istoty żywej, tak ją ta noc wyczerpała. Zakurzona, brudna, w rozchełstanej na piersiach i podartej bluzce, z jeszcze większym oblędem w oczach niż

zwykle. Przekrwione ze zmęczenia oczy utkwiała we mnie, a sine, cienkie usta skrzywiły się grymasem strasznej krzywdy.

— Oni to niedobre, nie lubią mnie, męcą, ale ty dobra a nie das mnie jeść?... A ja jus nie mam siły z głodu... — zaczęła straszną wymówkę.

— Marysiu kochana, czy ja wiem gdzie ciebie szukać? — odparłam, dając jej pajdę chleba i zapraszając do okopy, ale ta rzuciła się na chleb z ogromnym apetytem i już nie było z nią mowy.

Dzień znowu minął cicho i tylko noc rozszalała się jeszcze bardziej niż poprzednia. Nikt się już nie śmiał i nie sprzeczał, wszyscy się modlili odmawiając „Pod Twoją obronę...”. Dopiero po północy usłyszeliśmy ciężki, przytłumiony warkot. Poczęto radośnie wołać, że zbliżają się sowieckie czołgi. Mama z tej radości wyjęła ostatni bochenek chleba i trochę gotowanego mięsa, które trzymała na „czarną godzinę”. Obdzieliła wszystkich tym ostatkiem, tylko... „Marysi z Konopk” nie było między nami.

Rano, rozczarowaliśmy się niezmiernie na widok czołgów i samochodów niemieckich. Wojsko wycofało się ze wsi, a osaczyło koło naszej okopy na łące, w krzakach. Poszliśmy więc wszyscy do wsi, lecz ledwie doszliśmy, gdy ziemia znowu zadrżała od wybuchów. Wpadliśmy więc, gdzie kto zdążył — do bunkrów, do dołów po pociskach... W tym strasznym zamieszaniu zobaczyłam mamę jak biegła za krowami, które chciały wejść do obór. Bała się, że spłoną, gdyby obory się zapaliły. Na ten widok serce mi zamarło, choć i... wszyscy czekaliśmy na śmierć. Po jakiejś pół godzinie tej wścieklej kanonady ucichło znowu. Do naszego dołu przyskoczył młody żołnierz niemiecki, pytając po polsku: — Życie?... I zdziwiony był, bo dookoła nas kilkanaście pocisków zryło wprost podwórko. Dał Stasiowi bułkę chleba i kazał nam iść do piwnicy, która była wolna. Zebraliśmy się znowu w piwnicy Jemielitych. Wszyscy byli żywi — nikt nie zginął.

Znowu rozsypaliśmy się gromadzić żywność. Mama gotowała mleko, ja skubałam i gotowałam ze Stasią gęsi. Znalazły się

jabłka, gruszki i ogórki oraz kilka kawałków chleba po niemieckim wojsku. A tu — następna nawałnica. Samoloty latały bardzo nisko i widziały nas, kręcących się wokół zabudowań, nic więc dziwnego, że otworzono do nas ogień z czego się tylko dało. Był to najstraszniejszy ostrzał ze wszystkich, które przeżyliśmy dotychczas. Wieś zamieniła się w morze płomieni a ostrzał nie ustawał. Właśnie w chwili, kiedy paliły się już drzwi do naszej piwnicy, wpadł Czesiek — brat stryjeczny, po nim inny i nasz Piotr. Ten wszedł spokojnie, jakby wracał od ciężkiej pracy. Miał popalone ręce, bo ratował bydło i konie oraz zboże z ognia płomieni. Czesiek był wystraszony, ponieważ siedział w swojej piwniczce pod domem, a kula trafiła w komin, który zawalił się prosto na wejście tak, że ledwie się wydostał z tej kupy gruzów. Ochłonawszy nieco przypomniał sobie, że Janek Jemielitych wołał Piotra i pewnie jest ranny, bo krzyczał. Jemielicina zaczęła płakać, chora Marysia poruszyła się na słomie, ale jakby nie rozumiejąc wiele — odwróciła mgliste oczy do ściany. Chude, sine, długie palce jej rąk poruszały się machinalnie, jakby przesuwwały paciorki różańca. Za jakiś czas, usłyszeliśmy z zewnątrz głos naszego Piotra: — Otwórzcie!... i wniósł rannego Janka.

Dźwigał wyższego od siebie mężczyznę i jeszcze bardziej ciężkiego. Niósł go pod gradem kul i przez ogień ponad pół kilometra, a twarz miał spokojną jakby to była drobna przygoda i — olśnił mnie wtedy sobą. Nawet nie pozwolił by mu dziękowano, lecz zaraz się ulotnił by ratować palące się na klepisku żyto. Janek jęczał z bólu — miał złamaną kość udową i poszarpane ciało. Wiedziałam, że teraz kolej przyszła na mnie, bo nie można było zostawić go bez opieki.

Zapadł zmierzch. Noc była chmurna i wietrzna. Z naszej wioski prawie wszystko spłonęło, sterczały jedynie kominy i zręby murowanych obór. Janek skarżył się na bóle brzucha, więc pocałowałam go w czoło i obiecałam, że przyprowadzę lekarza. Jednak wymówić a wykonać... to wielka różnica. Ale

uważałam, że jest to mój obowiązek. Wysłałam w pole i rozejrzałam się dookoła. Po namyśle, skierowałam się w stronę kolonii uśnickiej uważając, że skoro tam mieści się starszyzna, musi być w pobliżu i szpital polowy. W nocy, samej młodej kobiecie iść do wojska — nie było to zbyt przyjemne, lecz i... nie było czasu do namysłu. Dostałam się do piwnicy, w której teraz mieścił się sztab, prosząc o ratunek. Wśród nich był oficer w stopniu kapitana, który mówił po polsku. Był to młody, o szlachetnym wyglądzie człowiek. Natychmiast wysłał z noszami dwóch żołnierzy i sam poszedł ze mną. Rozmawialiśmy przez drogę. Pytał się, kim jest dla mnie ów ranny chłopiec. Powiedziałam prawdę, że — obcy, ale przecież nie zmienia to postaci rzeczy. Nigdy nie zapomnę tego oficera — był dżentelmenem w każdym calu. Sam chwycił za nosze i pomagał na zmianę nieść. Położono Janka w polowym szpitalu i zaopiekowano się tak, jak własnym żołnierzem. Marysi — na moją prośbę — ów oficer zostawił paczkę pastylek od płuc. Rozmawialiśmy oboje jeszcze dość długo. Poradził mi, byśmy uciekali nad Narew, ponieważ w tym miejscu front potrwa jeszcze z kilka tygodni. Na pożegnanie powiedział: Ufaj mi małeńka, że ja nie skrzywdzę twojego rannego. Zostań z Bogiem i wracaj do swoich. Nie wszyscy jesteście jednacy... przebiegło mi przez myśl.

Nazajutrz, postanowiłyśmy ze Stasią wyruszyć do Czartorii. Przyłączyła się do nas Jemielicina z małą Zosią. Mama nie chciała nawet słuchać o ucieczce — została na miejscu z dobytkiem i Piotrem. Żal mi było chorej Marysi, ale ona była już obojętna na wszystko. Mama niezbyt łaskawie zapatrywała się na moją podróż, lecz nie mogła mnie przekonać. Przepasałam się swoją dereczką ze Stasiem, Stasia wzięła Renię z Januszkiem, a Jemielicina Zosię i powędrowałyśmy — trzy przybrane matki. Droga była daleka ale nie nudna, bo cieszyłyśmy się, że wreszcie człowiek nie słyszy tej przeklętej wojny.

Jemielicina została w Miastkowie u siostry, a my poszłyśmy dalej, do Jadzi. Tu nie było czuć wojny, tylko wciąż ciągnęły się

oddziały wojska. Było bardzo dużo uciekinierów z różnych stron. Między innymi poznałam i panią Borkowską — dziedziczkę z Radgoszczy. Niezmiernie się uradowałam widząc tę kochaną przez siebie kobietę. Rozmawiałyśmy z nią kilka godzin, siedząc na balach drzewa w podwórku. Miała tak samo jak zawsze słodką twarz, w której płonęły błękitne oczy o prawdziwie świętym wyrazie. Przy tym — była tak naturalna, że podziwiałam w tej kobiecie prawdziwe arcydzieło Bożych rąk.

W Czartorii było nam dość dobrze. Na noc szliśmy do lasku w doły po kartoflach, a w dzień płatałyśmy się ze Stasią i Jadzią we wsi. Genia (bo też z nami przyszła), mąż Jadwigi — Olek i jeszcze jeden nieznany człowiek, którego przygarnęli — siedzieli w dole razem z dziećmi. Bali się, by ich nie zagarnięto do kopania okopów. Byłyśmy odważne, ale ktoś wreszcie musiał gotować jeść i doglądać pozostałego inwentarza. W kilka dni po naszym przyjeździe przybył Czesiek — brat Stasi — i od razu zabrano go do kopania okopów. Ja cudem się wywinęłam, bo złapałam dziecko na ręce i darowano mi, jako matce. Po tym fakcie przyszedł i nasz Piotr, ale był tylko dzień, bo Jadwiga uniosła się gniewem, że tylu chłopów leżało w dole i pozwolili, by jej ukradziono nowe pantofle. Piotr uważał, że to pretekst pod jego adresem i mimo jej prośb, odszedł do ciotki, do Grądów.

Jednego wieczoru nabrałyśmy ze Stasią już tyle śmiałości i odwagi, że pozwoliłyśmy sobie nocować w domu. W mieszkaniu była słoma rozpostarta na podłodze i paliło się w piecu (bo Jadzia upiekła chleb) tak, że nie chciało się nam zupełnie stąd ruszać. Śpimy więc sobie na dobre, aż tu naraz ktoś wali we drzwi i wrzeszczy, żeby otworzyć. Usiadłyśmy przestraszone, aż ja szepnęłam:

Uciekajmy oknem... i po cichu otworzyłam je, wypychając Stasię pierwszą. Na szczęście nikogo w pobliżu nie było, ale dom był bez ogródka, a za następną ścianą były wejściowe drzwi, przy których stało wojsko. Wyskoczyłyśmy jak dwa cienie i zgubiłyśmy

się, pędząc każda w swoją stronę. Ja zabiegłam aż na pastwiska do rzeki. Dopiero później zastanawiałam się nad tym nierozsądnym biegiem, wszak mogłam przypłacić to życiem, bowiem cały pas nadrzeczny był zaminowany. Gdy zorientowałam się w sytuacji, cofnęłam się, ale niestety, nie mogłam się zorientować gdzie się znajduję. Dokoła były pastwiska i lasy, a w dali czekały psy. Poszłam więc na przelaj, byleby nie zmarznąć, bo noce były już dość zimne, a ja — lekko ubrana. Doszłam wreszcie do jakiegoś drogi zarośniętej krzewami. Namysławiając się w którym kierunku mam pójść, nagle usłyszałam tętent kopyt końskich. Zauważyłam (bo noc była jasna), że konnica jakby wyrastała spod ziemi, że ledwie zdążyłam przykucnąć w jednym z krzaków leszczyny. Sądziłam, że to potrwa krótko, a tymczasem zdrętwiałam już z zimna i wrażeń, a końca nie było widać. Po konnicy szła piechota, następnie artyleria i Bóg wie co tam jeszcze. Zdawało mi się, że do rana będą tak szli i szli, a samoloty — oświetlały jeszcze cały ten przemarsz. Nikt mnie jednak nie zauważył, tylko ja nasłuchiwałam się niemieckich i ukraińskich klątw.

Gdy wreszcie to wszystko przeszło mogłam się rozprostować i idąc, rozgrzać zziębnięte ciało. Doszłam na skraj jakiegoś lasu, więc weszłam w gęstwinę chcąc w nim przycupnąć, lecz zauważyłam w pobliżu jakieś światelko. Podchodząc bliżej przekonałam się, że to zabudowanie jakiegoś gospodarza. Obok stodoły stała sterta zboża, więc ucieszyłam się, że się w niej rozgrzeję i odpocznę. Nagle, znowu mignęło jakieś światelko, a nad lasem przeleciały samoloty oświetlając teren. Zauważyłam na podwórku konie i wojsko, wśród których chodził chłop z latarką.

Nie mam już pojęcia jaki obwód koła zataczałam tej nocy, by kilkakrotnie wracać do tego samego punktu, aż nabrałam pewności że tym razem, trafię do naszej okopy.

I — niestety — znowu zbłądziłam. Na szczęście, natrafiłam na dziesiątek zboża i ze zmęczenia zasnąłam w nim od razu. Spałam jednak krótko, bo obudził mnie poranny chłód. Na dworze

było już widno, tylko mgła rozpościerała się niczym pajęczyna, na wierzchołkach drzew. Wygramoliłam się z dziesiątka chcąc się zorientować w okolicy i... jakież było moje zdziwienie, gdy zobaczyłam pasące się konie i krowy naszej Jadwigi. Okazało się, że byłam zaledwie kilkanaście metrów od naszej okopy, a jednak nie mogłam do niej trafić. Stasia już spała, bo też wróciła przed chwilą. Opowiedziała mi swoje przygody i uśmiełyśmy się z siebie. Jej szczęście bardziej sprzyjało, może dzięki jej rozwadze, bo nie pobiegła daleko lecz ukryła się w pobliskim krzaku bzu. Słyszała jak żołnierze stukali do drzwi i okien, a zobaczywszy jedno z nich otwarte — weszli do środka i splądrowali cały dom klnąc głośno, gdy nikogo nie znaleźli. Kiedy wreszcie odeszli, przeniosła się do piwnicy, przykrywając beczką. Wykombinowała bowiem sobie, że przynajmniej ciepło które wytworzy, będzie wyłączną jej własnością. No i — przesiedziała tak do rana, jak kurczę w jajku. Było mi trochę przykro, że uciekła myśląc tylko o sobie, ale taką już miała naturę i nie pierwszy raz to się jej zdarzyło.

*

Po kilku dniach od tamtego czasu zdziwiła nas cisza w nocy. Nie było słychać odgłosu strzałów ani samolotów oświetlających teren. Rano, zobaczyliśmy w pobliżu żołnierzy radzieckich. Tego samego dnia kazano nam usunąć się ze wsi. Poszliśmy więc gromadnie do Miastkowskiego lasu. Było w nim już pełno uciekinierów. Zostawiłyśmy więc tam Jadwigę z dziećmi, mężem i inwentarzem, a same z dziećmi wróciłyśmy do Wierzbowa. Po drodze wzięła nas ciężarówka sowiecka i podwoziła pod sam dom. Był w niej szofer i kapitan Wasia — obaj bardzo mili ludzie. W domu był już Piotr. Mama była ciężko ranna. Leżała u najstarszej córki w Młyniku. Wiadomość ta wstrząsnęła mną do głębi. Powiedziałam nawet Piotrowi że to przez niego, bo

kazał mamie gonić za sobą krowy, które i tak przepadły, więc był na mnie obrażony.

Jeszcze tego samego dnia zostawiłam dziecko ze Stasią i sama poszłam do mamy. Leżała na łóżku w czystym pokoju Marysi. Wojna tamtędy jakby nie przechodziła, tak wszystko było na swoim miejscu. Mimo to, na mój widok, mama rozplakała się jak dziecko. Skargom i narzekaniom nie było końca. Noga mamy miała kość całą, tylko mięśnie w łydce wydarte. Krwawiła strasznie i bolała nieznosnie. Doktora żadnego jeszcze nie było, mimo że upływał już trzeci dzień. Ucałowałam więc mamę nie chcąc słuchać dłużej, bo trzeba było poszukać lekarza.

Ale gdzie?... Przypadkowo dowiedziałam się, że w Szczepankowie stoi wojsko radzieckie, które ma przy sobie felczera. Poprosiłam Marysi Bolka by pojechał tam ze mną, albo dał mi konia z wozem. Propozycja moja została poparta jedynie drwinami i śmiechem, że... jeszcze konia by mu zabrali. Było mi głupio i smętnie. Gdy ją raniło, była sama na pustym polu. Przeczółgała się do jakiegoś dołu i tam zemdlła. Po odzyskaniu przytomności, sama oderżnęła sobie poszarpane ciało brzytwą, a następnie obandażowała czystą, lnianą koszulą. Koszulę nosiła w węzelku na wszelki wypadek, a brzytwę — dla kochanego Piotrusia, by się golił i wyglądał po ludzku. Dopiero nazajutrz odnalazł ją Bolek i przywiózł na ręcznym wózku do swego domu.

Dziecko ty moje kochane, zabierz mnie stąd na moje śmieci, na moje pogorzelisko, bo ja chcę być przy tobie — łkała, gdy całowałam jej chropowate, blade już dłonie i rozczesywałam jej rozwichrzone włosy.

Idąc boso, wyczerpana poprzednią podróżą, z lękiem patrzyłam na tarczę słoneczną, że tak śpiesznie opada na horyzont. Rzeczywiście, w Szczepankowie lekarz był, ale mógł jedynie na miejscu zrobić opatrunek. Należało chorego przywieźć. Przywieźć?... Ale czym?... Piotr nie miał koni, bo mu zginęły, a Bolek nie chciał dać... więc jak?... Prosić ich po raz drugi już nie umiałam.

Po zachodzie słońca dowlokłam się do domu. Dom nasz nie spłonął, a stał jego dziurawy zrąb, bo belki z niego powyciągano na okopy i Piotr zaczął już go trochę łątać. Nazajutrz poszłam do Śniadowa, do apteki. Była już czynna. Miałam ze sobą słońnię, którą wymieniłam na lekarstwa i wróciłam do domu. Piotr w tym czasie odkopał nasze ubrania i bieliznę, więc miałam się w co przebrać. Odświeżona, wybierałam się do mamy. W tym właśnie momencie przyjechał nasz już znajomy, kapitan Wasia. Jechał właśnie w tym kierunku i chętnie mnie zabrał. Podjechałam więc ciężarówką pod sam dom siostry. Wasia dał mamie puszkę konserw i dużą czekoladę. Przebrałam mamę w czystą bieliznę, obmyłam i uczesałam oraz przewinęłam zakrwawioną nogę. Był to mój pierwszy w życiu opatrunek. Było mi słabo i mdło, ale przemogłam się. Noga była spuchnięta i poszarpana, obdarta niemal cała łydka. Krew płynęła jeszcze, ale bardziej już — przytęchła ropa.

Mama leżała cicho, tylko łyzy jej ciekły z wyblakłych oczu.

— Aniele mój... — wyrzekła matczyisko, chcąc mnie pocałować w rękę.

Przytuliłam ją jak małe dziecko...

Zdawało mi się, że teraz ją znalazłam... tę matkę, której od dziecka szukałam... i dało mi ją nieszczęście, dał ból. Nie dzieliła nas już różnica przekonań, nie łączyła jedynie krew, lecz coś silniejsze nad wszystko — serce. Mogłam jej okazać, że nie chcę od niej nic... dając. Nie zrozumiecie tego wy wszyscy, którzy mieliście i macie to ciepło... Mówię do tych, których serce płonie strasznym głodem miłości. Bo... byli ze mną i we mnie, wszak czuli i przeżywali tę pustkę, to błąkanie się w rozdrożach.

— Mamo moja... — mówiłam Jej, chcąc nadać swym słowom prostotę, dobroć i ten swoisty wyraz, jakim każde dziecko darzy matkę.

Byłam z nią sama. Zabrałam do domu, opatrywałam... Było mi ciężko... czasami nawet bardzo ciężko, bo i człowiek

w chorobie staje się z czasem złośliwa i kapryśna. Co trzeci dzień trzeba było przewijać nogę bo inaczej, rana była pełna robactwa. Wozila ją do sowieckiego polowego szpitala, ale cóż... zrobiono jedynie dwa razy opatrunek, a do szpitala przyjąć nie chciano, bo i rannych żołnierzy było wielu, więc powróciliśmy od stryja z Jakaci do domu.

Piotr już jakoś go sklecił, objając nagi zgrabnym czym się dało i poszył słomą dach. Gościnność naszą znano jednak tak, że sami nie zdążyliśmy skorzystać z tej wygody. Przyjeżdżano do nas ze wszech stron. Walili się liczni krewni i znajomi. Przyjechała Jadzia z całym gospodarstwem (bo powtórnie usunięto ich ze wsi), ciotka Zaleska z rodziną, Olesia — mamy mojej cioteczna siostra — ze swoim szwagrem, Szewczykówna z mężem i dziećmi (nasza cioteczna siostra) i wielu innych powinowatych. Dzielił się ze wszystkimi czym było, ale nie starczyło tego na długo. Ludzie spali na podłodze pokotem w dużym pokoju, a ja z mamą i Stasiem na jednym łóżku w małym pokoiku. Kiedy przyjechała Jadzia, wstawiła po drugiej stronie swoje łóżko i spali na nim we czwórkę. Piotr sypiał przy piecu, a ciotka obok, przy kuferku na swoich tłumokach. W dzień, uciekinierzy kręcili się po polach za bezpańskimi kartoflami i ziarnem pszenicy.

Noce były już chłodne a dni krótkie. Kopiać z Olesią kartofle mogłam z nią sobie porozmawiać. Była mała, prawie karłowata. Głowa jej i twarz — jakby na przekór kręgosłupowi — była duża, lecz mimo braku urody sympatyczna. Rozmawiałam z nią z wielką przyjemnością i nic dziwnego, że mój ojciec bardzo ją cenił. Opowiadała mi całe fragmenty z życia moich rodziców. Mówiła ze łzami w oczach o śmierci mojego ojca.

— Umierał — dziecko — tak, jak umierają święci, cicho i spokojnie... — rzekła z przekonaniem w głosie. Przesuwała mi, jakby przed oczami, jego życie i wartość sumienia. Dowiedziałam się, że ojciec mój modlił się całe życie o śmierć w dniu Matki

Bożej i rzeczywiście umarł trzeciego maja, w dniu Królowej Korony Polskiej.

— Podobna jesteś do ojca jak kropla wody, tylko w matkę jesteś prędką... — zakończyła z westchnieniem.

— Może będę spokojniejsza jak więcej przeżyję, ciciu — odrzekłam łagodnie.

*

Mijały dni niezbyt przyjemnie, bo nie było w domu ciszy. Straszono nas i ciągle wypędzano, a jeszcze na dobitkę Jadzia z ciotką Zaleską furczały na siebie jak dwie kotki. Ciotka Zaleska bardzo lubiła „Piotrula”, mnie i mojego Stasia. Natomiast Stasio nie odstępował chorej babci mówiąc, że jego też boli noga i odgadywał się, gdy kazałam mu wstać. Z babcią jadł, spał i uważał za swój obowiązek by jej pilnować. Obie babcie — rodzone siostry! — siebie nie lubiły, ale Piotra i Stasia kochały bezgranicznie.

Na sierotach świat stoi... mówiła ciocia Zaleska, całując mojego Stasia. Irenka Jadwigi nie dawała się tak lubić jak on. Była prawie pół roku starsza od niego i mieli już ponad pięć lat, ale Stasio wprost ujarzmił serce. Podobno, żydowskie dzieci mają ten szczególny dar. Stasio wyglądał dobrze, pomimo złego odżywiania, tylko stał się bardziej ociężały. Jeżeli któryś z krasnoarmiejców podarował mi puszkę konserw, to dzieliłam ją między ich dwoje. Myśmy jedli prawie same kartofle, przepłatane grochem i kapustą.

Dni były długie i nieznośnie męczące, bo ciągle nas wypędzano. W naszej wsi stał sztab NKWD i nie wolno było w pobliżu mieszkać cywilnej ludności. Dzięki chorej matce zostaliśmy na miejscu, lecz co kilka dni nieznany oficer nas usuwał.

Przyszła zima. Mamie było już trochę lepiej, lecz rana się nie goiła i przez cały czas leżała w łóżku. Nareszcie wojska przerwa-

ły front na Narwi i wysiedleni ludzie mogli wracać do swoich wiosek. Pojechała i Jadwiga... na puste podwórko, bo jej dom rozebrano na umocnienie okopów. Potem wróciły z Prus dzieci ciotki Zaleskiej i też odjechali do domu. Zostaliśmy sami. Byliśmy biedni zupełnie. A na domiar złego, jacyś hultaje z NKWD zabrali mi jedyną ciepłą rzecz — futro. Jeszcze dranie strzelali do Piotra, a kula utkwiała w stojącej obok niego dzieży. Będę miała jeszcze ładniejsze — mówiłam na pocieszenie — kiedy Stach powróci z wojny. Człowiek zdolny jest przeżyć tyle, ile musi. Głazy skruszeją od ciosów, a człowiek trwać będzie bez zmian. Tylko stare przysłowie przestrzega, że... nieszczęście zjawia się wtedy, gdy najmniej się go spodziewamy.

Nina, Wierzbowo 20 III 45 r.

Tomik IV

(rok 1945)

Cóż, może ciekawi Was, jak wygląda ludzka wdzięczność w ujęciu praktycznym?... Mówiłam już poprzednio o pewnym starszym człowieku — nędzarzu... Karmiłam go tak jak innych nieszczęśliwców w czasie okupacji niemieckiej i pomogłam przeżyć przykry okres. Zjawił się ów człowiek u mnie zaraz po wkroczeniu Armii Czerwonej. Nie poznałam go absolutnie i gdyby sam mi nie przypomniał szczególniejszych faktów, nie przyszłoby mi nigdy do głowy, że jest to ta sama osoba. Nic dziwnego, człowiek ów zmienił się zewnętrznie i wewnętrznie. Wygolony (a przedtem miał brodę), umyty, uczesany i ubrany czysto, stał się o kilkanaście lat młodszy. Poza tym nabrał śmielszych ruchów i swobodnego zachowania. Nie dziwi mnie to zupełnie, wszak dla niego było to drugim narodzeniem. Przez kilka lat żył pod grozą śmierci, w ustawicznym strachu, niepomny dnia ni godziny, jak tropione zwierzę, które musi wyjść z kryjówki za pożywieniem, choć wie, że może przyplacić to życiem.

Okazało się, że — istotnie — był on dziadkiem mojego Stasia. Stasio bał się go początkowo, ale ten przynosił mu ciasteczki, ciastka, bułki i dziecko nabrało śmiałości. Cieszyłam się więc, że chłopczyk ma okazję poznać swoją rodzinę. Dziadek opowiedział o swych córkach (matce i ciotce Stasia), które zostały rozstrzelane przez żandarmów. Został mu jedynie syn imieniem Siolen. Mimo tragedii jaką przeżyli, dziadek Stasia był zupełnie normalny — został na pewno taki sam, jakim był przed wojną. Był to człowiek niski wzrostem i niski moralnie. A może tylko mnie tak się wydaje...

Jednego razu dziadek zagadnął mnie:

— Pamięta pani o tym, co kiedyś mówiłem, żeby pani wychowywała Stasia, to psijdzie cias, że oboje się pozienimy.

Istotnie, pamiętałam wyraźnie ów wieczór gwiazdzisty, kiedy dając jemu jeść błagałam Boga o litość nad Żydami. Wtedy właśnie, głośno cmokając i grzebiąc łyżką w talerzu rzekł:

— Jak psiezyje to się za tego dzieciaka z panią ozienie.

Pamiętam, gdy nie wierząc własnym uszom przyglądałam się uważniej człowiekowi (który wtedy bardziej przypominał pół-malpę) patrząc z politowaniem, że... oszalał pewnie. Tymczasem on nie był wcale szalony — raczej ja naiwna. Teraz przypomniał mi to znowu i pytał, czy może liczyć na moje słowo i rękę. Trudno, ale nie zdołałam zachować powagi, śmiejąc się do rozpuku.

— Z ciego pani się śmieje? — spytał.

— Z pana! — odpowiedziałam szczerze. — Przecież w zupełności mogłabym być pana córką, a poza tym — jestem mężatką...

— To wsistko nic moja pani — zaczął na nowo, nie zrażając się moim śmiechem — to wsistko nic... Inaczy nie będziemy mogli się pogodzić... Pani tego dziecki moja... wnućki moja... Ja za to musi się z panią ozienić. Ja kochać Stasia z całej dusi i chcieć żeby on miał matki... To dla niego i pani go kocha i dla niego ze mną będzie żyła — wyklarował niemal jednym tchem.

— Proszę dać mi spokój i więcej czegoś podobnego nie chcę słyszeć — odpowiedziałam już zdenerwowana.

— Dobzie. W takim chazie ja po swojemu będę się kiechował — odpowiedział też podniesionym głosem i oczy mu się zwężyły, a na ustach pojawił się drwiący wyraz.

Dotrzymał słowa i... następnego dnia przyjechał furmanką z eskortą milicji. Kopalam na polu kartofle kiedy usłyszałam krzyki na naszym podwórku. Tknięta złym przeczuciem rzuciłam motykę i przybiegłam do domu. No i już na podwórku zobaczyłam rozgrywającą się scenę. Stasio płakał, dziadek wymyślał na nas, a świeżo upieczeni milicjanci grozili. Piotr zdenerwowanym

głosem coś im wyjaśniał, a przez ścianę przebijał się lament mojej mamy.

Nie wiedziałam co mam robić, po prostu przygwoździła mnie do ziemi ta sytuacja. Z przyzwyczajenia raczej niż z poczucia obowiązku starałam się w dobry sposób naświetlić sprawę, że to tak nie po ludzku, ale nic nie pomogło. Żyd beczał, wymyślał, przysięgał i nie było z nim żadnej rozmowy. Ubierając dziecko zwróciłam się do jednego z milicjantów o wyjaśnienie.

Był to młody, inteligentny Żyd. Powiedział mi, że oni mają rozkaz zabrać Stasia i oddać go dziadkowi. Cóż było robić?... Wzięłam Stasia za rączkę (bo bał się panicznie) i usiadłam z nim na furmance aby go odwieźć. Żal mi było dzieciny że płacze, więc chciałam po drodze mu wytłumaczyć że tam będzie mu dobrze, że ja go kiedyś zabiorę, ale... sama byłam ledwie żywa.

Pamiętam jeszcze płaczącego Siolena, który mnie bronił, przypominał ojcu że ich żywiłam bezinteresownie. Później był wrzask i pisk mnóstwa Żydów, jakieś głosy uznania i pochwały w moim kierunku, pytano o cenę... Nie wiem jak wyszłam i co było dalej, dosyć, że na jednej z ulic Śniadowa podnoszono mnie i oblewano wodą. Dziś, też nie wiem czemu to przypisać, że miałam siły dojść pięć kilometrów do domu, zająć się chorą matką, a przede wszystkim nie zwariować z tęsknoty. Przecież ustawicznie myślałam o tym, że Stasio płacze i woła:

— Mamo ratuj, bo się boję.

Minęło tak kilka dni i wreszcie, nie mogąc dać sobie rady, sama poszłam do Stasia. Radości naszej wspólnej nie było końca i nie mam potrzeby opisywać, bo każdy po swojemu ją odczuwa. Dziecko było smutne i skarżyło się, że go gryzie w głowie. Miało go co gryźć, bo warstwa robactwa rola się tam dosłownie. W jednej chałupie było kilkanaście osób, a wszystko to niechlujnie pachnące i wyświechtane. Dziadek był dość grzeczny i namawiał mnie jeszcze żebym z nim została, ale starałam się mało z nim rozmawiać, bo raził mnie okropnie. Jego chytrość, źle teraz

ukryta, była dla mnie czymś wstrętnym. Nie... to było moje dzieciątko, bo matka oddała mi go idąc na śmierć... Wzięłam je w Imię Boże i dlatego uratowałam mu życie. Ale... moje prawo do dziecka jest i było w sercu jedynie. Byłam osamotniona i już nie walczyłam. Cieszyła mnie myśl, że mogę odwiedzać dziecko i wpływać na jego rozwój.

Tak było przez trzy miesiące.

Przyzwyczałam się już do tego i pogodziłam. Pragnęłam jedynie by się nie zmieniło na gorsze. W domu, mama czuła się coraz lepiej. W pobliżu naszej wioski był lasek, a w nim kwaterowało wojsko sowieckie i tak zwani „wracze”, którzy często opatrywali mamie ranę. Byli to przeważnie dobrzy ludzie, bardzo uczynni, weseli i szczerzy. Mama zaczęła się już podnosić ale na nodze stać nie mogła. Uważałam, że w dużym stopniu wpływa na to brak lepszego odżywiania, ale — jak się później okazało — rana w żaden sposób nie chciała się zagoić, ponieważ tkwił w kości odłamek pocisku. Konieczna więc była operacja, co w obecnej chwili było niemożliwe, chociażby i dlatego, że — wojna nie matka, nie wszystkich bogaci...

*

Byłam wtedy młoda i pełna życiowej werwy i po ostatecznym wyczerpaniu przychodził znowu spokój i siły do dalszej pracy. Młodość! — Piękne to słowo i warto mu kilka słów poświęcić. Ile to razy człowiek kładł się gdzieś, w jakiś cichy zakątek, a raczej — tulił się i kulił w sobie, a po przespaniu kilku godzin stawał się znowu wypoczęty, jakby przespał się w puchowej pościeli i wziął przed chwilą kąpiel. Marzenia są piękne. Zjawiają się niczym meteory, olśniewające blaskiem i ogniem czynu. Myśl z rozumem pracuje, by ten święty płomień marzeń przeistoczyć w czyn, zrealizować go, utrwalić na zawsze. Człowiek zdolny był do poświęceń — pasjonował się pięknem czynów. I — cie-

szy się sobą... Jak bardzo czasem cieszy się tym, gdy stwierdzi, że dobrze postępuje, że właśnie tak czynić należy jak on czyni.

*

Byłam tak przemęczona, że położyłam się w słomie, nie rozebrana i po kilku minutach zasnęłam. Przebudził mnie Piotr. Piotrusiu kochany, pozwól że jeszcze trochę się prześpię i za chwilę wstanę — prosiłam go, ale zaczął mnie prosić żebym wstała, bo chleb trzeba rozczynić. Chleb. Był to przysmak nie lada w tych głodnych czasach. Mama nie miała się czym posilić, a i Stasio by zjadł go z apetytem. Wstałam więc i przecierając oczy wyszłam na podwórko, by ułamać zarazem gałązek do zagrzania wody. Mama ze Stasiem już spali, chodziłam więc cichutko by nie przerywać im snu. Gdy rozpałam już ogień wszedł Piotr i nachylając się nade mną szepnął przestraszonym głosem:

— Wiesz, że partyzanci do nas przyszli?

— To niech przychodzą — odrzekłam spokojnie, przecież nic im nie jesteśmy winni.

W tej samej chwili usłyszałam łoskot w ciemnej sieni. Zrozumiałam, byłam już pewna, że to do mnie. Machinalnie podniosłam się by z rozbitej kuchni przynieść dzieżę do rozmieszania rozczynu. Ledwie namacałam stojącą przy ścianie dzieżę, a już wszedł za mną uzbrojony chłop z latarką w rękę.

— Kto tu? — spytał ostro.

— To ja... Przyszłam po dzieżę... zaczęłam powoli, chcąc opanować drżący głos.

— Nazwisko wasze! — spytał gromko.

— Gralowa...

— Dobrze, proszę za mną.

Weszliśmy do pokoiku, w którym leżała chora mama ze Stasiem. Był zapelniony partyzantami. Jeden z nich spojrzął na mnie i cynicznie zauważył:

— To ona, ta sama.

Na łóżku cicho szlochała mama, a Stasio wkulił się pod pierzynę, że wcale nie było go widać. Jeden z nich wydobył z teczki jakiś papier, który był moim aktem oskarżenia. Zarzuty były różnorodne, ale — przede wszystkim — oskarżono mnie o zdradę Ojczyzny. Mam rzekomo pracować w UB, a poza tym — w 1940 roku zostałam żoną (po ślubie cywilnym!) Żyda, który potem poszedł jako ochotnik w szeregi Krasnej Armii. Po odejściu męża, miał przyjść na świat mały Stasio. Dziecko zatem posiadało mieszaną krew i dzięki tylko tej okoliczności pozostawało przy życiu. Ja, jako kobieta wykolejona, podlegałam — według ich kodeksu — karze śmierci. Rodzajem śmierci miało być rozstrzelanie, a poprzedzać ją miały jeszcze kary cielesne.

Słyszałam jak w śnie, gdy wniebogłosey krzyczącą mamę spędzono z łóżka i wypchnięto za drzwi. Słyszałam rozdzierający jej krzyk:

— To nie prawda, to dziecko nie jest mojej córki, to Żydówka je zostawiła...

Zauważyłam, że Stasio wyrzwał spod pierzyny i chciał uciekać. Wyglądał bardzo maleńki, bo miał na sobie jedynie krótką koszulinę. Usłyszałam jeszcze, gdy jeden ze zbirów wrzasnął pijanym głosem:

— Zastrzelić Żyda!... i mówiąc to, złapał wpół, jak kociaka, krzyczące dziecko. Wszczął się ogólny zamęt, przerywany krzykiem rannej staruszki i dziecka. Ja, stałam jak skamieniała. Ocknęłam się jakby na chwilę, gdy Stasio krzyknął:

— Mamo!...

A w krzyku tym, było zawarte całe moje życie. Nie zdając sobie sprawy. rzuciłam się na pijanego chłopca, chcąc mu wyrwać z rąk dziecko. Wołałam z rozdartą nutą jeszcze głośniejszą niż krzyk matki i dziecka:

— Nie ruszajcie dziecka! Ono niewinne!... Ja jestem winna!...

Uwierzono w moje słowa czy co, w każdym bądź razie Stasio znalazł się na rękach u mamy.

— Oddajcie złoto, coście wzięli za przechowywanie tylu Żydów! — krzyczeli inni.

— Nie braliśmy nic! — odrzekłam stanowczo, ale już spokojniej. Przecież widzicie, że cierpimy nędzę i głód.

Nie dano mi mówić dłużej. Zdarto ze mnie sukienkę i obnażonej ścinano włosy, ale więcej wyrywano je palcami. Stałam znowu jak z kamienia, żaden kurcz nie wykrzywił mi twarzy. Zdenerwowało ich to widocznie, bo zaczęto mnie kopać, a potem łać gumowymi pykami. I — zastanawiam się tylko, dlaczego nie czułam żadnego bólu, ciesząc się, że dziecko żyje. Z dziwnym wzruszeniem myślałam, że mogę umrzeć z rąk Polaków... w wolnej Ojczyźnie. Mój spokój zdenerwował jednego z nich, bo uderzył mnie w twarz wrzeszcząc:

— Ty żydowska k..., co milczysz!?

Tego nie mogłam już znieść spokojnie. Bez namysłu plunęłam mu krwią w twarz i spokojnie lecz stanowczo odrzekłam:

— Nie zdołasz mi z duszy żadną karą wydrzeć Krzyża i Ojczyzny, bo miłość do nich silniejsza od śmierci...

Mój kat chciał mnie powtórnie uderzyć, ale jeden z nich złapał go za rękę i krzyknął prawie błagalnym głosem:

— Nie bijcie tej dziewczyny, nie bijcie! Ona jest niewinna!... Zauważyłam łzy w jego oczach.

— Ty wariacie! Ty babo! — wrzasnął na niego tamten. — Ja sam to żydowskie ścierwo zastrzelę, tą sukę komunistyczną...

Miał bladą, drobną twarz o niskim czole, wąskich ustach i skołtunionych włosach, ot — taki typ cwaniaka wiejskiego.

Czekałam śmierci. Chciałam, żeby była jak najszybciej. Głos płaczącej matki już mnie nie obchodził. Cieszyłam się nawet, tak — radowałam się, że umrę w piątek, w dzień męki Pańskiej. Uczepiłam się tej radości całą duszą i zdawało mi się, że śmierć wcale nie jest taka straszna, a tym bardziej — męczeńska. Umrę,

podobnie jak mój najdroższy Jezus! — cieszyłam się. Ale — widocznie — nie godna byłam tej chwały, a godna raczej litości bożej. Przypadek znowu zrządził, że — mimo własnej woli — wypowiedziałam słowa:

— Zabijcie mnie za to, że uratowałam życie waszemu komendantowi. Odpląćcie mi za to z nadwyżką.

— Chwali się! — krzyknął jeden z nich i chciał mnie uderzyć w twarz, ale drugi go powstrzymał, pytając:

— Mów, jak to było!?

— Skoro mi nie wierzycie, to po co mam mówić... odrzekałam z rezygnacją w głosie.

Ale ten, który przedtem płakał, otworzył drzwi i zawołał komendanta. Był on w średnim wieku, miał ostre rysy twarzy z wyrazem skupienia. Kazał opowiedzieć jak to było, więc przypominałam mu pokrótce. Istotnie, miało to miejsce w czerwcu zeszłego roku. Uratowałam życie niejakiemu Z., który był porucznikiem w NSZ. Oczywiście, że dopiero potem dowiedziałam się kim on był. Ratując go przed żandarmerią nie zwracałam po prostu uwagi na to, kogo ratuję — szłam wszystkim z pomocą, komu tylko mogłam ją wyświadczyć. Nikt mnie już nie uderzył, wszyscy byli jakby nie ci sami. Podniosłam się i okryłam zbite ciało skrawkami sukienki. Pamiętam, że komendant chciał mi pomóc podając rękę, ale nie skorzystałam i patrząc im w oczy wymówiłam:

— Ja wam, w Imię Chrystusa przebaczam...

Gdy odeszli, uklękłam na zbolące kolana i dziękowałam Bogu za ocalenie. Mama, Piotr i Stasio, za chwilę byli już przy mnie, wszyscy płakali z radości, widząc mnie żywą. Ucałowałam mamę, Stasia i wyszłam na podwórko. Czułam, że moim obowiązkiem jest prosić ich, by nie mordowali się wspólnie... „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej...”. Z szaloną tą myślą, chwielejąc się z bólu (bo teraz dopiero go czułam), poszłam za nimi. Mogli mnie przecież zastrzelić, ale nie myślałam już o tym i śmiało zbliżyłam się do postawionej warty.

— Kto idzie! — krzyknął wartownik.

— Proszę Pana, chciałam pomówić z komendantem. Mam do niego prośbę — rzekłam.

— W jakiej sprawie? — odkrzyknął.

— W nader ważnej — odrzekłam i oparłam się o płot.

Siłą woli trzymałam się na zboląłych nogach, że aż nasuwało się pytanie:

— I po co tu za nimi przyszłaś?

Niedługo potem wartownik zagwizdał i zaczęli się wszyscy schodzić. Zbliżył się do mnie wysoki chłop. Księżycowe światło padało na jego suchą, surową twarz. Poznałam, że to właśnie ten był ich komendantem.

— Czego chcecie ode mnie? — spytał zdenerwowanym głosem.

— Przyszłam pana prosić, a nie żądać — odrzekłam pokornie.

— O co? — zagadnął niecierpliwie.

— O innych... O wszystkich... O całą wielką sprawę... — zaczęłam powoli.

— Do rzeczy! O co właściwie pani chodzi? — przerwał już łagodniejszym tonem.

Nie pamiętam jak długo mówiłam i o czym. Jedynie pamiętam, że jakbym nie mówiła swoim głosem, a treść była podniosła i głęboka, że przy końcu mowy podkreślałam, że miłości nam trzeba i oświaty, a nie krwi z bratobójczej walki. Nie przerwał mi ani słowem i — pewna byłam, że mnie poznał. Gdy odwracając się w stronę domu, powiedziałam:

— Żegnam pana! — nawet wtedy nie odrzekł ani słowa.

Przy furtce stała oparta moja mama.

— Po co, córko, do nich jeszcze poszłaś — rzekła załamując ręce, a w głosie jej było pełno żalu.

— Nie bój się — odrzekłam — sam Bóg się mną opiekuje.

Piotr też zaczął mnie wypytывать, skąd miałam tyle sił, że nie krzyczałam gdy mnie bito, więc powiedziałam z uśmiechem

by mnie nie pytał, bo on sam lepiej mnie zna niż ja siebie. Wzięłam dziecko i poszłam do chlewa w słomę, by się ukryć na wypadek, gdyby zmieniły się tamtym zamiary. Spać jednakże nie mogłam. Nieznośnie bolały mnie piersi i plecy. Siedziałam skulona i przeżywałam powtórnie wszystko, co przed kilku godzinami przeżyłam. Zastanawiałam się następnie nad wdzięcznością ludzką. Piotr mi potem opowiadał, że w chwili, kiedy partyzanci do nas szli, na naszym podwórku stało prócz niego, jeszcze trzech — wszyscy moi przyjaciele. Janek, któremu przeprowadziłam lekarza w czasie wojny, gdy miał strzaskaną nogę, Czesiek — stryjeczny brat, który ze Stasią trzy lata u nas mieszkał i mąż stryjecznej siostry, którego dziećmi wspólnie ze Stasią się opiekowałam. Przecież byli mi coś winni na dobrą sprawę, ale żaden z nich nie wy dobył nawet z siebie głosu, gdy partyzanci pytali się o moją opinię. Każdy z nich usunął się wymijająco, a opinii brata nie chciano nawet słuchać. Ludzie... ludzie wy... kochani przeze mnie... i ty — czarna wdzięczności, co porośłaś w sercach waszych! — myślałam z goryczą. Przyjaciela poznasz w biedzie — mówi przysłowie. Tylko Piotr, biedaczysko, najadł się strachu, gdy postawili go pod ścianą dla zamknięcia ust.

Nina, 28 IV 45 r.

*

Słońce znowu zajaśniało nad naszą wsią. Byłam dziś rano u księdza wikarego, który poświęcił mi trochę czasu na rozmowę. Jest to naprawdę mądry człowiek, a nade wszystko — dobry. Radził mi jak siostrze, bym wyjechała z dzieckiem na ziemie odzyskane, bo uważał, że tu jest grunt bardzo niebezpieczny.

„Góra” — mówił — dalej używa ciemnej masy za śmiercionośne narzędzie, ludzi wyzutyh z wszelkich skrupułów, nie liczących się z nikim i niczym. Od serca powiedziałam mu całą prawdę. Jak człowiek samotnik, który spotka w pustkowiu inną

istotę — cieszy się, tak i ja byłam szczęśliwa, że znalazł się mądry człowiek co mnie zrozumiał i poradził w duchowej rozterce. Do końca życia nie zapomnę pogodnej, jasnej twarzy kapłana i błogosławiących jego rąk. Odeszłam odrodzona na duchu i mężna znowu. Byłam już pewna co ze sobą zrobię i dokąd pójdę... Jak Maria z Jezusem, do Egiptu.

Nazajutrz rano wychodziłam z domu. Miałam mały węzełek z chlebem i kilkanaście złotych. Na szczęście pogoda była ładna choć droga błotnista. Pożegnałam płaczącą mamę i wzięłam za rękę również płaczącego Stasia. Szliśmy obok Piotra, który orał przy drodze kartoflisko. Stasio rozbeczał się na dobre i nie chciał iść od wujcia, ale Piotr go pogłaskał po główce i tłumaczył jak dorosłemu, że trzeba uciekać, bo partyzanci go zabiją. Pożegnaliśmy się z Piotrem, który miał lzy w oczach i poszliśmy przed siebie.

Była to pierwsza moja wyprawa w nieznane. Po drodze mijaliśmy dwór pani Borkowskiej, ale krępowałam się zejść do niej. Nie wiedziałam, że jej już dawno nie ma, bo i ją również za coś prześladowano. Szłam tak cały dzień, przeważnie polami, bo całe wsie były zorganizowane i każdy chłop miał prawo mnie legitymować. Uciekałam więc od ludzi idąc miedzami i na przełaj, kierując się do szosy śniadowsko-ostrowskiej. Pola były rozmiękle i często nogi grzęzły w błocie, ale dzień był ciepły i śpiewały ptaszęta, to i podróż była dość przyjemna. Na wieczór przyszlismy do Jakaci. Długo wahałam się, czy zapukać do których drzwi z prośbą o nocleg. We wsi, miałam kilka rodzin krewnych z ojca strony, ale czy w takim stanie mogłam się im pokazać? Zresztą, nie znałam ich osobiście. Ale — przeżegnałam się i... zapukałam do drzwi. Spytano mnie, czy mam skierowanie od sołtysa, jednak słysząc moje skromne wymagania i jeszcze skromniejsze prośby, przyjęto mnie bez urzędowych procedur. Był tu stary dziadek, który zadręczał mnie wprost pytaniami. Uważano mnie za warszawiankę, widocznie ze względu na czy-

stą mowę, czemu nie przeczyłam. Poprosiłam tylko o szklanke mleka dla dziecka, za które chciałam zapłacić ale nie chciano przyjąć pieniędzy. Położyłam Stasia na podłodze i oparłam mu główkę o węzelek i — zaraz zasnął. Sama uklękałam do modlitwy lecz jakoś nie mogłam się modlić. Klęczałam więc dalej, by nie zadawano mnie pytań. Ludziska widząc to, przynieśli mi snop słomy, położyli na nim derkę, poduszkę i koce, za co podziękowałam serdecznie.

Rano, po modlitwie, dziękując za nocleg poszłam dalej. Gdy uszliśmy z dziesięć kilometrów dopiero poczuliśmy wczorajszy trud. No cóż! Wypadało znowu prosić o mleko dla dziecka. Tym razem zastukałam do biednego domku. Ludziska napoili nas mlekiem, nakarmili chlebem i nie chcieli zapłaty. Szczerze zaczęli się nade mną litować, że ja mizerna strasznie, że młoda, a dziecko duże i silne i... dlaczego mam ścięte włosy? Skłamałam, że włosy mam obcięte po tyfusie i... tak, w ogóle, musiałam coś powiedzieć by nie mówić prawdy. Po drodze spotkałam Mariana Jankowskiego. Szedł z Ostrowi. Na jego widok spuściłam głowę by mnie nie poznał. Przeszliśmy obok siebie jak nieznajomi. Był teraz panem sytuacji jako stary komunista. Ale... Bóg z nim.

Na wieczór doszliśmy do Ostrowi.

Stasio był bardzo dzielny w podróży i zupełnie mi nie dokuczał.

— Mamo! Ja jadę na koniu! — wołał, dosiadając wierzbowej gałęzi.

Przy ulicy Kacpurskiej mieszkała pani Matjaszowa. U niej czułam się jak u siebie w domu. Powiedziałam jej o sobie wszystko, prosto od serca. Współczuła mi i mimo, że jej samej się nie przelewało, nazajutrz zaopatrzyła nas na drogę w kilogram chleba i Stasiowi dała stare ubranko, z którego już wyrósł jej synek Oleczek. Na wieczór byliśmy w Małkini, bo trochę nas podwiózł dobry człowiek furmanką. Na stacji stał już pociąg towarowy, który prawdopodobnie miał ruszyć w kierunku Warszawy. We-

szłam więc, wraz z innymi ludźmi na platformę i oczekiwałam. Po kilku godzinach rzeczywiście, pociąg ruszył. Obok mnie, siedziała w towarzystwie mężczyzny młoda, elegancka kobieta, która przyglądała się nam uważnie. Odwróciłam się od niej, bo drażnił mnie jej ciekawy wzrok, ale byłam naprawdę zdumiona gdy usłyszałam jej głos:

— Gdzie Stasiu jedziesz?...

Spojrzałam w jej stronę, a ta — śmiejąc się — opowiedziała mi, że była na ewakuacji w Śniadowie i tam właśnie poznała Stasia, który mieszkał w pobliżu, ze swoim dziadkiem. Pochodziła z Łomży. Od razu nazbyt serdecznie się do mnie zbliżyła i przedstawiła mi swego męża. Przyrzekła zabrać mnie ze sobą do Gdyni i była przekonana, że tam będziemy mieli wspaniałe. Nie byłam więc już taka sama, ale nieszczerze mi się jej towarzystwo. Kobieta była dość ładna i śmiała, bo — nie zwracając uwagi na męża flirtowała z innymi, przeważnie z wojskową szarżą.

Pociąg szedł z różnymi przygodami. Maszyniści sowieccy co jakiś czas stawali i oznajmiali, że pociąg się popsuł. Wtedy zbierano dla nich składki na wódkę i jechaliśmy dalej. Na wieczór dotarliśmy do Wołomina. Dalej już pociąg nie szedł. Elegantka wzięła mnie ze sobą i Stasiem na nocleg i kolację, za co rano zapłaciłam wydając prawie wszystkie pieniądze, jakie miałam przy duszy. Prócz tego dowiedziałam się, że ów pan, który jej towarzyszy, jest świeżo upieczonym znajomym a nie żadnym małżonkiem.

Rano, innym pociągiem dojechaliśmy na dworzec Wileński. Jeszcze dziś żałuję, że nie poszłam wtedy na Pragę i nie odszukałam Alicji. Wtedy jednak uważałam tę myśl za niezbyt mądrą. Za kilka godzin ruszyłam pociągiem do Gdyni, wydając na bilet resztę pieniędzy. Zostało mi zaledwie na dwa kilogramy chleba — tak mi znajomość z damą pomogła w podróży. Po drodze, musieliśmy przesiąść się na platformę, bo osobowy dalej nie kursował. Smagał silny wiatr, a ja zziębnięta i głodna wcisnęłam się

ze Stasiem w ką, układając głowy na swoim wychudłym węzelku. Moja znajoma flirtowała z kapitanem sowieckim i opychała się czekoladami, nawet nie patrząc w naszą stronę.

Przyjechaliśmy do Kutna i pociąg znowu stanął. Nakarmiłam Stasia resztkami chleba i napiłam wodą z kranu, który się znajdował na rynku miasta. Wsiedliśmy znowu na tę samą towarówkę, która ruszyła po zebraniu składki na wódkę. Dokuczało mi zimno, a z nim coraz bardziej pytanie:

Dokąd jadę i po co?...

Tym razem, niedaleko mnie, siedziało kilka starszych pań i rozmawiały ze sobą. Jedna z nich wyznała, że jedzie do syna w wojsku do Torunia i obdarowała Stasia plackiem przeznaczonym dla syna. W kilka chwil potem pociąg zatrzymał się przy koszarach i moja ofiarodawczyni wysiadła, życząc mi szczęśliwej podróży. W Poznaniu, z trudem kupiłam dwie bułki chleba za resztę pieniędzy, ale jedną z nich zgubiłam, albo — ktoś głodniejszy ukradł mi ją w tłumie. Ale od głodu jeszcze gorzej dokuczała mi kontrola biletów i dokumentów. Przeciskałam się pod wagonami by wyminąć dworzec i wciskałam się w różne kąty by mnie nie dostrzeżono. A było czego się bać, bo pijani krasnoarmiejcy wyprowadzali nie wiadomo gdzie tych, którzy nie mieli żadnych dokumentów. A zaczepiali przeważnie młode kobiety. Wcisnęłam się ze Stasiem w ką i szeptałam modlitwy, bo brakło mi już sił. W dodatku, deszcz przemoczył nas do suchej nitki, gdy stałam już na peronie wraz z tymi, którzy mają bilety.

Po trzech godzinach zjawił się pociąg, do... Warszawy. Ludzie tłoczyli się na łeb, na szyję i... zostałam na dworcu wraz z innymi. Z trudem się powstrzymywałam, by się nie rozbeczeć. Po prostu, nie wiedziałam co mam z sobą zrobić.

— Mamo, zimno mi — usłyszałam od Stasia.

To mnie postawiło na nogi. A kogo i czego mam się bać!?... Wzięłam Stasia na ręce i już z pewnością siebie szłam wprost na stojącą wartę.

— Proszę dowód osobisty! — odezwał się stojący milicjant.

— Na ręku widzi pan mój dowód, a jeśli chce pan go odczytać, to proszę dobrze się nam przyjrzeć! — odrzekłam stanowczym głosem.

Milicjant przyjrzał się nam uważniej i potem gwizdnął. Za chwilę zjawił się drugi, któremu ten, kazał nam wskazać dom matki z dzieckiem. W jednej z izb można było napić się gorącej, czarnej kawy, a w następnej — przespać się. Od kilku dni nie mieliśmy nic ciepłego w ustach, więc i ta kawa bez cukru była dla nas nektarem. A co za radość z łóżka, gdzie zasnęliśmy przytuleni do siebie. Nazajutrz urwaliśmy sobie szczawiu i ugotowaliśmy go na wodzie, bo była tam i wspólna kuchnia. Jakaś pani dała nam soli i kilka kartofli. Ach!... Cóż to był za wymieniony posiłek! Takiego, jak żyję, dotychczas nie jadłam. Byliśmy znowu panami sytuacji. Ubranie wyschło na nas przez noc, a korzystając z ciepłego pieca, zrobiłam jeszcze małe pranie...

*

Zabrano mi Stasia. Przesłódkie marzenie o szczęściu dziecka rozbito ciężkim obuchem podłej rzeczywistości. Serce moje pograżyło się dziś w przebolesne rozpadliny żalu. Pytam tylko wciąż sama siebie: Za co mnie tak zraniono? Z takim artyzmem malowałam dążenia do szczytnych horoskopów przyszłości... Dziś, zdruzgotał te skarby pocisk losu.

— Synu mój!... wołałam wśród pustych już pól i rozległych ściernisk...

— Synu! — lkało echo w dali...

Słyszałam ten własny głos i zdawało mi się, że to jedynie pustka polna jęczy, lka, rwie się w dali by skończyć bez rozgłosu... Nikt prócz mnie jednej nie słyszy i nie czuje nic. Jedynie tylko echo wiernie powtarza skargę zranionego serca, zdaje się więcej czuć, rozumieć, aby przynieść mi ulgę. W chwili rozterki widzia-

łam jakby na jawie oczy Stasia — patrzyły na mnie zamglone łzami, lśniące dziecinną tęsknotą za matką. Podrywałam się jak obłąkana i biegłam za tym mirażem, łapałam go rozpalonymi rękoma, a nie mogąc nic zatrzymać, padałam pół senna na rozmiękłą ziemię i łkałam jak dziecko. Zdawało mi się, że matka-ziemia mnie utuli, a Bóg wysłucha...

Dalej od ludzi, od ich podłości... Bo ludzie drwili ze mnie lub ciekawili się wszystkim innym... Bez odrobiny współczucia. Przeważnie pytano o pieniądze. Uważali, że Żydzi powinni mi zapłacić za chowanie dziecka i sprawa byłaby załatwiona. Byli nawet i tacy, którzy twierdzili, że już dawno zapłacono złotem. Mama dawała odpowiedzi wścibskim a ja usuwałam się z oczu, o ile było to możliwe, bo słuchanie o tym było dla mnie, odrażające. Uważałam, że byłaby to zwykła sprzedaż, handel, czy choćby zamiana. Ja... miałabym go sprzedać?... Po co miałabym się narażać, poświęcać, wzywać Boga na pomoc, skoro za to wszystko można by mi było potem zapłacić pieniędzmi. Ohydne.

I — czyż mogłabym zwierzać się tym ludziom i pragnąć od nich współczucia? Dziecko uważałam za wyłącznie swoją własność, gdyż dziesiątki razy wydierałam je oprawcom. Każdy krok mego życia był wtedy niepewny jutra. Modlitwą moją były łzy, bo słów często nie miałam... Kto przeżywał ze mną strach? Głód? Poniewierkę?... Kto?... I wreszcie — jeśli wam mało — spytam was jeszcze:

— Kto z was oddałby swe młode życie za cudze dziecko?...

Widzicie, że byłam matką prawdziwą, rozumiecie chyba to sami, wszak tylko miłość zdolna jest do zaparcia się siebie i do złożenia ofiary. Dziś wy — moi drodzy — sądzicie, że mogłyby tę pustkę wypełnić pieniądze!? Przyjęłabym je wtedy, gdyby wydarto mi przedtem uczucie do dziecka, wtedy... może wzięła bym je, ale tylko dlatego, by złożyć dla innych sierot. Jednak dziś, skoro nie ma tej siły nigdzie, zdolnej zabić mą macierzyńską miłość do dziecka — sądzę, że bym nie przyjęła nawet podziękowania.

Pójdę, zawsze swoimi cichymi ścieżynami życia, z dala od tłumy, z wewnętrznym spokojem sumienia. Nie znajdą mnie tam — zawsze zostanie on mi obcy, choć od dziecka był mi drogi. Ale świat mego szczęścia zamknął się, zwarł. Nie zostało po nim ni krzty nadziei.

Żal zalał po brzegi mą duszę. Tak, ludzie wy moi... Już po raz drugi zburzyliście mi szczęście, które budowałam na silnym fundamencie miłości. Tamto uczucie i to — było silne i piękne, ponieważ zrodziło się z wiary. Zabraliście mi męża i syna, lecz miłości do nich, żadna siła ludzka wydrzeć mi nie zdoła. Nieważne, że zostały mi tylko cierpienia. Nieważne, że śmierć mi się uśmiecha. Wiem, że żyć będę. Bo życie silniejsze jest od was, od łez, od bólu... Życie daje Bóg, a Boga nikt nie zwalczy. Śmierć... ta śmierć ziemską, jest wcale nie taka straszna — wystarczy jedynie przestać się jej bać. Na przekór jednak wszystkiemu będę żyć... żyć jedynie dlatego, by siać wokół siebie kwiaty miłości. Nie zależy mi, że świat tego rodzaju miłością się nie zachwyca... Rany zabliźniają się nasyceniem, które osiada w duszy. Mam nadzieję, że i inni zrozumieją to piękno prawdy.

Żalem moją miłość dopełniona. Niech ucichnie serce moje.

Miłość do małego Stasia, niech przerodzi się w miłość do wszystkich sierot świata. Boże mój, Ty słyszysz mój głos, mą skargę... Bo ludzie tylko potępiać potrafią.

A mnie — mimo ich drwin — wydaje się, że mój Stasio dzieli się na cząsteczki, a z każdej wyrasta dziecko... opuszczone... chore... prześladowane... dziecko — sierota. Miliony tych nieszczęśliwych, niepotrzebnych nikomu dzieci, wyciąga w moją stronę chude rączyny i proszą:

Mamo... mamo... poratuj nas... Idę już, idę do was, moje i tylko moje... Zabiorę was, zasłonię własnym życiem...

Widzę wtedy wyraziste, błękitne oczy Stasia, które patrzą na mnie, a mnie się wydaje że to dwie niezapominajki. W takich uniesieniach miałam wrażenie że śnię. I wciąż patrzyłam na

nieboskłony, na których rozpościerały się jakby pierzaste palmy z białych obłoków. Zenit nieba był czysty, pogrążony w zadumie, upojony swoistą wonią natury. A wokół mnie... wszystko i wszyscy byli nieczuli, dalecy memu smutkowi, obojętni na kwestię życia. Natura sama koła serce, dodawała odwagi, siły, energii...

Odeszłam znowu od myśli, co przez pięć lat wplotły się w moje życie. Odeszłam od najdroższego dziecka... Dziś, skrwawione serce zostało samo... Znikł mi przed oczu cel i kierunek.

Czy jednak wolno mi beczynn timer żyć?... Zostało mi przecież jeszcze tyle do zdziałania... A — gdybym upadła, przyjdą mocniejsi ode mnie. Zawsze jednak, przez wszystkie dni mego życia, będą szły dwa wierne cienie: mały Staś i duży Stach. Nawet na chwilę nie odstępowala mnie myśl o nich. Stasia oczy były błękitne, z utajonym lękiem tropionego zwierzątka... a te drugie, miały ten — co zawsze — dziecinny jeszcze wyraz, który przedziwnie harmonizował z ich ciemną głębią.

Czy ujrzę was kiedy jeszcze?...

ZAMIAST EPILOGU

Rwą się zapisy w tomiku czwartym, który stanowi — tak jak poprzednie i następne stukartkowy zeszyt. Trudno jednak twierdzić, że autorka przez cały okres wojny dysponowała ich nadmiarem. Tylko tomik drugi, kończący każdą notatkę datą, sprawia to wrażenie. Pozostałe — przynajmniej do 1946 roku — prawdopodobnie były uzupełniane z zapisów na każdym wolnym skrawku papieru, będącym pod ręką.

Zresztą — i sam atrament był wtedy artykułem trudno dostępnym, o czym wspomina nawet w zapisach z Elbląga.

Dawno temu, autorka pamiętników udostępniała mi jakiś ich fragment do przeczytania, jednak nigdy nie zdecydowała się bym mógł zapoznać się z całością, tłumacząc na różne sposoby, że są nazbyt bolesne i osobiste. Dopiero jej syn — Jerzy, po śmierci mamy, przekazał je w moje ręce. Stanowią one kilkanaście brulionów, zawierających pamiętniki, opowiadania i... wiersze, zawarte w tomikach: *Z marzeń i pragnienia* (1991) oraz *Moje wołanie do Pana i Wybór wierszy* (1995).

Jest jednak zastanawiające, że obok niepełnych zapisów w tomiku czwartym, brakuje wśród nich — piątego, który gdzieś zaginął, lub został przez autorkę zniszczony, a tomik szósty rozpoczyna zapis z niedzieli 10 XI 1946 roku, dokonany już w Elblągu. Puste strony między zapisami już nigdy nie zostaną uzupełnione. Ale ich biel mówi więcej niż potrafią wypowiedzieć słowa. Odzwierciedlają stan ducha autorki pamiętnika. Oto po

stracie pierwszego owocu miłości — córeczki, żegna męża na wojenną zawieruchę, a następnie — odbierają jej Stasia, ten kwiat miłości, w którym pokładała całą nadzieję, że odplaci jej nieukrywaną szczodrością serca. Jednak i to zostało zerwane, ba — stłamszone w tak nieludzki, wręcz obrzydliwy sposób przez jego dziadka. Zderzyły się dwa światy, dwa stany ducha. A miała nadzieję, że przynajmniej tu, będzie serce za serce. Z tego bólu trudno się zwierzyć, nawet kartkom papieru, nie wiedząc kto, kiedy i jak je odczyta. Tym bardziej, że w łomżyńskim szpitalu, wraz z córeczką, odebrano jej raz na zawsze nadzieję na radość macierzyństwa.

I — jak z tym teraz żyć?... I — dla kogo?... A nawet... jeśli wróci z wojennej zawieruchy mąż, jak przyjmie tę bolesną prawdę?... Uświadomi ją czas?... Czy ma prawo żądać takiego poświęcenia od drugiej, tak kochanej osoby tylko w imię czystej miłości?... Liczyć na to?... Spodziewać się choćby?...

Przecież to wzniosłe uczucie nigdy nie zaowocuje maleńkim szczęściem, opromieniającym ich miłość, nie zawoła swoim spełnieniem — mamó! ni — tato! Na przekór jednak wszystkiemu będę żyć... żyć jedynie dlatego, by siać wokół siebie k w i a t y m i ł o ś c i . Nie zależy mi, że świat tego rodzaju miłością się nie zachwyca — pisze z głębokim przekonaniem.

Kwiaty miłości...

To wiara wydobywa z nas człowieka — mówi ks. prof. Janusz Pasierb. W pogoni za sprawiedliwością uważajcie, byście sami nie spodleli — przestrzega kardynał Wyszyński.

I... nie ma sprawiedliwości bez przebaczenia — podkreśla Jan Paweł II.

Tak łatwo zatracić człowieczeństwo w sobie. Na chwilę... Na zawsze...

Wróćmy jednak do biegu wydarzeń, których była świadkiem — lub zostały jej zrelacjonowane przez rodzinę — żyjąca po dziś dzień w Czartorii, rodzona siostra Jadwiga. Otóż, po

zabraniu małego Stasia przez jego dziadka, Ninka przynajmniej kilkakrotnie odwiedzała go w Śniadowie, o czym i sama wspomina. Jednak tęsknota i przywiązanie do siebie sprawiły, że Stasio najprawdopodobniej uciekł z mamą do Wierzbowa, co odbyło się za milczącą zgodą jego dziadka, który wnukowi nie mógł zapewnić lepszych warunków, ani tym bardziej — macierzyńskiej opieki. I to tłumaczy jego obecność, zakłóconą przybyciem partyzantki.

Ta niespodziewana wizyta uzmysłowiła jednak jeszcze jedno zagrożenie, jakże odmienne od poprzednich, stąd i drastyczna decyzja wyjazdu na Ziemię Odzyskane. I — przynajmniej w części opisuje nam autorka tę nieudaną eskapadę, zakończoną powrotem do Wierzbowa.

A potem... A potem — w 1945 czy 1946 roku? — w każdym bądź razie nie jesienią czy zimą, przybył ojciec Stasia i odebrał syna. Odbyło się to o świcie — jak wspomina Jadwiga — gdy milicja i UB otoczyli dom. Podobno, za opiekę nad Stasiem chciał czymś zapłacić, ale — ku ogólnemu niezrozumieniu — odmówiła przyjęcia jakiejkolwiek rekompensaty. Jak często, po dziś dzień, ten materialny świat zapomina, że przede wszystkim sercem za serce się płaci. Ale wśród ludzi małego serca, brak go niejednokrotnie nawet dla najbliższych.

Tomik szósty — to już zapisy z Elbląga. Przewija się tam cała mieszanina ludzkich kultur, postaw i charakterów, skupionych naraz w jednym mieście jak w worku. Ludzi z różnych stron świata, często wyzutyh z człowieczeństwa, do którego, jakąś ostatnią choćby iskrą buntu przeciw swemu losowi, próbują powracać. Mieszkanie jej zawsze pełne ludzi — przybłądów, przygarnianych wprost z ulicy i — odchodzących jak przyszli, bez słowa pożegnania czy podziękowania. Tam też zaczynają docierać do niej pierwsze listy od Stacha, a potem i paczki.

3 I 1947 roku w swoim pamiętniku pisze: „Stach mój pisze teraz dość często, listy jego jednak więcej mnie smuć

niż cieszą. Jest w nich jakieś rozdrażnienie, jakaś myśl, którą chce zatuszować zdawkową obojętnością. Naprawdę, mimo że tęsknię, wolałabym żeby odłożył swój powrót. Nie ode mnie to jednak zależy i pewnie już nie od niego, bo czeka na swoją kolejkę w następnym transporcie. Czuję się jak winowajczyni i nachodzą mnie różne myśli. Nie rozumiem... żeby pragnąć go i nie chcieć, żeby wrócił. [...] Przyszła mi myśl, żeby napisać całą prawdę, napisać i koniec, niech sam wybiera. Jednak... nic tak nie wyprowadza człowieka z równowagi, jak otrzymane złe pismo — powiedział mi jeden z kapłanów”.

Ale już pod datą 15 I 1947 odnotowuje:

„Wczoraj wrócił mój małżonek. Czekałam na niego, bo Marynia uprzedziła mnie o jego przyjeździe. Przysłał bowiem telegram do brata — Olka, żeby wyjechał po niego do Gdańska. Chciał mi sprawić niespodziankę. On jest coś inny jak dawniej. [...] Gotowałam coś gdy otworzyły się drzwi, ale nikt nie wchodził. Pobiegłam przekonać się kto idzie i zobaczyłam Olka w towarzystwie młodego chłopca. Chłopiec ten był ubrany w zielony, wojskowy płaszcz, ale był tak młody, że o wiele młodszy od dwudziestoletniego Olka. Cofnęłam się więc w stronę kuchni i zajęłam kipiącymi garnkami. Już miałam spytać Olka gdzie Stach ale rozmyśliłam się, ponieważ nigdy pierwsza nie lubiłam się pytać. Uporałam się już z garnkami i odwróciłam głowę — przy mnie stał ten młody, prawie smarkaty chłopak, w którym z przerażeniem poznałam Stacha. Patrzyłam bez słowa na jego twarz, a on szepnął:

— Żoneczko, przybyłem...

Poznałam jego głos, ręce... Wziął mnie w ramiona i całował, a ja — nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Patrzyłam mu tylko w twarz i łzy płynęły po policzkach...”.

I tak, już w „normalnych czasach” toczyło się ich „normalne” życie. Dom ich zawsze był pełen bliższych i dalszych krewnych (od Adama i Ewy włącznie),służący za trampolinę

w wędrownie ze wsi do miasta. Doczekali się dwóch kwiatów miłości, synów — Jerzego i Zenona, a od Jerzego czwórkę przeuroczych wnuków. Ona, przez długie lata — aż do chwili przeprowadzki do Ostrołęki — pracowała w Elblągu jako katechetka. Jego drogę życia nakreśliła we wspomnieniu pośmiertnym „Ślad istnienia”. Oboje spoczęli w rodzinnych stronach, na ostrołęckim cmentarzu parafialnym. Na pomniku nagrobnym można przeczytać: Stanisław Grała ur. 11 XI 1918 r. zm. 5 XI 1988 r. Syberia—Środkowy Wschód—Monte Cassino. Zapłata — ziemia ojczysta. Janina Grała żyła lat 78 zm. 25.I.1996 r.

Syn — Jerzy, zmarł na serce kilka lat później i spoczywa na cmentarzu w Elblągu.

Gdy rozmawiałem z ciocią Jadwigą, prosząc ją o uzupełnienie wydarzeń nie opisanych w pamiętniku, ta — na zakończenie — opowiedziała mi o pewnym incydencie z Ninką, po którym, rozgoryczona, położyła się spać z tą gorzką myślą, że... dlaczego, Boże ty mój, są tak bliskie sobie a tak dalekie!? I naraz — niby w półśnie czy jawie — widzi, jak z wiszącego naprzeciw łóżka obrazu Pana Jezusa z otwartym sercem spływa krew, i słyszy Jego głos:

— Ty nie pomstuj. Ona pasie owieczki moje.

Miłość przykrywa wiele grzechów.

Warto może, na zakończenie, wspomnieć i o pewnym epizodzie z życia Ninki. Otóż, opowiadała mi kiedyś, że jadąc tramwajem w Elblągu, podszedł do niej pewien przystojny młodzieniec i spytał:

— Czy pani mnie poznaje?...

— Nie — odrzekła — wysiadając na kończącym jej drogę przystanku.

I dopiero potem przebiegła jej myśl, że mógł to być jej Stasio. Ale to zdarzyło się tylko raz.

I jeszcze jedno. W roku 1989 „Gazeta Wyborcza” opublikowała tekst ogłoszenia Jewish Foundation for Christian Re-

scuers, w którym zawarta była prośba o podzielenie się z nimi informacją, jeżeli ktoś z czytelników zna osoby im dotychczas nieznane, które ratowały Żydów w czasie wojny. Wiedząc o tym fakcie zaledwie z rodzinnych przekazów, nie informując Ninki, napisałem do nich i otrzymałem odpowiedź z serdecznym podziękowaniem.

Nie znam treści dalszej korespondencji między zainteresowanymi stronami, natomiast wiadomo mi, że autorka pamiętnika otrzymywała później po sześćdziesiąt dolarów kwartalnie. Traktowała to jako formę zapomogi stanowiący dodatek do renty po mężu, w tych trudnych dla każdego czasach szalejącej inflacji.

A zresztą... zawsze miała kogo wspierać.

Alfred Sierzputowski

ŚLAD ISTNIENIA

Stanisław Grała urodził się w dniu odzyskania niepodległości — 11 listopada 1918 roku z ojca Józefa i matki Bronisławy z Pijanowskich, we wsi Grale parafii Kadzidło. Polska była wtedy bardzo biedna i wyniszczona zaborami oraz wojną, a na piaszczystej ziemi kurpiowskiej panował głód i choroby. Ojciec Staszka miał niewielkie gospodarstwo i — jak to w tamtych czasach — był panem wszystkiego, oprócz ludzkiej duszy. Miał młodszych braci — Piotra, Szczepana i Aleksandra oraz siostrę Aleksandrę, przy porodzie której umarła najukochańsza matka, przedtem już chora na gruźlicę. W trzy miesiące po śmierci matki, ojciec ożenił się po raz drugi, bo — jak to się mówiło — „bez baby jak bez ręki”. Staszek, nie mogąc pogodzić się z ciężkim losem, uciekł z domu, kiedy miał dziesięć lat. Trafił na służbę do leśniczego, gdzie już nie zaznał głodu ani bicia. Dopiero po roku przyszedł ojciec, ażeby odebrać od leśniczego „myto” za jego służbę. Tu, pasąc krowy w puszczy pełnej jadowitych żmij, spotkał zamawiacza, który czyniąc znak krzyża wzywał następnie złego ducha i żmija kurczyła się i tężała jak martwa, którą zabijał potem kijem.

I ty tak możesz — mówił — spróbuj. I ten moment utkwił w jego pamięci. Jego głęboka wiara wyniesiona z domu rodzinnego wzbudzała sprzeciw w jego myślach, gdy zamawiacz łączył znak krzyża świętego z wzywaniem złych duchów. Odszedł więc od leśniczego, ale — już w nowych butach i nowym ubraniu. Była to nagroda za dobrą służbę. Powędrował na drugą stronę Narwi, gdzie jako parobek u gospodarza dostał już miesięczne

wynagrodzenie. Nie umiał jednak znosić rozkazów — to go bolało. W miarę dorastania przygnębiała go udawana i wymuszona służalczość. Zbierał więc pieniądze z myślą, żeby kiedyś być panem siebie. Stać go już było na kupienie roweru i opłacenie nauki gry na akordeonie. Wreszcie został wiejskim muzykantem i w ten sposób, w wolnych chwilach, dorabiał na zabawach. Ale i zdrowie zaczęło szwankować — zapadł na zapalenie płuc. Gospodarz przywiózł lekarza, ale po wyzdrowieniu, kazał odrabiać. I choć rozumiał gospodarza, nie umiał jednak tego jemu zapomnieć. Zmienił służbę i przeniósł się do Wierzbowa. Tam właśnie poznał córkę gospodarza, która wyglądem przypominała mu najukochańszą matkę. Jeszcze nie wiedział, że to miłość — nie mógł nawet tej myśli dopuścić do głowy, bo — jak to, on parobek z córką gospodarza?

Miał już osiemnaście lat i myślami ciągle powracał do domu. Nie tylko myślami. Znalazł służbę dla swych braci — Szczepana i Piotra. W międzyczasie, przyszli na świat dwaj bracia przyrodni — Feliks i Henryk. Braci lubił, ale Piotra nie rozumiał.

Ten chłopak, co zarobi to wydaje na książki. Ciągłe się uczy, prenumeruje pisma dla samouków, interesuje się językami obcymi i poezją. Mówi wiersze i sam wiersze pisze. Po co mu to potrzebne? — zastanawiał się. — Lepiej by się ubrał po ludzku, żeby on nie musiał wstydzić się za niego, kiedy przychodzi w odwiedziny taki byle jaki. Uczyć się bez korzyści? — tego nie mógł zrozumieć. Przecież i on się uczy, ale jego nauka procentuje w pieniądzach. Przecież gra na harmonii... a te cztery oddziały szkoły powszechnej — bo na tym kończył się obowiązek nauczania — na razie jemu wystarczą.

Dwie rzeczy chodziły teraz za nim jak cień — miłość do poznanej dziewczyny i słowo p a r o b e k ... które brzmiało jak — trędowaty. Miał już dwadzieścia lat. Pisał więc pamiętnik, gdzie mógł wypowiedzieć słowa, których by nie śmiał powiedzieć nikomu.

Wybuchła wojna. Chciał iść do wojska na ochotnika, ale... dokąd? A tu już granica na Narwi i Rosjanie. Tak stał się obywatelem Zachodniej Ukrainy.

Wbrew woli jej matki, postanowili się pobrać. Wybrał się więc przez granicę do Kadzidla po metrykę, niezbędną do aktu zawarcia małżeństwa. Ślub odbył się w kościele parafialnym w Szczepankowie, na który przybyło pół wsi z ciekawości i — zapłakana teściowa, nie mogąca przeboleć, że córkę wydała za parobka. A potem... zachorowała mu żona. Ciężko chorą, przyjęła wreszcie do domu matka. Po pewnym czasie, w żydowskim szpitalu w Łomży urodziła się Hanusia. Niestety — martwa. W gwieździsty wieczór wyjechali do pobliskiego majątku dziedziczki Grochowskiej, której męża aresztowali sowietzi. Staszek znał się na gospodarce i — dziedziczka kochała go niemal jak syna. Zatrzymano ich w drodze, podając Staszekowi „prikaz do Krasnej Armii”, gdzie miał się stawić na trzeci dzień. Pożegnali się na wzgórzu, klęcząc obok leżącego na ziemi krzyża, ściętego przez nową władzę.

Pierwszy list napisał do żony własną krwią z Uriupińska pod Stalingradem. W wojsku nie było mu źle, został nawet odznaczony za celne strzelanie i inne umiejętności. Nie mógł jedynie przeboleć, że w książeczce wojskowej napisano w języku rosyjskim: narodowość białoruska, komunista, ochotnik. Zaprzeczał temu, co mu przysparzało kłopotów, z których na szczęście umiał się wyzwalać. Kiedyś, w trakcie ćwiczeń, działko przeciwlotnicze złamało mu nogę. Leżał w polowym szpitalu, skąd przesłano go do Świerdłowska. W czasie, gdy Hitler wypowiedział wojnę Stalinowi i front zaczął cofać się w głąb Rosji nastały bardzo ciężkie czasy. Żołnierze sypiali po czterech, aby się ogrzać własnym ciałem. Ci — co spali w środku, kładli się na boki, aby przetrwać noc, gdy mrozy sięgały ponad czterdzieści stopni. Pewnego razu wezwał go politruk. Oskarżono go o posiadanie Ewangelii i różańca. Niedługo potem został rozbrojony i przeniesiony na tyły, na roboty. Mrozy, głód, tyfus

i cynga, zbierały tam żniwo śmierci. Dawano 80 dkg ciężkiego, czarnego jak smoła chleba na dobę, przy dwunastogodzinnej ciężkiej pracy przy wyrębie lasów. Tak zmarł jego brat — Piotr. Złapany na granicy, gdy przechodził do ojca, został wywieziony na Syberię, gdzie zmarł na cyngę — chorobę głodu i mrozu, która rozkłada ciało jak trąd. Znalezione przy nim wiersze patriotyczne i — zakończył życie mając dwadzieścia lat. Staszek miał w sobie romantyzm, fantazję, przedsiębiorczość i nade wszystko — pracowitość. Zgłosił się więc do pomocy szewcowi, polskiemu Żydowi, u którego mógł dorobić — po pracy — na chleb. Pamięta jego słowa, gdy oceniał pierwszą przyszytą łatę:

Nu, sewcem to ty i buleś, ale na zapadłej wsi.

Ale dzięki temu przeżył i doczekał się Andersa. Radość jego jednak przygasła, gdy z jego dokumentami przywitano go tam jak „ruska”, chociaż Rosjanie wytykali go dotychczas palcami, mówiąc: Paliaczok.

Wyjechał jak inni — przez Persję, by dotrzeć do Palestyny. Marzenia jego dzieciennych lat o Ziemi Świętej wreszcie się ziściły. Był tu obecny, dotykał, oglądał, rozważał i płakał. Ożyły w pamięci pieśni śpiewane przez ojca w czasie Wielkiego Postu. Zwiedzał Betlejem i Jerozolimę, pielgrzymował wraz z innymi pod wodzą przewodnika. W kościele, gdzie jest wmurowany kamień z Ogrodu Getsemani... na tym kamieniu, na którym Chrystus modlił się przed męką, przyjmował Komunię Świętą w alianckim mundurze żołnierza polskiego. W wojsku był wzorowym żołnierzem. Generał Kopański wskazał palcem i jego, gdy dobierał żołnierzy do Brygady Strzeleckiej. Dalsza droga wiodła przez Syrię, Irak i Egipt do Aleksandrii, skąd już na Sycylię i do Italii. Tu otrzymał odpowiedź na dwadzieścia swoich słów, jakie mógł wysłać z Kairu przez Czerwony Krzyż do żony. Odpisała mu na odwrocie: „Kocham, tęsknię, czekam na Ciebie. Twe słowa wróciły mi życie. Zawsze będziesz moim — Jedynym. Wracaj dumny. Twoja do grobu — Nina”.

A tam, na szlaku, aż do Monte Cassino, codziennie ktoś z bliskich o d c h o d z i ł . W głowie, od huku dział, tworzył się zamęt. Wszelkie ideały stawały się czymś idiotycznie ciężkim, cięższym ponad ludzkie siły. Polska? — myślał — jaka ona będzie? Po co do niej wracać? — Na parobka czy na służbę do ruskich? Odznaczenia otrzymywał często, które jednak nie cieszyły. Wołałby otrzymać stopień, ale — cóż, nie był wykształcony. Jednego razu, w okopie, powiada do niego kolega:

Wiesz co, przyszła mi myśl, czy nie jestem coś komuś winien? Odsunął się od niego myśląc, że zebrało się jemu na pogawędkę w tym piekielnym huk. I nagle, pocisk padł w to miejsce, zostawiając z kolegi tylko strzępy. I tak bywało często.

Skończyła się bitwa. Na szczycie góry powiewał biało-czerwony sztandar. Pożegnał kolegów na cmentarzu i — przez Szwajcarię i Francję dotarli do Szkocji. Stąd pisał listy do Polski, ale nie otrzymywał odpowiedzi. Zapisał się więc na wyjazd do Kanady. Był to już siódmy rok tułaczki. Tuż przed samym wyjazdem za ocean otrzymał list od żony. I to zadecydowało o powrocie do kraju, choć — kuszono go obietnicami i straszono komunistycznym terrorem. Znał już nieźle angielski i włoski, obiecywano sprowadzić mu żonę i pomóc w znalezieniu pracy.

Rozterka... rozterka...

Zima była ciężka, a na Bałtyku — sztorm. W Gdańsku czekał na niego brat Aleksander, a w Elblągu — żona, która nie wiedziała o jego powrocie. Cieszył się wszystkim — i tym, że wrócił i... że znowu są razem. Ona — przeciwnie — była załamana. Zachowywała się jak ktoś, kto nikomu nie jest już potrzebny. Złożyło się na to wiele ciężkich chorób, które przeszła, walka z przemocą i niesienie pomocy innym oraz upór w zachowaniu własnego ja. A — nade wszystko — widok leżących po śmietnikach krzyży i obrazów religijnych, aresztowania i życie w ustawicznym lęku. Nie chciała zapisać się do partii,

a praca fizyczna była dla jej wycieńczonego organizmu ponad siły. Bali się tu jedni drugich, a przy tym głód i troska o przetrwanie (bo kartki na żywność otrzymywali tylko pracujący na państwowej posiadzie) wyzwał w ludziach nieobliczalność w ich postępowaniu.

Staszek, który kiedyś bał się życia, teraz był pewny siebie, swej wartości. Za granicą ukończył szkołę średnią, biegle mówił i pisał po rosyjsku i włosku. Miał zaledwie dwadzieścia osiem lat, a więc — nie za dużo, by zacząć życie od nowa. Był szczery i wylewny aż do naiwności. Chciał się nacieszyć Polską i Polakami po siedmioletniej tułaczce. Ale niedługo to trwało. Dom ich zaczęli nachodzić różni „żebracy” i — kilkakrotnie kończyło się to przesłuchaniami w odpowiednich urzędach. Nie był aresztowany, ale nie mógł otrzymać pracy. Był jak ktoś wyrzucony poza nawias społeczeństwa. Ratowała go jedynie służba w Armii Czerwonej. Wreszcie otrzymał pracę poza miastem, w lesie, przy rąbaniu drzewa. W wolnych chwilach — dorabiał składaniem i naprawą rowerów. Potem — przyszedł na świat Jerzy i... śmierć Stalina. Mógł już pracować w państwowym zakładzie. Uzbierał tam na stare auto, które po wyremontowaniu przez niego, służyło mu do zarobkowania jako taxi. Wreszcie mógł być panem na swoim. Potem był drugi syn — Zenon.

Pewnego razu oświadczył żonie, że chce się przenieść w rodzinne strony, że ma już dość tej ludzkiej zbieraniny, że chce dożyć tu, wśród najbliższych i — mieć krzyż brzozy, jak żołnierz, nad swoją mogiłą. I tak się stało. Zamieszkali w Ostrołęce przy ulicy Mostowej, w domku, który sam wyremontował.

Spracowane ręce już nie służyły akordeoniście jak za młodych lat. Czasami sam się przyłapywał na tej myśli, gdy w zadumie prostował, głaskał i składał kawałek szmatki, niczym świeżo upraną onucę po powrocie z żołnierskiego okopu.

A potem przyszła choroba, długa i nieuleczalna.

Badania w Otwocku odebrały ostatni cień nadziei.

Zasnął na wieki w sobotę 5 listopada 1988 roku, na tydzień przed siedemdziesięcioleciem własnym i Polski, w dniach, kiedy Ojczyzna zaczynała się odradzać na nowo, a chwili tej tak pragnął doczekać.

I tu na ostrołęckim cmentarzu pozostał ostatni ślad po żołnierzu 3 Dywizji Strzelców Karpackich, noszącego legitymację nr 2264, nad którym szumi polska brzoza.

Na ordery patrzę
oczyma zgasłymi
jak na ślad tułaczy...
Obraz gdzieś się zatrze
w rozsypanej ziemi —
z kwiatami majaczy.

Krzyż ze ściętej brzozy
przy głowie się bieli
przez syna zrobiony
haki i powrozy
dawno z trumny zdjęli
żołnierz — wyzwolony.

Powrócił już z warty
do swojej mogiły
do swych towarzyszy...
Krzyż ramion rozwartych
z ziemi polskiej bryły
wśród cmentarnej ciszy.

Twa prośba spełniona
żołnierzu — weź krzyżyk
zbity gwoździakami...
To Twoja korona

przysuń głowę bliżej
uwieńcz ją brzozaami.

Grunwaldu tu nie ma!
I Monte Cassina!
I — innych orderów.
Tylko wiatr szum wzdyma
gdy naga brzezina
modli się... wśród szmerów.

Janina Grała
Ostrołęka, 18 listopada 1988 r.

(Wspomnienie drukowane w „Tygodniku Ostrołęckim” nr 45 z dnia 10 XI 1991 roku)

Alfred Sierzputowski

* * *

Janinie Grala

A ciężar życia przyszło dźwigać sercu
tam — w jego głębi — wszelkie utrapienie
i miłość własna i żądła oszczerców
i żal i smutek pycha i zmartwienie

Tam się gromadzi doznawana gorycz
rodzą — czasami — sumienia wyrzuty
tam pojednania szukasz i pokory
tam się zamykasz niczym pies zaszczuty

Zżera je troska i brak zrozumienia
aż wszystkie zmysły jeden ból ogarnie
i — u czyjego wesprzesz się ramienia
nim łzą kojącą ciężar z serca spadnie

Więc od człowieka tyle chcesz — ażeby
trud swój udźwignąć i ponieść w dwójnasób
— co nie zaznali w życiu tej potrzeby
szczęśliwi wszyscy pogodnego czasu

Z Serc ludzkich wzajemnej potrzebie (1995)

POSŁOWIE
DO DRUGIEGO WYDANIA

Przygotowując „Kwiaty miłości” do pierwszego wydania nie spodziewałem się dużego zainteresowania Czytelników tą formą przekazu, chociażby ze względu na znużenie tematyką związaną z doznaniem ostatniej wojny. Jednak ten pamiętnik potrafił przemówić nie tylko do wyobraźni, lecz wprost... z serca autorki do serc Czytelników.

Jan Zdzisław Brudnicki — znany krytyk literacki publikujący felieton w starachowickim piśmie „Radostowa” pt. „Muzeum rzeczy i pamięci” (19.03.2002) pisał: *Alfred Sierżputowski przysłał mi do oceny i do poczynienia uwag redakcyjnych pamiętnik Janiny Grali. Znalazłem się nagle, dzięki temu stustronicowemu tekstowi w innym muzeum, jak to Francuzi mówią w m u z e m p a m i ę c i . I pomyślałem sobie zaraz, przecież to wielkie dzieło autentyczności, samorodnego talentu, a równocześnie dokumentu minionego czasu. I to jaki, prawdziwy, dotykający, uwikłany we wszystkie komplikacje. Sto razy mógł zaginąć cudem został ocalony....*

Spróbujmy uzmysłwić sobie i wczuć się w sytuację życiową naszego przodka, urodzonego na początku XX wieku. Przyszł na świat pod zaborami. Najprawdopodobniej musiał już być żołnierzem u zaborcy, w czasie I wojny światowej. Potem — w 1918 roku, doczekał się niepodległości, aby już w 1920 bronić jej przed bolszewicką nawałą. 1 znowu — w 1939 —

w niewoli niemieckiej, by za chwilę być (po podziale Polski na pół) pod panowaniem radzieckim (i przymusowa służba w armii u każdego z nich), a po napaści Niemiec na Związek Radziecki znowu pod jarzmem niedawnego ciemżyciela. A potem... 1945 rok i — N i e p o d l e g ł a , jeszcze przez wiele lat niepokojona przez frontowe niedobitki, partyzantkę i Urząd Bezpieczeństwa... również przebierający się za partyzantów. I to wszystko, w niespełna pół wieku, musiał przeżyć — ścierpieć... jeden człowiek!

Ba... Gdyby to było już wszystko? W tej płataninie nieludzko-ludzkich dziejów, w tej ohydzie istnienia, nader często przewija się postać odwiecznego tułacza, który od ponad stu pokoleń swoją ojczyznę nosi w sobie i czyni wszystko by ją zachować i przekazać w darze następnym pokoleniom. A nie jest to takie proste i łatwe, skoro sam mówi, że... Polacy ciepły naród, łatwo tu przyłgnąć, łatwo wrosnąć, samemu z siebie być ofiarą. A teraz, w oczach „tutejszych”, wyraźnie widać tę jego dwoistość, bowiem — gdy jest po stronie zachodniej frontu — polują na niego jak na zwierzę, gdy na wschodniej — jawi się jako krzewiciel i ostoja nowej ideologii. A tu... bez Boga ani do proga!

Ile to trzeba mieć w sobie człowieczeństwa, samozaparcia i niezłomnej woli, by na tej niwie mógł jeszcze wyrosnąć k w i a t m i ł o ś c i do drugiego człowieka. Nawet tam, gdzie za żadne pieniądze nie kupi się tego, co można otrzymać za Bóg zapłać.

W tym samym czasie Ringelblum, w pamiętniku z warszawskiego getta pisał: *Pragnienie pisania jest dziś równie silne jak odraza do słów. Nienawidzimy ich, bo zbyt często pokrywały pustkę albo nikczemność, pogardzane, bo są blade wobec uczuć, które nami targają... Ale przecież niegdyś słowo oznaczało godność ludzką i było czymś najlepszym, co człowiek posiadał, narzędziem porozumienia się między ludźmi.*

Patrząc z dystansu lat warto przypomnieć sobie, że 30 stycznia 2013 Niemcy „obchodzili” 80-tą rocznicę dojścia Adol-

fa Hitlera do władzy. Telewizja zbytnio nie komentowała tego wydarzenia, ale właśnie tam usłyszałem słowa, które miał on wypowiedzieć: „Nie przyszedłem naprawiać świat, ale wykorzystać jego słabości”. Nie wnikajmy w szczegóły, kiedy sam się o tym dowiedział — sobie uzmysłowił, po co tu przyszedł i... czyją wolę wypełniał. Lepiej zastanówmy się chwilę nad sensem, a więc i dziełem własnego bytu.

Ile w tym z roli powielacza...?

Alfred Sierżputowski

FOTOGRAFIE



Autorka z mężem Stanisławem i synami — Jerzym i Zenkiem



Jerzy z żoną i dziećmi



Ninka ze Staszkiem



Siostra Ninki — Rozalia (Sierzputowska)



Staszek w mundurze



Janina Grala



Siostra Rozalia z mężem Franciszkiem i synem Zenkiem



Grób Janiny i Stanisława Gralów na ostrołęckim cmentarzu

na rękę dwie: pół roku lępego cienieczka - Estery.
Dzicko było chore, kopryśne i cegle fraketa. Dwie
orygale były bercho Tedue, skłota fatusa bok, duse
niebieski ocy i czerwone charobliwe wypoki'ne trany.
Tydowke odrom ewrociła ty do mnie z prośbą, iety
jej pomoock. Bylysinuy pasuni w jedynym ricku tytko
je tyggydetaun w stotunku do meji utodok. Polubitem ty
Tydowke ale była tak ustrotyu, że nadziły ejer un'chiele
pnuwoeg ztozyc'. Alema mnie ostnegela ale to wato po
mogło, że ukeciatem do ukodych sepetenioir. Kytatem ty
dowke i w twój niewuosi sychitem, że jej ukę. Dzicko
chiatam pnuok wtygottkim wykeryje tyje chepe tego doko-
uac' musiatam nieic warunki odporidzeni. A tym celu wotky
rozchwilitem z dzickiem. Cui forte seopetnau w tyruuoc' do
dohi pa kertyptau i a se z jej cienieczka na Mlynik do uc-
nej Pherypi. Trefitem w temo seduo bo potek chiatuuni
tyggydici' z tym kontem ale Marynie sotyguwela mnie to
obrygwetam iohi cymu' obdauye'. Ale wemu sapyje's obleg
obrygwetam wose to było ostetnie doske uajego rohuwcu bo
uoc było aiunue i nie uiaiatam ty ty ioc' dety'. Bytem u nich
z dzickiem dwie dni. Chnatam diuowegykę z wody

ISBN 978-8-36420-000-7



9 788364 200007